



GEORGE FRIEDMAN

szeft portalu analitycznego Geopolitical Futures:

”

*Za amerykańskimi
pieniężami idzie ochrona
amerykańskich interesów,
a więc bezpieczeństwo*

HENRYK MUCHA

prezes PGNiG Obrót Detaliczny:

”

*Klienci wybierają
nas, bo firma kojarzy się im
z bezpieczeństwem. PGNiG to zaufana
marka, duży, stabilny dostawca*



GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN
EKONOMICZNY W POLSCE

LISTOPAD 2018 // NR 11/1211
// CENA 11,90 Zł (W TYM 8% VAT)

POLSKA WŚRÓD
25
NAJBARDZIEJ ROZWINIĘTYCH
RYNKÓW KAPITAŁOWYCH NA ŚWIECIE

*Prestiżowa firma FTSE Russell uznała, że GPW
spełnia wszystkie kryteria stawiane przez najbardziej
wymagających inwestorów i największe fundusze świata*



MAREK DIETL

prezes Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie:

”

*Gramy teraz w wyższej lidze
i rywalizujemy z innymi rynkami*

Finansowa

EKSTRAKLASA

Polski Kompas 2018

NOWE WYDANIE ROCZNIKA „GAZETY BANKOWEJ” str. 2-3



ISSN 0860-7613 INDEX 359033



9 770860 761809



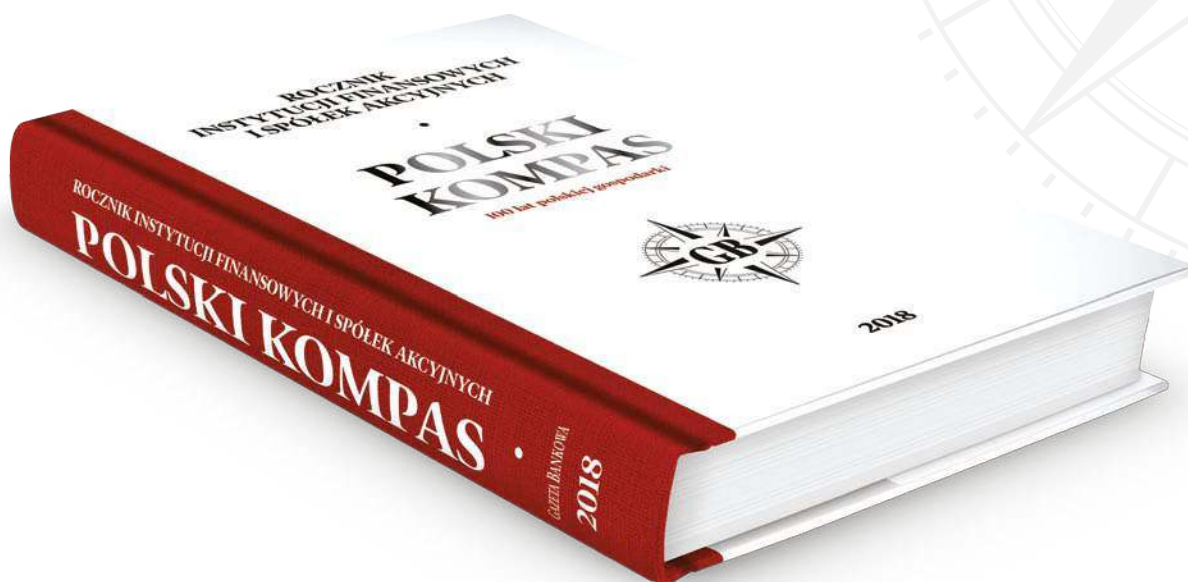
POLSKI KOMPAS 2018

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH
I SPÓŁEK AKCYJNYCH

NA 100-LECIE POLSKIEJ GOSPODARKI

Publikacja obejmuje swoim zakresem:

- firmy notowane na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych
- podmioty zarejestrowane w Urzędzie Komisji Nadzoru Finansowego
 - trendy przedstawione przez dziennikarzy oraz Radę Programową „Gazety Bankowej” – autorytety z różnych dziedzin życia gospodarczego
- analizy gospodarcze przygotowane przez czołowych analityków finansowych oraz ekonomistów w Polsce
 - refleksje wybitnych ekspertów na temat przyszłości i rozwoju branż kluczowych dla polskiej gospodarki
- obserwacje i opinie najlepszych menedżerów polskiego świata biznesu o koniecznych zmianach oraz perspektywach rozwoju dla Polski



Więcej informacji:

Publikacja

Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na **gb.pl**
oraz w **App Store** i **Google Play** już od 29 października 2018 r.



Wierzmy, że rocznik wzorowany na podobnych wydawnictwach francuskich, niemieckich i innych wypełni dotkliwą lukę w życiu ekonomicznym, któremu brak koniecznej dziś orientacji, a stanie się niezbędnym podręcznikiem w codziennej pracy spółek akcyjnych, wszystkich instytucji i osób, które biorą udział w życiu gospodarczym Polski.

„Gazeta Bankowa” R. 1 (1921) nr 20 — 15/17

ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA
GAZETA DLA GOSPODARSTWA I FINANSÓW

PATRONAT HONOROWY:



MINISTER
SPRAWIEDLIWOŚCI



Ministerstwo
Cyfryzacji



MINISTERSTWO
ENERGII



Ministerstwo
Finansów



MGMŻŚ
Ministerstwo Gospodarki Morskiej
i Żeglugi Śródlądowej



MINISTERSTWO
INFRASTRUKTURY



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII



Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNER ZŁOTY:



ORLEN

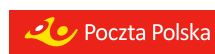
PARTNER STRATEGICZNY:

accenture

PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



PARTNER WSPIERAJĄCY:

SALTUS
UBEZPIECZENIA

PARTNER TECHNOLOGICZNY:



Odzyskać wiarę w sukces

Może w roku stulecia odzyskania niepodległości uda nam się odzyskać wiarę w polski sukces? W nasze umiejętności, w możliwość realizacji najbardziej odważnych projektów, w to, że zerwiemy wreszcie z mentalnością kolonialną. Przynajmniej w życiu gospodarczym. Marzenia? I właśnie im oddaję głos, także w artykule wstępnym do tegorocznej edycji „Polskiego Kompas”, który ukazuje się równolegle z tym wydaniem „Gazety Bankowej”.

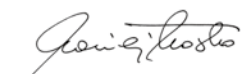
Miało być strasznie: ratingi Polski miały polecieć na łeb, na szyję, wyniki gospodarcze runąć, a ekonomiczne projekty PiS miały zrujnować budżet. Gdyby tak się stało, dziś chór ekspertów od „a nie mówiłem” triumfowałby radośnie przy wtórze opozycji od „nie gryzie się ręki...”. Kolonialna mentalność przez lata wrosła w biznes – jesteśmy przecież niewielkim krajem w środkowej Europie, gdzież nam, naszym firmom, naszym menedżerom do globalnej potyczki o rynek finansowy czy wojny o surowce, nie wspominając o transporcie. Tymczasem...

Stajemy w jednym szeregu z 25 najbardziej rozwiniętymi rynkami kapitałowymi na świecie. Według agencji indeksowej FTSE Russell Polska przestała być krajem rozwijającym się i może konkurować o inwestorów w gronie developed markets. Dalej? Agencja S&P wreszcie zweryfikowała swoje decyzje ze stycznia 2016 r. i podwyższyła ocenę ratingową Polski do poziomu A- dla długoterminowych zobowiązań w walucie zagranicznej oraz A/A-1 odpowiednio dla długo- i krótkoterminowych zobowiązań w walucie krajowej. Jeszcze? Polska zajęła piąte miejsce wśród krajów najbardziej efektywnych w redukcji szarej strefy w latach 2007–2016 (A.T. Kearney). W Indeksie Kapitału Ludzkiego przygotowanym przez Bank Światowy Polska zajęła 30. miejsce wśród 157 badanych państw. Z wynikiem 0,75 wyprzedziliśmy Hiszpanię (0,74), Islandię (0,74), Luksemburg (0,69) czy Grecję (0,68).

Nie jestem naiwny. Nie przekona to dyżurnych pesymistów i krytyków. Powiedzą – to tylko statystyka, ratingi, rankingi. Ktoś doda, że to efekt „zielonej wyspy Tuska”, a dziś od tego jedynie odcina się kupony i spija śmietanę. Może właśnie to kwestia mentalności?

A może to doskonały początek, by wzorem inżynierów z Gdyni i COP w latach 20. i 30. uwierzyć w możliwość realizacji odważnych, dziejowych projektów? Od Inicjatywy Trójmorza, przez Port Solidarność, przekop Mierzei Wiślanej, Fort Trump, aż po polskie firmy eksportujące do Chin i polskie koncerny walczące o europejskie oraz światowe rynki z globalnymi graczami. Może to właśnie kwestia wiary, nawet jeśli w realnym biznesie to jedynie psychologiczny trik.

W tym wydaniu „Gazety Bankowej” sporo zatem o naszych sukcesach, a w „Polskim Kompasie” – na 400 stronach, w 118 tekstach o objętości miliona znaków – o szansach, jakie niesie dla gospodarki stulecie odzyskania niepodległości.



MACIEJ WOŚKO

Redaktor naczelny „Gazety Bankowej”



REDAKCJA

ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa
tel. (22) 616 36 00
redakcja@gb.pl

REDAKTOR NACZELNY

Maciej WOŚKO mwośko@gb.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Stanisław KOCZOT

SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof KOTOWSKI

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Jerzy BIELEWICZ, Robert BOMBAŁA (redaktor wGospodarcie.pl),
Małgorzata DYGAŚ, Lech PIĘSIK, Anna RACINEWSKA, Marek SIUDAJ
(redaktor wGospodarcie.pl), Szymon SZADKOWSKI (redaktor wGospodarcie.pl),
Janusz SZEWCZAK, prof. Grzegorz SZULCZEWSKI, Maksymilian WYSOCKI

RADA PROGRAMOWA

prof. Grażyna Ancyparowicz, członek RPP, SGH; dr Dominik Bierecki, Spółdzielczy Instytut
Naukowy w Sopocie, kancelaria Jedliński, Bierecki i Wspólnicy w Gdyni; prof. Leszek
Dziawgo, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu; prof. Eugeniusz Gatnar, członek RPP,
Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach; prof. Andrzej Gospodarowicz,
Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu; dr hab. Beata Kozłowska-Chyła,
Uniwersytet Warszawski; prof. Alojzy Z. Nowak, Uniwersytet Warszawski;
Zdzisław Sokół, prezes BFG; Henryk Uzdrowski, Grupa Fratria;
prof. Małgorzata Zaleska, SGH, przewodnicząca Komitetu Nauk o Finansach PAN;
prof. Jerzy Żyżyński, członek RPP, Uniwersytet Warszawski

WYDAWCA



Fratria sp. z o.o.
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
www.fratria.pl

PREZES

Romuald ORZEŁ

DRUK

LSC Communications Europe

DYREKTOR KREATYWNY

Michał KORSUN michal.korsun@fratria.pl

DYREKTOR ARTYSTYCZNY

Maciej BURZYKOWSKI maciej.burzykowski@fratria.pl

STUDIO GRAFICZNE

Andrzej SKWARCZYŃSKI andrzej.skwarczynski@fratria.pl
Lidia SŁOWIKOWSKA lidia.slowikowska@fratria.pl
Maciej MAJTCZAK maciej.majtczak@fratria.pl

FOTOEDYCJA

Anna ŁABECKA anna.labecka@fratria.pl
Ewa FAŁKIEWICZ ewa.falkiewicz@fratria.pl

KOREKTA

Anna WOLF

PRODUKCJA I DYSTYBUCJA

Joanna MAZUR joanna.mazur@fratria.pl

DYREKTOR DS. MARKETINGU, KOMUNIKACJI ORAZ ORGANIZACJI EVENTÓW

Justyna KRUSZEWSKA justyna.kruszewska@fratria.pl

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU

Katarzyna MARCHEWKA – katarzyna.marchewka@fratria.pl,
tel. 603 097 503

PATRONATY MEDIALNE

Magdalena PODBIELSKA magdalena.podbielska@fratria.pl

BIURO REKLAMY

e-mail: reklama@fratria.pl
tel. (22) 616 36 00

PRENUMERATA REDAKCYJNA

prenumerata@fratria.pl, tel. (22) 616 15 70
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.gb.pl

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
nr konta: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Publikacja jest chroniona przepisami prawa autorskiego.
Wykonywanie kserokopii lub powielanie inną metodą oraz
rozpowiadanie bez zgody wydawcy w całości lub w części
jest zabronione i podlega odpowiedzialności karnej.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega prawo redagowania
nadesłanych tekstów. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Zdjęcia na okładce:

Stefan Maszewski / REPORTER / EAST NEWS, Shutterstock (2), Andrzej Wiktor (2),
archiwum prywatne Georga Friedmana

RAZEM NAPĘDZAMY POLSKĘ



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.



ORLEN



TEMAT NUMERU:

Fort Trump w Polsce

Projekt stałej bazy US Army w Polsce o roboczej nazwie Fort Trump przedstawił oficjalnie prezydent RP Andrzej Duda podczas wrześniowej wizyty w Białym Domu, w Waszyngtonie. Bazy wojskowe USA mają dobry wpływ na gospodarkę kraju goszczącego. Przyciągają inwestorów i rozkręcają lokalny biznes. Ich budowa wymaga jednak sporych nakładów. Cały czas musimy też mieć w tyle głowy polityczny i geostrategiczny wymiar obecności Fortu Trump w Polsce, gdy ma się za sąsiadów Niemcy i Rosję

str. **12**

WYDARZENIA:

Awans w FTSE Russell był zawsze marzeniem giełdy

Marek Dietl, prezes GPW: Gramy już w wyższej lidze i rywalizujemy z innymi rynkami. Teraz mamy szansę zawalczyć o to, żeby zwiększyć wagę w indeksie FTSE Russell. Dzisiaj jest ona skromna w grupie liczącej 25 krajów, ale nie można siedzieć z założonymi rękami



str. **36**



SPORT:

Potencjał pod siatką

Nawet tytuł mistrzów świata nie sprawi, że siatkarze przesuną się w hierarchii popularności przed piłkarzy. Ale ci młodzi, sympatyczni i elokwentni ludzie sukcesu są świetnym materiałem na gwiazdy

str. **62**

SPIS TREŚCI

TECHNO BIZNES:

Cienie padają na blockchain

Technologii blockchain wróży się świetlaną przyszłość, szczególnie w sektorze finansowym. Jednak rozgłos wokół niej spowodował, że mocno zainteresowali się nią także cyberprzestępcy

str. 66



FINANSE:

Trzęsienie ziemi w skansenie

Polskie fundusze inwestycyjne tkwią nadal w XX w. Ale wygląda na to, że proces wejścia tej branży w wiek XXI właśnie się rozpoczął

str. 74



FINANSE:

Czarne chmury nad fintechami

Wydawałoby się, że biznes fintechowy ma przed sobą najlepsze lata. Ale jest możliwe, że zamiast finansowego eldorado wiele fintechów zniknie z rynku

str. 80



HISTORIA:

Lajkonik pachnący kawą

Ze Skawiny pochodzą smaki, które pokochali Polacy: słone paluszki i kultowa kawa zbożowa Inka

str. 100



od redakcji 4

30 dni w **Gospodarcę.pl** 8

temat numeru

Fort Trump w Polsce

Biznes lubi amerykański parasol bezpieczeństwa 12
George Friedman, ekspert ds. geopolityki:
Obronimy Polskę 18
Rosyjskie: Niet, niet, niet! 22
Srogi Wujek Sam 26
Henri Malosse: Dominacja Niemiec może doprowadzić do rozpadu UE 30

wydarzenia

Polska wśród 25 rozwiniętych rynków kapitałowych

Marek Dietl, prezes GPW:
Awans w FTSE Russell był zawsze marzeniem giełdy 36
Rynek bez retuszu 42
Komentarze: Paweł Borys, Maciej Trybuchowski,
Jakub Papierski, Michał Krupiński 44

felietony

Henryk Uzdrowski: Polska w gospodarczej elicie 47
Janusz Szewczak: „Specie” od prywatyzacji 52
Stanisław Koczoł: Pieniądże płyną, gdzie chcą 61
Prof. Eugeniusz Gatnar: Co z tym leasingiem? 78
Prof. Małgorzata Zaleska: Okrojone REIT-y 94
Prof. Grzegorz Szulczewski: Lata 1918 i 2018 łączy wiele 106

wydarzenia

Rynek obligacji: Zmierzch „papieru” 48
Kto zbuduje Port Solidarność 50
Henryk Mucha, prezes PGNiG Obrót Detaliczny:
Działamy na zmieniającym się rynku 54
Kongres 590: Uwalniamy polski potencjał 60
Sport: Potencjał pod siatką 62

techno biznes

Cienie padają na blockchain 66
Ubezpieczenia: Dane rządzą 70

finanse

Rynek funduszy inwestycyjnych
Trzęsienie ziemi w skansenie 74
Czarne chmury nad fintechami 80
Bank jako księgowy dla małej firmy 84
Boom zbudowany na optymizmie 88
Folder Finanse 96
Recenzja: Nieoczywisty świat finansów 98

historia gospodarcza

Lajkonik pachnący kawą 100
Recenzja: Przedsiębiorcy, prekursorzy, patrioci 104

kronika

Polska Wystawa Gospodarcza:
„Pewugie”, wnuczka „Pewuki” 108
Dzień Energetyka: Energia równa się suwerenność 112
Recenzja: Cud migawki i obiektywu 114



Test dla indeksu Respect

GOSPODARKA Pojawiła się informacja, że właśnie rusza XII edycja indeksu Respect. Cel indeksu jest szczytny, bo chodzi o wskazanie firm odpowiedzialnych społecznie, które są notowane na GPW. Wygląda jednak na to, że tegoroczna edycja nie będzie warta szacunku. Nie dlatego, że firmy giełdowe przestały być odpowiedzialne społecznie. Nie dlatego, że zdarzyło się coś złego w „zakresie ładu korporacyjnego i informacyjnego”, że pogorszyły się „relacje z inwestorami”, nie z powodu nieuwzględniania czy też nieposzanowania „czynników społecznych, pracowniczych oraz ekologicznych”. Firm spełniających te wszystkie kryteria – i to na wysokim poziomie – mam nadzieję na GPW jest sporo. Chodzi o to, że firma zajmująca się weryfikacją danych wykorzystywanych do tego indeksu przestała być wiarygodna. Owszem, robi to od lat i być może ma pełne prawo, również w świetle umowy, aby robić to nadal, tyle że jeśli skorzysta z tego prawa, to zaszkodzi indeksowi. Otóż Respectem zajmuje się firma audytorska Deloitte Polska. Ta sama, która tak dokładnie prześwietliła raporty GetBacku, że nie zorientowała się, iż windykator ma potężne problemy. Przypomnijmy, Deloitte podpisał się np. pod raportem półrocznym za 2017 r., w którym było 112 mln zł zysku. Kiedy jednak w raporcie za cały rok 2017 GetBack spółka poinformowała, że ma 1,3 mld zł straty, Deloitte odmówił podpisania. Nie udało mi się trafić na informacje o tym, aby ktoś w Deloitte poniósł konsekwencje postępowania w stosunku do sprawozdania finansowego GetBacku. Nie zauważyłem też informacji, że ktoś z Deloitte odczuwa wstyd czy choć zmieszanie z powodu strat, jakie ponieśli akcjonariusze spółki windykacyjnej, którzy mieli zaufanie do audytora. Nic, zero. A teraz firma ogłasza z dumą, że właśnie zaczyna zbierać dane do indeksu spółek godnych szacunku. Być może ktoś na GPW popełnił błąd, nie wypowiadając współpracy z Deloitte, ale podejrzewam, że umowa wiążąca spółkę przy Książęcej z audytorem jest trudna do zerwania i ma zapisane całkiem spore kary umowne. Innymi słowy – GPW po prostu nie może pokazać Deloitte drzwi ze względów finansowych. Pewne jest jednak, że w ten sposób indeks Respect nie może powstać. Dlatego sądzę, że żadna firma nie powinna odpowiadać na wezwanie Deloitte do przesyłania informacji. Mało tego – uważam, że każda spółka giełdowa, która mimo wszystko takie dane przesłała do „audytora”, na pewno nie jest firmą godną szacunku.

Indeks Respect nie będzie wart szacunku, **Marek Siudaj**, 28 września

Apokalipsa tego sezonu

BIZNES Globalne ocieplenie jest już domeną zgredów i emerytów, teraz modnym zagrożeniem są plastikowe siatki i rurki, które zaśmiecają oceany i doprowadzają ludzkość do zagłady. Pozwalam sobie na lekki ton, choć sprawa wcale lekka nie jest. I nie chodzi o zagrożenie, tylko o modę. Tak, modę. Ale modę, która generuje miliardy dolarów zysków dla państw i koncernów oraz wiele miliardów strat dla społeczeństw. Chodzi o modę na zagrożenie, modę na zagładę. Rzeczywiście globalne ocieplenie utrzymało się w dyskursie wyjątkowo długo. Rzecz jasna, jak to zwykle bywa w przypadku takich globalnych wzmożeń, wystarczy chwilę poskrobać, by się przekonać, że cienka warstwa propagandy i paniki skrywa realne interesy. W przypadku globalnego ocieplenia już dekadę temu gruchnęła informacja o tym, jak wybiórczo traktowane są badania; wyniki podważające teorię, jakoby wzrost globalnej temperatury nie był wywołany przez człowieka, miały być ignorowane lub wręcz zwalczane, a uczeni – kneblowani i „głodzeni” brakiem grantów. Realnie globalne ocieplenie, owszem, ma miejsce, ale wciąż brakuje wiarygodnych badań, które powiązałyby je z działalnością człowieka. Ci, którzy interesują się tematem, stosowne dane znają. Ci, którzy się nim nie interesują albo są wyznawcami tej świeckiej wiary, i tak

zignorują moje słowa. Zmierzam do czegoś innego: globalne ocieplenie było kolejnym elementem specyficznej, charakterystycznej dla końcówki wieku XX i początku XXI manieri wyszukiwania globalnych zagrożeń, koniecznie wywołanych przez człowieka. I sam pamiętam, jak na początku lat 90. zgładzić nas miało globalne oziębienie, potem przeludnienie (mam dziwne wrażenie, że służyć miało ściśle wzmocnieniu organizacji proaborcyjnych i uderzyć w rozwój państw Afryki, gdzie w owym okresie przyrost naturalny był największy), przez moment zabraknąć miało ropy (ta narracja wzmocniła firmy technologiczne pracujące nad paliwami alternatywnymi), potem pojawiła się długa moda na globalne ocieplenie (tutaj zyski trafiały do tak wielu podmiotów, że nawet ich nie zliczę), aż wreszcie teraz powoli ocieplenie wypierane jest przez siatki i słomki. Ciekawe, kto zyska tym razem. [...] Spodziewajmy się więc nowej legislacji, nowych dyrektyw UE, nowych akcji celebrytów i nowych, narzucanych nam drogich technologii. Bo zagraża nam ocean plastikowych śmieci, które już wkrótce zgładzą ludzkość. Przynajmniej do momentu, aż zagraża nam zacznie coś nowego.

Globalne ocieplenie już nie zagraża ludzkości, **Arkady Saulski**, 25 września

Niemiecka afera spalinowa bis

ENERGETYKA Nie znalazłem jeszcze nikogo, kto by mi wyjaśnił, w co właściwie grają Niemcy w energetyce. Ale wiele osób, które próbuje to wyjaśnić, prezentuje zaskakującą wiarę, że Niemcy naprawdę interesują się stanem środowiska naturalnego. To, że w to wierzą, stanowi dla mnie jeszcze większą zagadkę niż zamierzenia Berlina w kwestii energetyki. Nie pojmuję, jak można wierzyć w szczerość niemieckich intencji. Wiadomo, że nasi zachodni sąsiedzi sporo inwestują w wywołanie owego „ekologicznego” wrażenia, ale wiadomo także, że jest ono całkowicie nieprawdziwe. Bardzo dobrym przykładem jest śmierć ekologa w trakcie usuwania protestujących w lesie Hambach. Wiem, że to był przypadek, ale to również dowód, że jeśli w grę wchodzi gospodarka, to Niemcy mają w głębokim poważaniu względy ochrony środowiska. I są bezwzględni w egzekwowaniu tego interesu. O tym, że niemieckie elity zupełnie nie wierzą w te wszystkie ekologiczne opowieści, najlepiej świadczy afera z fałszowaniem danych o spalinach z silników Diesla. Mam wrażenie, że w Polsce nie zdajemy sobie sprawy ze skali tego oszustwa. Okazuje się, że WSZYSTKIE koncerny motoryzacyjne w Niemczech stosowały oprogramowanie fałszujące dane o spalinach. Volkswagen to w Polsce koncern zagraniczny, ale w Niemczech to koncern rodzimy. Tam pracują niemieccy pracownicy. Wątpię, aby w grywaniu oprogramowania fałszującego zajmowali się wysoko postawieni menedżerowie, którzy są członkami niemieckich związków zawodowych, mających spory wpływ na firmy. Na dodatek niemieckie koncerny są członkami różnego rodzaju organizacji, w których są i związki zawodowe, i ekolodzy. Mało tego, w VW ma udziały Dolna Saksonia, a więc jeden z krajów związkowych RFN. W Dolnej Saksonii w okresie wybuchu afery rządziło SPD, a więc jeden z członków tzw. Wielkiej Koalicji. To oznacza ni mniej, ni więcej, że o fałszowaniu danych przez VW musieli wiedzieć także niemieccy politycy – i to nie tylko regionalni, lecz również ci najwyższego szczebla. A jednak nikt nie puścił pary z ust. Zmowa milczenia, jaka panowała wokół sprawy fałszowania danych, była totalna. To bardzo ważne. Uwierzyłbym, że Niemcy mają szczerze podejście do ekologii, gdyby w tym całym łańcuchu pojawił się ktoś, choćby z grona niemieckich ekologów, kto alarmowałby o niecznych praktykach koncernów samochodowych. Ale nie znalazł się nikt taki. W proceder stosowania sfalszowanych programów musiała być zaangażowana naprawdę duża – nomen omen – rzesza Niemców, a jednak wszyscy trzymali język za zębami. Bo korzyści z fałszowania danych o spalinach z niemieckich silników Diesla były przeogromne. A przecież to są grosze w porównaniu z zyskami z fałszowania danych o spalinach emitowanych przez niemiecką energetykę. Koszty dosto-

sowania niemieckich elektrowni węglowych do coraz ostrzejszych wymagań środowiskowych są horrendalne, ale Niemcy nawet nie próbują protestować. Sądzę, że ta cisza bierze się stąd, iż robią dokładnie to samo, co koledzy z VW – fałszują. Czy ktoś z państwa słyszał o niezależnych testach zawartości spalin, jakie są emitowane przez elektrownie? Czy ktoś może wie, kto takie niezależne testy robi? Do mnie informacja o czymś takim nie dotarła. Czyli generalnie jest tak, że wszyscy wierzą w to, co zadeklaruje firma energetyczna, nikt tego nie sprawdza. A przecież to Niemcy emitują najwięcej CO₂ w Europie, zarówno per capita, jak i globalnie. To Niemcy mają znacznie większy problem z redukcją tej emisji niż np. Polska. Czy jest możliwe, aby niemiecki dwutlenek węgla były czystszy niż ten, który wylatuje z kominów w naszym kraju? Okazuje się, że wiele osób wierzy, iż tak jest. A przecież wystarczy chwila zastanowienia, aby stwierdzić, że jest mało prawdopodobne, aby polskie elektrownie używały gorszej technologii oczyszczania spalin niż niemieckie. Że efekt dla środowiska powinien być taki sam dla siłowni po obu stronach granic. Więcej, podejrzewałbym nawet niemieckie elektrownie o używanie bardziej przestarzałych rozwiązań, bo przez lata węgiel był jednym z tamtejszych elementów miksu energetycznego, a więc trzeba było inwestować także w bezpieczeństwo siłowni jądrowych. Niemcy – jak twierdzą, choć nic takiego nie robią – chcą zamknąć siłownie węglowe, więc trudno uzasadnić inwestycje w kolejne instalacje antyspalinowe. Tymczasem w Polsce węgiel jest podstawą i musimy zrobić wszystko, aby móc z niego korzystać nadal, więc nikt nie oszczędzał na instalacjach redukujących spaliny. A mimo wszystko, kiedy popatrzeć na mapy powietrza, widać, że w Polsce jest żółto lub czerwono, w Niemczech zaś zielono. Po prostu jest mało realne, że kraj, którego energetyka oparta jest na węglu, jakim są Niemcy, może mieć aż tak czyste powietrze. I nawet pomijając fakt, że część dymu z niemieckich elektrowni trafia do Polski, bo są one zlokalizowane przy naszej granicy. Za to – wiedząc, jak dobrze Niemcom szło fałszowanie danych o spalinach samochodowych – znacznie łatwiej uwierzyć, że także w energetyce poprawiają wyniki prac instalacji. W końcu problem sam znika, ewentualnie pojawia się, ale już u sąsiadów. To pozwala na zwiększanie nacisku na kraje takie jak Polska, aby likwidowały elektrownie węglowe, których nie likwidują sami Niemcy. Mnóstwo korzyści, niewielkie ryzyko. I wszystko będzie działać, dopóki Niemcy będą trzymać język za zębami. To zaś robią naprawdę świetnie.

**Jak bardzo Niemcy oszukują na spalinach w energetyce?,
Marek Siudaj, 25 września**





Z bankami w Rosji jest gorzej niż gorzej

GOSPODARKA Problemy największych rosyjskich firm, z racji ich znaczenia dla systemu bankowego łatwo mogą oznaczać kryzys tego ostatniego. Agencja Moody's właśnie opublikowała raport, z którego wynika, że stopień koncentracji portfela kredytowego, ale również depozytów, jest w przypadku Rosji niebezpiecznie duży. Wynika z niego, że w statystycznym rosyjskim banku na 20 największych klientów przypada prawie połowa portfela kredytowego i niemal 1/3 depozytów. Warto też zwrócić uwagę, że analitycy przygotowujący raport uznali za celowe dodanie ciekawej uwagi. Otóż ich zdaniem w rzeczywistości stopień koncentracji portfeli kredytowych w rosyjskich bankach może być większy, niż wskazują na to dostępne dane. Przede wszystkim z tego powodu, że jest praktyką, właśnie po to, aby ominąć ograniczenia, rozdrabnianie dużych kredytów i udzielanie ich różnym podmiotom, choć końcowy beneficjent jest jeden. Moody's porównał stopień koncentracji portfeli kredytowych w Rosji z praktyką innych postsowieckich krajów. I wynika z tego, że gorzej jest tylko na Ukrainie (powyżej 50 proc.), a przecież kraj ten uchodzi za kliniczny przykład oligarchizacji życia gospodarczego. Przy czym Ukraina ma lepszy od Rosji wskaźnik koncentracji depozytów. W sytuacji narastania niepewności w związku z oczekiwanym zaostrożeniem amerykańskich sankcji rosyjski system bankowy może nas zaskoczyć. Rosyjskie media informują, że Moskiewski Bank Kredytowy, który pod koniec ubiegłego roku dostał 200 mld rubli (ok. 3 mld dol.) od Rosnieftu, ma problemy z wypłatą depozytów. Aby zrealizować wypłatę przekraczającą 100 tys. rubli, trzeba dzień wcześniej złożyć pisemne zamówienie. Przy okazji pisze się, że bank ten, mający według ostatnich danych 344 mld rubli depozytów ludności, jest jednym z największych w Rosji – zajmuje 7. miejsce pod względem wielkości aktywów i 10., jeśli chodzi o wysokość depozytów osób fizycznych. Obserwatorzy zwracają też uwagę na ostatnie dane, przede wszystkim związane z kolejnym miesiącem spadku przyrostu rosyjskiego PKB, który po sierpniu w skali roku wzrósł o 1 proc. Utrzymanie się tego trendu i spodziewana recesja w roku następnym nie powiększą dochodów ludności, które po sierpniu na poziomie nominalnym i liczone rok do roku przewyższają tylko o 2,8 proc. zeszłorocznego poziomu. A trzeba pamiętać, iż ostatnie szacunki mówią o tym, że rosyjska inflacja w tym roku będzie wynosiła 4–5 proc. Niebezpiecznie jednak w pierwszym półroczu wzrosła pula kredytów dla ludności – o 20,7 proc. Taka ekspansja kredytowa stanowi potencjalne, zwłaszcza w obliczu spowolnienia wzrostu albo działania niekorzystnych czynników zewnętrznych (takich jak sankcje), ryzyko dla stabilności całego sektora bankowego w Rosji. Wiele wskazuje na to, że już zaczyna on trzeszczeć, ale godzina próby jeszcze przed nim.

Rosyjski system bankowy przed godziną próby, **Marek Budzisz**, 21 września

Syndrom GetBack paraliżuje emitentów

FINANSE Trudno przesądzić, czy inwestorzy nadal są wystraszeni GetBackiem. Sądząc po przebiegu notowań na Catalyst, okres największych obaw minął mniej więcej dwa miesiące temu. Jednak inwestorzy indywidualni nie są zalewani kolejnymi propozycjami. Z prostej przyczyny. Wymagania KNF wobec oferujących wzrosły, nie jest łatwo przekonać bankowe domy maklerskie do dystrybucji, a kiedy już dokonają selekcji inwestorów i wybiorą takich, którzy mają kwalifikacje (odpowiednio wypełnioną ankietę MiFID II i zasoby), okazuje się, że jest ich po prostu niewiele. Emitenci zaś nie chcą testować rynku w obawie przed porażką. Inwestorzy profesjonalni z kolei nie pozyskują nowych środków na inwestycje, fundusze obligacji korporacyjnych nadal raportują zmniejszenie aktywów. Pytanie brzmi: czy podejmowane wysiłki idą w kierunku przyciągnięcia inwestorów i emitentów na rynek? Czy obowiązek prowadzenia ewidencji każdej emisji obligacji w KDPW wychodzi naprzeciw oczekiwaniom inwestorów i emitentów? A może jednak jest to bardziej spełnienie oczekiwań KNF, ministerstwa i samego KDPW? Czy postulat, by w emisjach prywatnych nominal jednej obligacji nie mógł być niższy od 400 tys. zł (zgłoszony przez Komisję) jest w interesie uczestników rynku, czy też może uderza w ich interesy? Ilu transakcji rocznie można się spodziewać po takich papierach? A tak się składa, że jednocześnie Ministerstwo Finansów chce, aby fundusze zaangażowane w obligacje korporacyjne aktywniej podchodziły do ich wyceny, naj-

piej rynkowej (w miejsce dominującej obecnie wyceny liniowej, czyli po cenie nabycia plus narosłe odsetki). To istotnie sprawa bardzo dla rynku ważna, ale jak zmusić fundusze do zawierania większej liczby transakcji na rynku regulowanym (bo na rynku OTC takie transakcje są przeprowadzane)? Gotowe recepty nie istnieją. Rynek kształtuje praktyka i należałoby zapytać uczestników rynku, czego potrzebują, zamiast nakazywać im podejmowanie takich czy innych działań. Łatwo dostrzec, że tempo rozwoju rynku siadło po nowelizacji ustawy o obligacjach w 2015 r. Krytykowano wówczas powszechnie zakaz handlu zdematerializowanymi obligacjami po dacie ich wykupu, ale ustawodawca wiedział lepiej niż inwestorzy, czego im potrzeba. Postulat zniesienia tego zapisu (na rozwiniętych rynkach obligacji takich absurdów nie ma) nie jest prostym rozwiązaniem problemu słabości rynku, ale byłoby to działanie w rzeczywistym interesie inwestorów, którzy w aktualnym brzmieniu ustawy o obligacjach przymusowo przeistaczają się w prawników biegłych w prawie upadłościowym, sfrustrowanych tym, że od nich wymaga się podejmowania szybkich decyzji i działań, podczas gdy procesy restrukturyzacji, upadłości, formowanie aktów oskarżenia mogą trwać latami i nie przynosić efektów. Na rozwoju rynku skorzystają wszyscy, na rozwoju nakazów i obostrzeń – tylko nieliczni, a i to nie jest pewne.

Ochrona inwestorów czy stołków?, **Emil Szweda**, 21 września

LEADING IN THE NEW



temat numeru

Fakty & Procesy & Prognozy



Biznes lubi amerykański parasol bezpieczeństwa

PIOTR ROSIK

Bazy wojskowe USA mają zazwyczaj dobry wpływ na gospodarkę kraju goszczącego. Przyciągają inwestorów i rozkręcają lokalną przedsiębiorczość. Ich budowa i rozwój wymagają jednak sporych nakładów

Projekt stałej bazy US Army w Polsce o roboczej nazwie Fort Trump przedstawił oficjalnie prezydent RP Andrzej Duda podczas wrześniowej wizyty w Białym Domu, w Waszyngtonie. Obecnie w naszym kraju, w Redzikowie na Pomorzu, stacjonuje niemal 4 tys. amerykańskich żołnierzy na zasadzie rotacyjnej. Utworzenie stałej bazy – szczególnie w pobliżu wschodniej granicy – byłoby znaczącą zmianą geopolityczną, która zmniejszyłaby znacznie zagrożenie ze strony Rosji.

2 mld dol. może nie starczyć

Do utworzenia stałej bazy amerykańskiej armii w Polsce potrzeba silnej woli politycznej prezydenta USA Donalda Trumpa. Polska zaoferowała 2 mld dol. na zachętę, ale ta suma pokryje tylko część kosztów budowy Fortu Trump. Szacuje się, że tyle wydano na utworzenie baz amerykańskich w Niemczech, ale były one budowane i remontowane wiele lat

Polska stara się o przeniesienie z USA i stałą bazę nad Wisłą całej jednej dywizji US Army, czyli 15–18 tys. żołnierzy

fot. Krzysztof Kaniowski/REPORTER

temu, gdy za równowartość 2 mld dol. można było kupić o wiele więcej materiałów budowlanych i wykonać więcej prac niż teraz.

Nieoficjalnie mówi się, że Polska stara się o przeniesienie z USA całej jednej dywizji (15–18 tys. żołnierzy). To oznacza, że baza byłaby bardzo duża i z pewnością rozrosłaby się błyskawicznie, tak jak to miało miejsce w przypadku innych amerykańskich lokacji tego typu. Taka baza to nie tylko koszary czy miejsce do ćwiczeń (poligon), lecz także lotnisko, magazyny, biura, bloki mieszkalne dla osób cywilnych obsługujących bazę.

Amerykanie mają w Niemczech ok. 35 tys. żołnierzy (w największej bazie Ramstein oraz w kilku mniejszych). W 2017 r. wydali na ich utrzymanie 5 mld dol. To oznacza, że koszt utrzymania polskiej bazy mógłby oscylować wokół 2–2,5 mld dol. w skali roku. Zwyczajowo kraj goszczący US Army pokrywa część kosztów utrzymania bazy: w RFN to 18 proc., w Korei Południowej – już 41 proc., a w Japonii aż 50 proc. To oznacza, że Polska być może musiałaby dokładać nawet 1 mld dol. rocznie do stacjonowania amerykańskiej dywizji (minimum to 200–400 mln dol.).

Wzrosną koszty cyberbezpieczeństwa

Wraz z rosnącą obecnością wojsk amerykańskich w Polsce mogą też pójść w górę koszty związane z cyberbezpieczeństwem, zarówno po stronie podmiotów publicznych, jak i prywatnych. Krajowe instytucje i firmy będą musiały ponieść wydatki na poprawę jakości cyberzabezpieczeń. Koszty będą rozłożone w czasie.

Należy zrobić wszystko, by nie dopuścić do pojawienia się kosztów związanych z atakami hakerskimi czy niewymiernych związanych np. z dezinformacją.

– Ewentualna stała obecność wojsk amerykańskich w Polsce bez wątpienia będzie miała wpływ na sytuację geopolityczną w regionie. Doświadczenia z przeszłości pokazują, że napięcia w świecie realnym mają swoje odzwierciedlenie w cyberprzestrzeni. Dlatego po wybudowaniu Fortu Trump możemy mieć do czynienia z większą liczbą wrogich działań prowadzonych w internecie, mających związek ze stałą obecnością wojsk USA – mówi „Gazecie Bankowej” dr Joanna Świątkowska, dyrektor programowy Europejskiego Forum Cyberbezpieczeństwa CYBERSEC i analityk Instytutu Kościuszki.

Według Joanny Świątkowskiej zjawisko to może przybierać różne formy. – Obecność wojsk USA może generować większe zainteresowanie służb wywiadowczych obcych państw. A jak wiadomo, szpiegostwo prowadzone przy użyciu środków teleinformatycznych jest na porządku dziennym. Ponadto, a wątek ten obserwowaliśmy już na przykładzie wzmacniania flanki wschodniej NATO, możemy zarejestrować wzmożone działania dezinformacyjne, także w cyberprzestrzeni. Mogą być one nakierowane zarówno na samych żołnierzy, jak i na społeczeństwo. Potencjalnym celem, jaki można tutaj osiągnąć, jest zmniejszenie akceptacji społecznej dla obecności wojsk – wskazuje ekspert Instytutu Kościuszki.

Polskie podmioty, w przypadku budowy stałej bazy, będą musiały potwierdzić zdolność do współpracy



W Polsce od 2017 r. na Dolnym Śląsku stacjonują rotacyjnie pododdziały wojsk USA, mające stałe bazy w Niemczech. Na zdjęciu: uroczystość powitania w Żaganiu żołnierzy 1. Dywizji Kawalerii USA

fol. US Army/Spc. Kevin Wang

z partnerem z NATO. – Systemy teleinformatyczne, w których mają być przetwarzane informacje niejawne, podlegają procesowi akredytacji bezpieczeństwa teleinformatycznego – zwraca uwagę Joanna Świątkowska.

Gospodarka szybciej rośnie

Pytanie, czy poza wymienionymi kosztami oraz korzyściami geopolitycznymi pojawią się jeszcze jakieś inne profity, np. ekonomiczne. Ameryka ma długą tradycję zakładania baz za granicą (pierwszą zbudowała w Guantanamo na Kubie pod koniec XIX w.), więc świat nauki powinien coś na ten temat wiedzieć.

Tomasz Wróblewski, prezes Warsaw Enterprise Institute (WEI), wskazuje, że Pentagon dysponuje dość precyzyjnymi wyliczeniami, jeżeli chodzi o wpływ amerykańskich wojsk na gospodarkę krajów goszczących. – Z danych amerykańskiej administracji wynika, że kraje, w których w latach 1950–2000 stacjonował znaczący kontyngent US Army, liczący ponad 30 tys. żołnierzy, osiągnęły dwukrotnie wyższe tempo wzrostu PKB od średniej w regionie. W krajach z najmniejszą liczbą żołnierzy amerykańskich tempo wzrostu było o 30 proc. większe, niż wynosiła średnia PKB w regionie. Zawsze był to jednak pozytywny wpływ – mówi „Gazecie Bankowej” Tomasz Wróblewski.

Z danych Pentagonu wynika, że najbardziej na obecności amerykańskich wojsk w latach 1950–2000 skorzystały Niemcy i Filipiny, których gospodarki rozwijały się średniorocznie o nieco 3 pkt proc. szybciej niż gospodarki sąsiadów. – Zaskakująco mocny wpływ na PKB w okresie wojny w Wietnamie miały wojska amerykańskie na gospodarkę Tajlandii. Rosła ona średnio o 2,05 pkt proc. szybciej niż gospodarka krajów sąsiadujących. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń przyjmuje się, że obecność 10 tys. żołnierzy US Army w danym kraju przez 10 lat podnosi jego tempo rozwoju PKB średnio o 0,9 pkt. proc. rocznie – podkreśla Tomasz Wróblewski.

Dzieje się tak dlatego, że inwestorzy chętniej lokują kapitał w krajach goszczących wojska amerykańskie,

PKB per capita według parytetu siły nabywczej (USD)

	1960	2000	średniorocznie (proc.)
10 krajów z największą liczbą żołnierzy US Army	4916	16413	3,25
drugie 10 krajów z największą liczbą żołnierzy US Army	5603	16872	2,82
94 kraje, w których stacjonowały wojska amerykańskie	3625	9504	1,86



fol. Mariusz Kapala/Gazeta Lubuska

Baza wojskowa to nie tylko koszary (na zdjęciu amerykańscy żołnierze w stołówce w Żaganie) czy poligon, lecz także lotnisko, magazyny, biura – słowem: rozwój lokalnego biznesu i miejsca pracy

firmy handlowe chętniej rozpoczynają działalność na tych rynkach. Przedsiębiorcy liczą po prostu na to, że amerykański „parasol bezpieczeństwa” będzie rozpięty również nad ich biznesami. Do takiego wniosku doszli m.in. autorzy raportu „The Effect of US Troop Deployments on Human Rights” („Journal of Conflict Resolution”, nr 10/2017).

Pozytywny wpływ amerykańskich baz na gospodarkę kraju goszczącego był zazwyczaj tym mocniejszy, im biedniejszy był gospodarz. Tak wynika z opracowania „U.S. Troops and Foreign Economic Growth” (2011) autorstwa Gareta Jonesa z George Mason University i Tima Kane’a z Ewing Marion Kauffman Foundation. Tymczasem Polska nie jest krajem ubogim, a coraz częściej jest postrzegana jako kraj rozwinięty. Prawdopodobnie pozytywny efekt budowy Fortu Trump w najbliższej przyszłości nie byłby tak doniosły, jak mogłoby być kilkanaście lat temu. Poza tym, jak wskazali Jones i Kane w podsumowaniu swojej pracy: „Wątpliwe jest, aby opisany efekt działał za każdym razem w każdym kraju, szczególnie jeśli amerykańskie wojska są w nim niemiłe widziane”.

Warto spojrzeć dokładniej na Niemcy i efekty ekonomiczne, jakie przynosi obecność US Army. Z danych biura zarządzającego amerykańską bazą w Ramstein wynika, że w 2003 r. jej funkcjonowanie przyniosło niemieckiej gospodarce wymierne korzyści o wartości 1,3 mld dol., a 10 lat później sięgające ok. 2,3 mld dol. (zarówno w roku 2013, jak i 2014). W 2015 r. było to 1,94 mld dol., w przypadku całego okręgu Kaiserslautern Military Community, którego baza Ramstein jest główną częścią – poinformowało „Gazetę Bankową” Deutsch-Amerikanisches Bürgerbüro. To pokazuje, że baza wielkości 20–25 tys. żołnierzy generuje dla gospodarki rocznie stałą wartość ok. 2 mld dol.



Inwestorzy chętniej lokują kapitał w krajach goszczących wojska amerykańskie. Na zdjęciu amerykańskie śmigłowce szturmowe Apache w trakcie ćwiczeń NATO w Polsce

foto: U.S. Army photo by Visual Information Specialist Eugen Warkentin

Baza ożywia gospodarkę lokalną

Jak można się domyślić, budowa stałych baz wojskowych wpływa niezwykle pozytywnie na gospodarkę lokalną, przede wszystkim podnosząc stopę zatrudnienia. Jak wynika z raportu „The Regional Economic Effects of Military Base Realignment and Closures in Germany” (Ruhr Economic Paper, nr 181/2010), ten efekt jest tym większy, im większa jest baza.

Niestety wraz z likwidacją bazy lokalna społeczność doznaje często „ekonomicznego szoku”. Tak bywało wielokrotnie, gdy amerykańskie bazy były likwidowane na zachodzie RFN, co zostało opisane w artykule „Bye Bye, G.I. – The Impact of the U.S. Military Drawdown on Local German Labor Markets” (SFB Discussion Paper nr 24/2012). O tym, jak dużym problemem jest zazwyczaj likwidacja bazy dla lokalnej społeczności i gospodarki, świadczy mnogość opracowań naukowych poświęconych temu zagadnieniu, próbujących wskazać dalsze drogi rozwoju miasta czy regionu po zniknięciu żołnierzy.

Niektóre opracowania podnoszą również negatywne efekty funkcjonowania amerykańskich baz wojskowych w wymiarze lokalnym. Tego rodzaju obiekty przyczyniają się do podniesienia poziomu hałasu, poziomu zanieczyszczenia środowiska, wzrostu cen nieruchomości, a także do rozwoju prostytucji czy pojawienia się przemocy wobec kobiet – przekonuje Catherine Lutz z Brown University w pracy „U.S. Foreign Military Bases: The Edge and Essence of Empire” opublikowanej na łamach książki „Rethinking America”, wydanej w 2009 r.

– Trudno się odnosić do kwestii obyczajowych w kontekście baz, choćby prostytucji mogącej towarzyszyć nowym jednostkom wojskowym. Problem nie jest przypisany tylko do amerykańskich żołnierzy. Co więcej, prostytucja w Polsce jest po części legalna i nie

sposób jej traktować niezależnie od wzrostu gospodarczego – uważa Tomasz Wróblewski.

Najpierw inwestycje, potem wymagania

Wiosną 2019 r. Pentagon ma przedstawić raport pokazujący, czy z amerykańskiego punktu widzenia jest sens tworzyć stałą bazę w Polsce. Na możliwy pozytywny wydźwięk raportu może wskazywać wypowiedź byłego dowódcy sił USA w Iraku i Afganistanie oraz byłego szefa CIA gen. Davida Petraeusa, który w połowie października – podczas gali z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości, zorganizowanej w Waszyngtonie przez organizacje polonijne – stwierdził, że utworzenie stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce jest zasadne.

Niektórzy analitycy podchodzą jednak sceptycznie do koncepcji budowy Fortu Trump od podstaw. – Obecnie w Redzikowie stacjonuje rotacyjnie ok. 4 tys. amerykańskich żołnierzy i to właśnie Redzikowo należy traktować jako Fort Trump. Trzeba naciskać na rozbudowę Redzikowa, wkładać więcej wysiłku w poprawę infrastruktury wokół istniejącej bazy, stworzenie lepszych warunków mieszkaniowych dla rodzin żołnierzy, budowę szkół, przedszkoli, dróg i miejsc wypoczynkowych. Dobrze wziąć przykład z tego, co Niemcy zrobili dla Amerykanów wokół bazy w Ramstein. Trzeba najpierw zainwestować, zanim zaczniemy wymagać – podsumowuje Tomasz Wróblewski.

Cały czas musimy mieć jednak w tyle głowy polityczny i geostrategiczny wymiar obecności Fortu Trump w Polsce. Na pieniądze wydane na ten cel należy patrzeć jako na inwestycję o długim horyzoncie. I mieć nadzieję, że efekty mnożnikowe spowodują, iż rachunek per saldo wyjdzie nam na plus dużo szybciej, niż się wydaje. ●

Taką energię pamiętamy!

O poświęceniu naszych przodków w imię ojczyzny nigdy nie należy zapominać. Pamięć o ich niezwykłych czynach przekazujemy z pokolenia na pokolenie. Z ich bohaterskiej historii czerpiemy odwagę i inspirację, by nigdy się nie poddawać.

Takie wartości cenimy
i dla takiej Polski chcemy
dzielić się dobrą energią.

**Wspieramy pamięć
o bohaterach.**

100
NIEPODLEGŁA!

*"Naród, który nie szanuje
swej przeszłości nie
zasługuje na szacunek
teraźniejszości i nie ma
prawa do przyszłości."*

J. Piłsudski



Energa

www.energa.pl

Obronimy Polskę

Obecny Kongres jest bardzo antyrosyjski i bardzo propolski.
A więc pytanie nie brzmi: czy będzie stała baza wojsk USA w Polsce,
tylko kiedy to nastąpi – mówi George Friedman, szef portalu analitycznego
Geopolitical Futures, a wcześniej think tanku Stratfor

ROZMAWIAŁA

ALEKSANDRA RYBIŃSKA



fot. archiwum prywatne George'a Friedmana

Rząd w Warszawie chce przekonać Amerykanów do stałej obecności w Polsce. Prezydent Andrzej Duda mówił podczas spotkania z prezydentem USA Donaldem Trumpem, że ma nadzieję, iż „zbudujemy razem w Polsce Fort Trump”. Jakie są szanse na powstanie stałej bazy wojsk USA w naszym kraju?

George Friedman: Ta uwaga o Forcie Trump była ewidentnie żartem. To nie zmienia jednak faktu, że prawdopodobieństwo powstania takiej bazy na polskiej ziemi jest obecnie bardzo duże. Po pierwsze, amerykańskie wojska już stacjonują w Polsce. To wprawdzie rotacyjna obecność, ale oznacza, że struktury już są, a więc stosunkowo łatwo będzie zamienić obecność rotacyjną w stałą. To wymaga niewielkich zmian. Rotacyjna obecność pozwala amerykańskim wojskom na zapoznanie się z terenem, uwarunkowaniami strategicznymi itd.

Dla mnie osobiście jednak różnica między obecnością rotacyjną a stałą jest niewielka. W zasadzie symboliczna.

W ustawie określającej budżet Pentagonu znalazł się plan stworzenia raportu, który ma ocenić zasadność rozmieszczenia amerykańskich żołnierzy na stałe w Polsce. Dokument do marca 2019 r. mają przygotować departamenty stanu i obrony. To już nie symbol, tylko konkrety...

W Departamencie Obrony jest tworzonych wiele raportów. Niektóre dalej

George Friedman, szef portalu analitycznego Geopolitical Futures: Za amerykańskimi pieniędzmi idzie ochrona amerykańskich interesów, a więc bezpieczeństwo

żyją, inne idą do archiwum. Jak w każdej biurokracji także w naszej powstają plany na różne ewentualności. Warunki są jednak korzystne. Obecny Kongres jest bardzo antyrosyjski i bardzo propolski. A więc pytanie nie brzmi: czy będzie stała baza, tylko kiedy to nastąpi? Nie chciałbym jednak, by na tym opierała się cała współpraca między Polską a USA. Nie chciałbym, by to akurat było fundamentalną kwestią w naszych relacjach. Amerykańscy żołnierze już są w Polsce, na wschodniej flance. To całkowicie wystarczy jako narzędzie odstraszenia. Rosjanie wiedzą, że jeśli zaatakują Polskę i zabiją amerykańskich żołnierzy, to tym samym zaatakują USA. I nie ma przy tym znaczenia, czy w Polsce stacjonuje 3 tys., czy 100 tys. amerykańskich żołnierzy. To, co się liczy, to nasza odpowiedź. A nasza odpowiedź będzie nieograniczona. Te 3 tys. żołnierzy oczywiście nie obroni Polski. Ale nie o to chodzi. Jedną z koncepcji założycielskich Sojuszu Północnoatlantyckiego nazywa się „tripwire” – drut rozpięty nisko nad ziemią, którego nadeptanie lub dotknięcie odpala minę. Siły Stanów Zjednoczonych w Europie – oraz na Bliskim i Dalekim Wschodzie – od wielu dziesięcioleci pełnią m.in. taką funkcję. Kto je zaatakuje, sprowokuje wojnę z całą potęgą wojskową, ekonomiczną i cywilizacyjną Ameryki. Tak było w Berlinie w czasie zimnej wojny. Mieliśmy tam zaledwie jedną brygadę. Sowieci grozili, przeżyli muskuły, ale wiedzieli, że nie należy przekroczyć tej granicy. Bo to grozi wojną z USA.

Ale my chcemy gwarancji...

Zgadza się. Polacy chcą strategicznej gwarancji od USA. Obecność wojsk USA w Polsce jest tą strategiczną gwarancją. Bez względu na to, czy jest ich 100, 3 tys., czy 100 tys. Czy są w Polsce rotacyjnie, czy są na stałe. Oczywiście istnienie takiej bazy ma swoje praktyczne zalety. Ale amerykańska gwarancja polega na tym, że w Polsce są amerykańscy żołnierze, a my jesteśmy lojalni wobec sojuszników. Kwestia stałej bazy jest więc tylko po części kwestią militarną. W dużej mierze jest to problem psychologiczny. Moim zdaniem ta baza powstanie, ale nie chciałbym, by Polacy postrzegali stałą obecność wojsk USA jako sprawdzian naszego zaangażowania.

Administracje i prezydenci się zmieniają. Barack Obama wycofał się, o ile pamięć mnie nie zawodzi, z planów budowy tarczy antyrakietowej w Polsce. Może stąd te obawy w Warszawie?

Bardzo dobrze, że Obama się z tych planów wycofał. No bo, przepraszam, kto zamierzał was wtedy zaatakować za pomocą rakiet? Gdyby Rosja chciała was atakować rakietami z głowicami atomowymi, tarcza wychwyciłaby tylko niewielką liczbę z nich. Ale nie o to mi chodzi. Stany Zjednoczone są demokracją tak jak Polska. Jaką mamy gwarancję, że na-

”

Problem z Polską polega na tym, że patrzycie na symboliczną wartość różnych rzeczy zamiast na ich wartość militarną. Tak jest także w przypadku stałej bazy wojsk USA

stępny polski rząd nie każe nam wracać do domu? Żadnej. Polacy muszą zrozumieć, że my też mamy problemy z sojusznikami, którzy nas proszą o to, byśmy do nich przybyli, ale potem nie robią tego, do czego się zobowiązali. Najpierw nas zapraszają, a potem chcą, byśmy się wynieśli. Nie, uważam, że decyzja Obamy w sprawie tarczy była słuszna. Problem z takimi krajami jak wasz polega na tym, że patrzą na symboliczną wartość różnych rzeczy zamiast na ich wartość militarną. Tak jest także w przypadku stałej bazy wojsk USA. To, co Polsce realnie grozi, to atak lądowy przez kraje bałtyckie. Dlatego potrzebujecie, moim zdaniem, bardziej niż tarczy broni taktycznej: artylerii, broni przeciwpancernej, obrony przeciwlotniczej, helikopterów. Rosjanie nie rozpętają z powodu Polski wojny nuklearnej. Tarcza antyrakietowa to był więc taki symbol, za pomocą którego Polacy mierzyli poziom amerykańskiego zaangażowania. Moja odpowiedź brzmi: miarą amerykańskiego zaangażowania jest obecność na polskiej ziemi amerykańskich żołnierzy. Nie może być większego zaangażowania niż obecność naszych wojsk, bez względu na to, czy jest ona stała, czy rotacyjna. Pewnie będziemy mieć ostatecznie obecność stałą. Uważam, że to nie jest najlepszy pomysł, choć nie oznacza to oczywiście, że jest to pomysł zły. Powtarzam: zawsze możemy zbudować Fort Trump, ale następny polski rząd np. oskarży nas o imperializm. Tak więc musimy być ostrożni, dokładnie tak samo jak wy. Bez względu na to relacje między USA a Polską są obecnie znakomite. Lepsze niż kiedykolwiek.

Rosja ogłosiła, że jeśli Fort Trump powstanie, znajdzie się na celowniku rosyjskich rakiet. Wiceminister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej Aleksander Gruszko oświadczył, że „uruchomi to lawinę, której nie da się już zatrzymać”. Powinniśmy traktować tę groźbę poważnie?

Nie. Rosjanie ciągle grożą i nic z tego nie wynika. Gdyby doszło do rosyjskiego ataku rakietowego na Polskę, a już, broń Boże, na stałą bazę wojsk USA, to odpowiedź byłaby odpowiednia. My też mamy

rakiety. I Rosjanie o tym wiedzą. Nie muszą one na dodatek wcale być w Polsce. Rosjanie usiłują zdestabilizować Polskę. Jednocześnie jest to państwo tak niekompetentne, że straciło Ukrainę. Proszę przypomnieć sobie porażki, które ponieśli w Donbasie. Rosja usiłuje udowodnić wszystkim wokół, że jest silna. Stąd także duże zaangażowanie Kremla w Syrii. Ale to mrzonki. Wszyscy mamy tendencję do przeceniania Rosji. My, Amerykanie, przecenialiśmy ją za czasów zimnej wojny. Myśleliśmy, że jest o wiele silniejsza, niż rzeczywiście była. A dzisiejszej Rosji daleko do Związku Sowieckiego. To kraj Trzeciego Świata. Nie twierdzę, że Rosja nie stanowi żadnego zagrożenia. Stanowi. Ale oceniając Rosję, trzeba patrzeć nie na to, co mówi, tylko na to, co robi i jak sobie radzi. Na Ukrainie chociażby.

”

Biorąc pod uwagę chaos panujący obecnie w Unii Europejskiej oraz wasze trudne relacje z Brukselą, powinniście dążyć do tego, by stać się uprzywilejowanym partnerem USA również w wymiarze gospodarczym

Istnieją też obawy w Polsce, szczególnie po niedawnym przemówieniu wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a i wobec rozkręcającej się wojny handlowej z Chinami, że Stany Zjednoczone odwrócą się nieco od Europy i skupią się na rejonie Pacyfiku. To uzasadnione niepokoję?

Stany Zjednoczone walczyły w II wojnie światowej, jednocześnie dokonując inwazji Europy i Japonii. Jesteśmy potęgą światową. Hegemonem. Nie musimy wybierać między jednym regionem a drugim. Stać nas na obecność wszędzie. W czasie zimnej wojny broniliśmy Europy, prowadząc jednocześnie wojny w Wietnamie i Korei. Świat się zmienia, mamy interesy w Azji, sojuszników, których musimy bronić. Patrzymy na Europę inaczej. Ale wciąż mamy świadomość, że Rosja jest zagrożeniem dla Europy, tyle że dziś nie stawiamy jej tamy w Niemczech, tylko w Polsce i Rumunii. W Europie Środkowo-Wschodniej. Zupełnie inny stosunek mamy do Niemiec, Francji i reszty krajów zachodniej Europy. Przestały być dla nas wartościowymi sojusznikami. Ponadto, jeśli chodzi o NATO, to by mieć sojusz militarny, należy mieć wojsko. Europejczycy porzucili NATO i USA, gdy znacznie zredukowali swoją siłę militarną. Nie spełniają także swoich zobowiązań

finansowych wobec sojuszu. Linia demarkacyjna nie przebiega więc już przez środek Niemiec, tylko wzdłuż wschodniej granicy Polski oraz w Rumunii, czyli nad Morzem Czarnym.

Mamy poważny problem z Chińczykami. Budujemy sojusz z Japonią, Australią oraz Indiami, by skontrolować Państwo Środka. To nie znaczy jednak, że was pozostawimy samym sobie. Musicie sobie uświadomić ogrom amerykańskiej potęgi. Mamy ponad milion żołnierzy. Obronimy Polskę, jeśli będzie to konieczne.

Powiedział pan wcześniej, że stała baza wojsk USA nie powinna być głównym elementem naszej współpracy. To co nim powinno być?

Relacje między Waszyngtonem a Warszawą powinny mieć dwa wymiary. Militarny i gospodarczy. A wymiar gospodarczy nie powinien się rozgrywać pomiędzy wielkimi amerykańskimi oraz polskimi koncernami, ale między start-upami w Polsce a amerykańskimi inwestorami.

Mamy już jakąś wspólną koncepcję tego, co chcemy razem robić w dziedzinie militarnej. Teraz musimy wypracować wspólny model współpracy gospodarczej. Spójrzmy na Koreę Południową. W latach 50. XX w. był to jeden z najbiedniejszych krajów świata. Miał strategiczne znaczenie dla USA, a dziś jest potęgą przemysłową. Jak to się stało? Doszło do transferu technologii, powstały koreańsko-amerykańskie joint ventures. Naprawdę dojrzała relacja, taka jaką USA utrzymują z Izraelem, a wcześniej, po II wojnie światowej, utrzymywały z Japonią i Niemcami, jest w zasięgu ręki dla Polski. Macie szansę poszerzyć współpracę militarną o wymiar gospodarczy i wszystko, co za tym idzie, czyli właśnie transfer technologii oraz wielkie inwestycje. Biorąc pod uwagę chaos panujący obecnie w Unii Europejskiej i wasze trudne relacje z Brukselą, powinniście dążyć do tego, by stać się uprzywilejowanym partnerem USA także w wymiarze gospodarczym. To scementowałoby nasze relacje. Za amerykańskimi pieniędzmi idzie ochrona amerykańskich interesów, a więc bezpieczeństwo. I nie mówię tu o Trójmorzu, gdyż zainteresowanie amerykańskich inwestorów Słowenią czy Czechami jest raczej ograniczone. Trójmorze to świetny pomysł, ale amerykański biznes będzie wolał inwestować w Polsce niż choćby w Chorwacji. Ponadto każdy format, który choć odrobinę w swej strukturze przypomina UE, odstrasza nawet najbardziej zmotywowanych amerykańskich inwestorów. Oni wolą prostotę: Polska to fajny kraj dla inwestycji. Podobnie jak Węgry czy Rumunia. A potem ewentualnie zobaczymy, ile możemy zainwestować w Trójmorze. Tak to już jest. Biznes nie lubi wielkich, strategicznych przedsięwzięć. ●



Gaz ziemny LNG – czyste i uniwersalne paliwo

LNG to skroplony gaz ziemny w temperaturze ok. -160°C , który ma 600-razy mniejszą objętość niż gaz w postaci lotnej.

To czyste i ekologiczne paliwo, które daje możliwość elastycznych dostaw energii niezależnie od infrastruktury dystrybucyjnej.

ZASTOSOWANIE LNG



Przemysł

gwarancja bezpieczeństwa
i niskich opłat środowiskowych



Energetyka

możliwość punktowego
wytwarzania energii



Żegluga

redukcja emisji siarki



Transport drogowy

najlepsza ekologiczna alternatywa
dla oleju napędowego

PGNiG Obrót Detaliczny sp. z o.o. jest liderem rynku sprzedaży gazu w Polsce.
Oferujemy:

- ✓ Kompleksową realizację i zarządzanie dostawami LNG
- ✓ Dedykowane stacje dystrybucji i regazyfikacji LNG
- ✓ Bunkrowanie statków paliwem LNG
- ✓ Kogenerację opartą na LNG

i WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW: <http://pgnig.pl/lng>

MAREK BUDZISZ

Niet, niet, niet!

Od próby zastraszenia, przez obelgi i lekceważenie, do odwoływania się do honoru.
Czyli wszystkie argumenty są dobre dla Moskwy, aby nie dopuścić do powstania
stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce



Siergiej Ławrow, szef MSZ Rosji, natychmiast po pojawieniu się tematu Fortu Trump zareagował na forum dyplomatycznym, co świadczy o wadze sprawy dla Moskwy

foto: lev radin / Shutterstock.com

Wszystkie liczące się rosyjskie media odnotowały inicjatywę stworzenia stałej bazy wojsk amerykańskich w naszym kraju, w skrócie nazywanej Fortem Trump. Już to stanowi informację, że sprawa z perspektywy Moskwy jest ważna, bo została dostrzeżona, a Polska niezbyt często bywa bohaterem artykułów na czołówkach rosyjskich gazet.

Jako oficjalna reakcja przytaczana jest wypowiedź wiceministra spraw zagranicznych Aleksandra Gruszki, który komentując w wywiadzie dla Agencji RIA Nowosti doniesienia na temat polskiej propozycji, w kilku punktach przytoczył stanowisko Moskwy. Opiera się ono na przekonaniu, że umieszczenie stacjonarnej bazy NATO w naszym kraju równa się zakwestionowaniu

zapisów umowy Rosja – NATO, która wedle rosyjskiej interpretacji zawiera zapisy zakazujące budowy tego rodzaju instalacji, a tym bardziej dyslokacji na terenie m.in. Polski stacjonarnych oddziałów Sojuszu Północnoatlantyckiego. Wymusi to, zdaniem rosyjskiego dyplomaty, podobne kroki po stronie Rosji oraz przyczyni się do pogorszenia relacji i „klimatu bezpieczeństwa” w Europie Środkowej. Gruszko uzupełnił swe oceny ostrzeżeniem, że rosyjska adekwatna reakcja doprowadzić może do „rozkręcenia spirali zbrojeń” oraz pogorszenia i tak już napiętych relacji między Rosją a NATO. Przede wszystkim z tego powodu, że – jak zauważył – społeczeństwo polskie będzie przekonywane o celowości takiego kroku, a to z kolei przyczyni się do narastania „wrogiej retoryki” oraz świadczyć ma o powrocie do sytuacji z czasów zimnej wojny. Niedługo potem

pojawiła się informacja, że na temat Fortu Trump z sekretarzem generalnym NATO rozmawiał, przy okazji plenarnego posiedzenia ONZ, rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow, co w oczywisty sposób świadczy o wadze sprawy. Cytowany przez media gubernator obwodu kaliningradzkiego Anton Alichanow oświadczył w reakcji na doniesienia o projekcie powstania bazy, że budowa obiektu wojskowego tego rodzaju w bezpośredniej bliskości granicy z Rosją wywołałaby u mieszkańców Kaliningradu jedynie „zdumienie i irytację”, choć oni „dobrze odnoszą się do swoich sąsiadów”.

Napinanie bicepsów

O ile, prócz wypowiedzi wiceministra Gruszki, temat Fortu Trump nie był już podnoszony przez przedstawicieli rosyjskiego MSZ, o tyle w mediach znaleźć można sporo wypowiedzi ekspertów wojskowych. I tak, pułkownik rezerwy Aleksander Żilin, reprezentujący Centrum Badań Problemów Bezpieczeństwa, w Radio Sputnik powiedział, że w jego opinii rozmieszczenie stałych oddziałów armii amerykańskiej w Polsce zmniejszy bezpieczeństwo państw regionu, ponieważ w obliczu przybliżenia wojskowych instalacji NATO do granic Rosji oraz krótkiego czasu, jaki będą mieli Rosjanie w razie odpalenia przez Amerykanów rakiet, „Polska zostanie wpisana na listę potencjalnych celów uderzenia wyprzedzającego”. „I kto wygra w razie zaognienia sytuacji?” – pyta retorycznie Żilin. Jego zdaniem z pewnością nie Polska, nie polscy obywatele ani nawet nie polski prezydent, który zgłosił propozycję. Z tej prostej przyczyny, że nie będą mogli się uratować. Kontynuując swe pogroźki, rosyjski ekspert wojskowy dodaje, że zyska amerykańska machina wojskowa, która zbliży się do granic Rosji, osłaniając swe zasadnicze interesy kosztem miejscowej ludności cywilnej. Tym interesem jest przeniesienie potencjalnego starcia amerykańsko-rosyjskiego jak najbliżej rosyjskich granic. Inny rosyjski

ekspert wojskowy, często występujący w tamtejszych mediach, generał rezerwy Natkaczew pytany przez „Niezawisimą Gazietę” powiedział, że „w razie konfliktu z USA lub NATO Fort Trump będzie można neutralizować, używając taktyczno-operacyjnych rakiet Iskander, które rozlokowane są w zachodniej części kraju”. Nie wykluczył również użycia rakiet skrzydlatych typu Kaliber czy Onyks znajdujących się na wyposażeniu rosyjskiej Floty Bałtyckiej oraz możliwości uderzeniowych rosyjskiego lotnictwa wyposażonego w naddźwiękowe rakiet Kindżał. Jeśli to by nie pomogło, wówczas rosyjskie siły zbrojne – jak powiedział – mogłyby zaatakować bazę przy użyciu bomb termobarycznych, mających moc porównywalną z taktyczną bronią jądrową. Zarówno wypowiedzi rosyjskich czynników oficjalnych, jak i ekspertów wojskowych mają na celu, co wydaje się dość oczywiste, zastraszenie polskiej opinii publicznej wizją nieuchronnego rosyjskiego odwetu.

„Zabaweczka śmiesznych Polaków”

Druga linia argumentacji rosyjskich mediów sprowadza się do oceny, że propozycja budowy Fortu Trump jest jedynie chciejstwem Polaków i nie zgodzą się na tę propozycję sami Amerykanie. Większość mediów przywołuje w tym kontekście wypowiedź byłego głównodowodzącego amerykańskimi siłami lądowymi w Europie Bena Hodgesa, który powiedział, że realizacja polskiej propozycji równałaby się „podważeniu jedności NATO”. Tego rodzaju argumenty, mające uzasadnić przekonanie, że amerykańska baza w Polsce nie powstanie, przytacza politolog z Kaliningradu Aleksandr Nosowicz, z którym rozmawiała „Komsomolska Prawda”. Jego zdaniem strona amerykańska już raz, latem tego roku, przy okazji spotkania państw członków Sojuszu w Brukseli, na podobnie formułowaną przez Warszawę propozycję odpowiedziała odmownie, choć nie wprost i w sposób zawołowany. Zdaniem Nosowicza aktywność Warszawy na tym polu oraz gotowość



Rosyjscy eksperci wojskowi ostrzegają, że Fort Trump zostanie „zneutralizowany” przy użyciu taktyczno-operacyjnych rakiet Iskander

fol. ID1974 / Shutterstock.com



Moskwa chce zastraszyć zwolenników Fortu Trump wizją nieuchronnego rosyjskiego odwetu, np. rakietami skrzydlatymi typu Kaliber czy Onyks, znajdującymi się na wyposażeniu rosyjskiej Floty Bałtyckiej

fol. Shutterstock

wyasygnowania 2 mld dol. na budowę niezbędnej infrastruktury związana jest ze słabnącą pozycją Polski w Unii Europejskiej. Rosyjski politolog przytacza na rzecz tej tezy wiele znanych argumentów, powołując się przy tym, co symptomatyczne, na list Aleksandra Kwaśniewskiego do prezydenta Andrzeja Dudy, w którym ten pierwszy napisał, że w efekcie jego starań Polska weszła do Unii Europejskiej, a rezultatem polityki obecnego polskiego obozu władzy może być wykluczenie naszego kraju z Unii.

To częste powoływanie się w rosyjskich mediach na argumenty tzw. totalnej opozycji ma nie tylko przydać wiarygodności tezom rosyjskiej propagandy, lecz przede wszystkim służyć zasadniczej tezie rosyjskiej narracji. Jej głównym elementem jest budowanie obrazu Polski rządzonej przez siły polityczne motywowane irracjonalnymi impulsami, bo głównie niechęcią do Rosji. Co więcej, to obraz Polski samotnej, w swych zabiegach nieskutecznej, a momentami nawet śmiesznej, ba, opuszczonej przez europejskich partnerów. Zdaniem rosyjskiego politologa Polska chce po prostu „kupić sobie”, płacąc 2 mld dol., pozycję w Europie. Bo jeżeli baza powstanie, a dopuszcza on taką możliwość, to Warszawę będzie trudniej pozbawić głosu w Unii Europejskiej.

Warto też zwrócić uwagę na to, jak do polskiej propozycji odnoszą się rosyjskie media opozycyjnie nastrojone wobec rosyjskiego establishmentu. I tak Radio Swoboda przeprowadziło wywiad z byłym korespondentem „Gazety Wyborczej” w Rosji, Wacławem Radziwinowiczem, który mówiąc wiele o przyczynach, dla których Warszawa sformułowała propozycję budowy Fortu Trump, czuł się w obowiązku dodać, iż w jego opinii Polacy nie postrzegają tej inicjatywy dobrze, bo zaproszenie nad Wisłę amerykańskich żołnierzy godzi w nasze poczucie dumy narodowej, jako że „są to najemnicy” i Polacy będą rozczarowani, a nawet urażeni, że „najemnicy” muszą stać na straży ich bezpieczeństwa. Radziwinowicz określa propozycję polskiego prezydenta mianem bardzo kosztownej „zabaweczki”. Byłoby nieuczciwe nie wspomnieć, że dziennikarz opozycyjnej „GW” mówi o budowanym przez Rosję, w wyniku militaryzacji obwodu kaliningradzkiego, poczuciu zagrożenia oraz o tym, że wielu Polaków w efekcie pozytywnie przyjmuje propozycję prezydenta Dudy. Ale warto też

odnotować podobną jak w przypadku Nosowicza narrację – Polska z lidera staje się pariasem Europy i dlatego obecna władza przyjęła „kurs na Waszyngton”.

Wstydźcie się, sąsiedzi

Igor Dunajewskij, publicysta oficjalnej „Rossijskiej Gaziety”, analizę stosunków polsko-amerykańskich rozpoczyna od refleksji na temat zdjęcia prezydentów amerykańskiego i polskiego, na którym ten ostatni stoi, a pierwszy siedzi w trakcie podpisywania wspólnej deklaracji (redakcja oczywiście zamieściła to zdjęcie, podobnie jak często reprodukowane w Polsce zdjęcie z 2010 r. Lecha Wałęsy i biznesmena Donalda Trumpa). W jego opinii, i tu raczej nikt się nie zdziwi, to oczywisty wyraz lekceważenia sojusznika, ale i szersze zjawisko polegające na tym, że z perspektywy Waszyngtonu relacje z Polską, lecz również z Ukrainą (bo znane jest podobne zdjęcie, na którym stał minister Klimkin) czy w ogóle z Europą, mają marginalne znaczenie. Dunajewski uważa, że amerykański prezydent traktuje bazy wojskowe jak towar eksportowy, za który trzeba płacić, tak samo jak za każdy inny towar. I dlatego tak kontent był, co podkreślał wielokrotnie, z tego, że Andrzej Duda zaproponował 2 mld dol., a nawet więcej.

Argumentacje publicysty rosyjskiego i byłego korespondenta „Gazety Wyborczej” są w tej materii dość zbieżne. Podobnie zresztą jak przedstawiona na portalu Pravda.ru przez Konrada Rękasa, prorosyjskiego polskiego polityka. W jego opinii Polski, kraju – jak argumentuje – w którym trwają strajki pracowników służby zdrowia oraz protesty rolników, po prostu nie stać na sfinansowanie amerykańskiej bazy. Budżet został – twierdzi Rękas – osuszony w efekcie polityki społecznej, której symbolem jest program 500+, ale polskie elity muszą się teraz rewanżować Amerykanom za lata, kiedy były przez nich subsydiowane. Co ciekawe, i w jego wywodach pojawia się „wątek godnościowy”. Wspomina się zarówno o krześle, jak i o wstydzie, który jakoby przeżywają Polacy w związku z obecnością amerykańskich żołnierzy na naszej ziemi.

Jednym słowem, niezależnie od politycznej afiliacji wypowiadających się, amerykańskim bazom w Polsce, dla dobra Polaków, Rosja mówi stanowcze „niet”!

64/0818/F



ZBIERAJ KORZYŚCI, OSIĄGAJ MARZENIA

Pakiet Emerytalny PKO TFI (IKZE + IKE)

Nasza przyszłość to wyznaczone cele i piękne marzenia. Warto zbliżać się do nich dzięki planowemu oszczędzaniu w ramach Pakietu Emerytalnego PKO TFI, zawierającego produkty IKZE i IKE. Dobrze też wiedzieć, że ta forma odkładania środków przynosi korzyści już teraz:

- ulgę podatkową
- odliczenia od podatku aż 1706 zł*
- możliwość dziedziczenia środków
- możliwość odkładania środków w swoim tempie

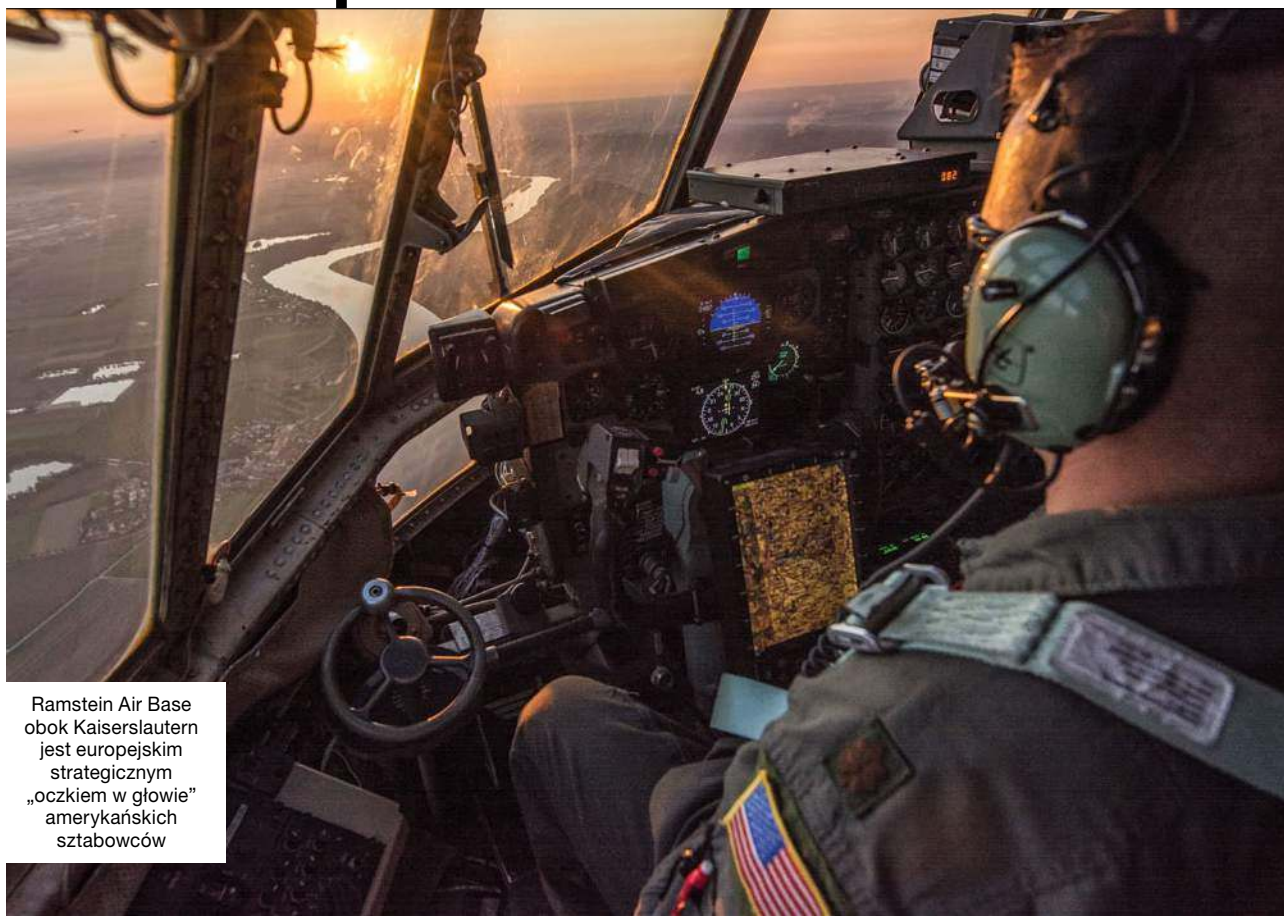
Tych z Państwa, którzy wybrali już tę formę oszczędzania, zachęcamy do uzupełnienia limitów rocznych.



www.pkotfi.pl, Infolinia: 801 32 32 80, +48 22 358 56 56 opłata zgodna z taryfą operatora

PKO TFI podlega nadzorowi KNF. Niniejszy materiał ma charakter informacyjny. Inwestowanie w fundusze wiąże się z ryzykiem. Przed inwestycją zalecamy zapoznanie się z KIID.

*Kwota 1706 zł stanowi szacunkowe wyliczenie korzyści podatkowej przy stopie podatkowej 32% dla osób fizycznych, przy wpłacie maksymalnej na rachunek IKZE w 2018 r.



fot. U.S. Air National Guard photo by Staff Sgt. Patrick Evenson

Ramstein Air Base obok Kaiserslautern jest europejskim strategicznym „oczkiem w głowie” amerykańskich sztabowców

WOJCIECH OSIŃSKI

Berlin

Srogi Wujek Sam

Pomysł przeniesienia amerykańskich instalacji wojskowych z Niemiec do Polski nasi zachodni sąsiedzi przyjęli z niepokojem. Nic dziwnego, militarna obecność USA jest istotną częścią gospodarki niemieckiej

W końcu czerwca po drugiej stronie Atlantyku środki przekazu zdominowała informacja, jakoby Donald Trump rozważał wycofanie wojsk stacjonujących na terenie RFN. Według redaktorów dziennika „Washington Post” skala obecności amerykańskiego wojska w Niemczech zaskoczyła prezydenta USA, co dało mu okazję do zadania Niemcom kolejnego prztyczka w nos. Skierowane do Pentagonu zapytanie o możliwość przeniesienia 35 tys. amerykańskich żołnierzy wpisuje się w kontekst rosnących od wielu miesięcy napięć na linii Waszyngton–Berlin. Pretekstem do zaostrzenia krytyki pod adresem Angeli

Merkel (szczególnie przed szczytami NATO) są nieodmiennie niskie wydatki Niemiec na obronność. O ile polemiczne salwy niemieckich dziennikarzy, celujące w wojnę handlową Trumpa, miały dotąd raczej letnią temperaturę, o tyle jego czerwcowe zapowiedzi rozpały emocje niektórych mediów do czerwoności. Zamiar wycofania wojsk jest powtórzeniem znanych gróźb gospodarza Białego Domu z rozciągnięciem ich na kolejny (i znacznie poważniejszy) obszar konfrontacji.

„Obecność wojsk USA w Niemczech jest niezwykle istotna, zwłaszcza w regionach słabych ekonomicznie. Amerykanie wynajmują i kupują mieszkania, korzystają z ofert gastronomicznych i zostawiają pieniądze w sklepach spożywczych. Po zamknięciu baz US Army

wielu Niemców straci środki na chleb” – pisze Antonie Rietzschel, redaktorka „Süddeutsche Zeitung”. Z ustaleń monachijskiego dziennika wynika, że ok. 40 proc. uposażeń Amerykanów stacjonujących w RFN zasila lokalną niemiecką gospodarkę. Ekonomiczne „elektrowstrząsy”, które od jakiegoś czasu aplikuje Niemcom regularnie Trump, powodują nad Sprewą różnorodne reakcje. Jego zaciekli krytycy dostrzegli w kolejnych deklaracjach „nowojorskiego rekina” wyraźny przejaw zmowy z Rosją, szczególnie po lipcowym spotkaniu głów obu państw w Helsinkach. Tymczasem wrześniowa wizyta prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie najwyraźniej zakłóciła to wrażenie. Wtem niemieccy publicyści musieli się przeistoczyć w tradycyjnych „Russlandversteher”, wykazujących się empatią wobec Moskwy, w stosunkach z którą należy się ubiegać o „normalność”. Te groteskowe wolty nie mogą nie wywołać nad Wisłą pewnego zadowolenia. Tym bardziej że Polska może zostać beneficjentem przesunięcia amerykańskich wojsk (w tym broni atomowej z niemieckiej bazy Büchel). Jednak od zapowiedzi do realizacji droga daleka. I czy Waszyngton oraz Warszawa naprawdę na tym skorzystają?

Znacząca siła

Po 1945 r. USA były jednym z czterech mocarstw zajmujących terytorium Niemiec. Poza Berlinem Zachodnim, który Amerykanie musieli dzielić z Francuzami i Brytyjczykami, ich obecność skupiała się w centralnej oraz południowej części kraju. O tym świadczy po dziś dzień rozmieszczenie baz, które znajdują się głównie w Bawarii, Badenii-Wirtembergii i Hesji. Strategicznymi punktami amerykańskich instalacji wojskowych pozostają Frankfurt nad Menem i Stuttgart, które w okresie zimnej wojny uchodziły za ówczesną „wschodnią flankę”, mającą ocalić Zachód przed sowieckim natarciem. W sumie przed 1989 r. obecnych było w Niemczech ponad 250 amerykańskich baz, z których po zniknięciu żelaznej kurtyny zostało zaledwie ok. 30. Obecność wojsk Stanów Zjednoczonych nad Renem się zmniejszała, ale wciąż stanowi znaczącą siłę. W koszarach nieopodal bawarskiej Norymbergi znajduje się główna kwatera 2. Regimentu Kawalerii („Rose Barracks”), którego pododdziały wielokrotnie ćwiczyły przemarsz ku wschodnim rubieżom NATO przez Polskę i kraje bałtyckie. Natomiast w Hohenfels znajduje się ośrodek, w którym ciągle odbywają się szkolenia NATO i US Army.

Bawaria to niemieckie serce amerykańskiego lotnictwa. Na granicy z Badenią stacjonują m.in. śmigłowce: wielozadaniowe typu Black Hawk i szturmowe typu Apache, wraz z nimi zaś ok. 2 tys. żołnierzy. Amerykańskie garnizony znajdują się ponadto w kilku nadreńskich miastach, np. w Kaiserslautern czy w olbrzymiej bazie Ramstein, o którym świat usłyszał najpóźniej w 1988 r.,

gdy podczas pokazów lotniczych doszło do okropnej katastrofy. Obecność amerykańskiego lotnictwa wkrótce została znacznie uszczuplona, jednak rozbudowana infrastruktura istnieje i w przypadku kryzysu bazy mogłyby zostać szybko wzmocnione nowymi myśliwcami. Szczególnie pokaźna w swoich rozmiarach Ramstein Air Base jest nadal strategicznym „oczkiem w głowie” amerykańskich sztabowców. To tutaj najczęściej obsługiwany jest przerzut zespołów bojowych US Army do Afryki lub na Bliski Wschód. Niedaleko Kaiserslautern mieści się również amerykański szpital wojskowy, który w okresach zaostrzenia walk w Iraku czy Afganistanie pękał w szwach.

”

Przeprowadzka „niemieckich” Amerykanów do Polski byłaby nie tylko mozolna i czasochłonna, lecz wymagałaby inwestycji liczonych w dziesiątkach miliardów dolarów

Mimo końca zimnej wojny i obowiązującej obecnie w Niemczech antyamerykańskości znajdują się więc nad Renem nadal główne sztaby Stanów Zjednoczonych w Europie. W Stuttgarcie mieści się całe dowództwo europejskiej US Army, ze stolicy Badenu kierowane są także jednostki w Afryce. W heskim Wiesbaden znajduje się zaś główna kwatera dowództwa sił lądowych. Dla wielu amerykańskich żołnierzy Niemcy stały się drugą ojczyzną. I w tym kontekście zaczynają się problemy, jeśli chodzi o przeniesienie instalacji wojskowych USA na wschód.

Zwarta tradycja

Niektórzy amerykańscy dowódcy US Army Europe są w Niemczech głęboko zakorzenieni. Są nierzadko dziećmi żołnierzy i kolejnym pokoleniem w służbie, urodzonym już w jednym z niemieckich miast garnizonowych. Można więc zaryzykować tezę o istnieniu specyficznej i zwartej niemiecko-amerykańskiej tradycji wojskowej. Przeprowadzka „niemieckich” Amerykanów do Polski byłaby nie tylko mozolna i czasochłonna, lecz wymagałaby inwestycji liczonych w dziesiątkach miliardów dolarów. Owy okres przejściowy obejmowałby decyzje, którymi Donald Trump byłby jeszcze zajęty w swojej drugiej kadencji. Toteż reakcje Niemców na ten pomysł były do przewidzenia: istny festiwal podszytego lekceważeniem oburzenia, jakoby „biznesmen z Białego Domu” stracił zmysły.

Obecność wojsk Stanów Zjednoczonych nad Renem się zmniejszała, ale wciąż stanowi znaczącą siłę. Odziały US Army wielokrotnie ćwiczyły przemarsz ku wschodnim rubieżom NATO przez Polskę i kraje bałtyckie



fol. U.S. Air National Guard photo by Staff Sgt. Patrick Evenson

– To jest typowy „trumpowy egomarketing”, wariacka idea obliczona na doraźny sukces, ale praktycznie nie do zrealizowania – uważa Volker Eickenberg, profesor ekonomii z Düsseldorfu. Niemieccy eksperci nie chcą jednak dostrzec, że proces dystansowania się Stanów Zjednoczonych od Europy zaczął się już przed prezydenturą Trumpa, choć to on pierwszy z nieskrywaną dobitnością zaczął zwracać uwagę na drastyczną nierównowagę w ponoszeniu kosztów bezpieczeństwa militarnego. Niewykluczone, że dopiero jako prezydent dowiedział się, że w Niemczech jest więcej żołnierzy USA (i tym samym wydatków) niż w krajach „kryzysowych”, które są zdane na amerykańską obecność. Jego antypatia do Angeli Merkel, i tak już trwale podtrzymywana niemieckimi nadwyżkami eksportowymi, musiała się raptownie pogłębić. Ale czy pomysł przesunięcia baz na wschód, podlany argumentami ekonomicznymi, byłby dla Stanów w istocie korzystny?

Za utrzymanie na swoim terytorium instalacji wojskowych Wujasama płacić muszą bowiem także Niemcy. Berlin zasila siły zbrojne USA subwencjami opiewającymi corocznie na kwotę kilkunastu milionów euro. Odszkodowania dla amerykańskich żołnierzy w przypadku doznanych szkód płyną głównie z kas państwa niemieckiego. Gdy osoby cywilne tracą pracę w strukturach US Army Europe, zasiłek dla bezrobotnego Amerykanina pochodzi z kieszeni niemieckiego podatnika. Rząd federalny zamierza ponadto zainwestować ponad 150 mln euro w budowę nowego szpitala wojskowego w Ramstein. Przeniesienie baz do Polski oraz ich utrzymanie wymaga zatem inwestycji, na których pokrycie Warszawa prawdopodobnie nie jest jeszcze przygotowana. Większość zaistniałych kosztów musiałby wobec tego ponieść Waszyngton. W Pentagonie nie brakuje zatem ekspertów, którzy sprzeciwiają się pomysłowi firmowanemu przez administrację

Trumpa. Tym bardziej że dolary płynące do Niemiec uchodzą raczej za inwestycje związane z globalnymi strukturami sojuszu transatlantyckiego, a nie jedynie z gospodarką stricte niemiecką czy bezpieczeństwem samej RFN. Hesja, Nadrenia, Badenia i Bawaria stanowią skuteczne instrumenty amerykańskiej siły bojowej i wywiadowczej, mającej sięgać poza kontynent europejski – do regionów objętych kryzysami i wojnami. Wycofanie ich z Niemiec może być dla USA równoznaczne z większymi wydatkami na misje wojskowe na Bliskim Wschodzie.

Medialna wrzawa

Na początku 2019 r. w Kongresie USA mają być przedstawione pierwsze szczegółowe plany ustanowienia stałej amerykańskiej instalacji w Polsce. Budowa bazy może potrwać kilka lat i do tego czasu w Białym Domu, Urzędzie Kanclerskim i na Kremlu mogą zasiadać zupełnie inni politycy. Pragmatycznie rzecz ujmując, polityczny i ekonomiczny wymiar takiej decyzji jest ogromny. Zdając sobie z tego sprawę, przedstawiciele Pentagonu po wypowiedziach Trumpa na temat przesunięcia baz do Polski uspokajali medialną wrzawę. Niektórzy z nich wręcz zaprzeczali, że Białe Dobre zlecał analizę przemieszczenia wojsk z RFN. Pytanie tylko, dlaczego czerwcowe słowa Trumpa zajęły (i zajmują) w niemieckiej debacie publicznej nadal tyle miejsca. Gdy we wrześniu w Gabinetie Ovalnym gościł prezydent Andrzej Duda, a przez czołówki mediów jak huragan przebiegło hasło „Fort Trump”, Niemieccy publicyści na nowo ruszyli do boju. W artykule pod znanym tytułem „Żart” Florian Hassel puentuje swój strumień absurdałnych oskarżeń pod adresem Waszyngtonu i Warszawy lekceważeniem polsko-amerykańskiej inicjatywy. „Bez żartobliwej propozycji

nazwania bazy »Fort Trump« media nie zwróciłyby uwagi na wizytę polskiego prezydenta w Białym Domu, który zresztą jest prorosyjski i nie zaangażuje się w ten pomysł” – pisze redaktor „Süddeutsche Zeitung”. Narzucona linia redakcyjna każe Hasselowi starannie omijać rosnące znaczenie projektu Inicjatywy Trójmorza. Na łamach niemieckich gazet pojawiają się jednak też bardziej wyważone głosy. „Polska nie wyróżniała się ostatnio strategicznym talentem w polityce międzynarodowej, ale Niemcy powinny dokładnie przyjrzeć się temu, co zostało w Waszyngtonie uzgodnione” – przekonuje Silke Mühlherr, publicystka „Die Welt”. Krytycznie ocenia plany stałej obecności militarnej USA w Polsce Wolfgang Ischinger, przewodniczący Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. „Stałe bazy w Polsce mogą sprowokować Rosję do eskalacji napięć, ale przeniesienie sił USA z Niemiec do Polski byłoby już w ogóle sprzeczne z postanowieniami umowy NATO-Rosja. Nie powinniśmy ich łamać” – ostrzega niemiecki dyplomata. W całkowicie odmiennym tonie komentuje pomysły Trumpa Clemens Wergin: „Powinniśmy być wdzięczni prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Przyzwyczailiśmy się do tego, że Amerykanie mają wieczny obowiązek finansowania niemieckiego bezpieczeństwa. Czerpaliśmy latami z rzekomo niewyczerpalnego źródła i przy okazji myśleliśmy, że możemy sobie zaoszczędzić na Bundeswehrze, która dziś jest

w opłakanym stanie. A teraz nie posiadamy się ze zdumienia, że na czele USA stanął człowiek, który potrafi liczyć” – zauważa niemiecki dziennikarz. Bo Trump jest oczywiście świadom tego, że przeniesienie amerykańskich baz do Polski może być drogie, ale na dłuższą metę ich utrzymywanie nad Renem może się okazać dla USA o wiele kosztowniejsze.

Dlatego nasi zachodni sąsiedzi, zwłaszcza ci, którzy mieszkają w miastach garnizonowych, obawiają się na poważnie. Instalacje wojskowe na terytorium RFN, utrzymywane strumieniem dolarów wymierne korzyści, które w skali kraju wynoszą nawet do 5 mld euro rocznie. Militarne obecność USA podnosi niemiecki PKB o co najmniej 0,25 proc. Co ciekawe, o ile liczba amerykańskich żołnierzy nad Renem z roku na rok spada, o tyle wydatki Stanów Zjednoczonych na bazy w Niemczech wzrastają. Można wręcz zaryzykować tezę, że Niemcy przechodzili ostatnimi laty fazę bezprecedensowego rozwoju, ponieważ Wuj Sam im to umożliwił.

Wycofanie baz wojskowych spowodowałoby wreszcie także problemy polityczne dla rządu federalnego i niemieckich samorządów. Bo nawet jeśli rządzący w Berlinie na pomysły Trumpa reagują bezrefleksyjną reanimacją tradycyjnej awersji wobec republikanów, to antyamerykańskość zwykłych wyborców kończy się wtedy, gdy kończy się również ich poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. ●

REKLAMA

1/0918/F

IL VOLO KONCERT

8 GRUDNIA 2018
ATLAS ARENA ŁÓDŹ

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

IL VOLO WEBSITE: ILVOLOMUSIC.COM FB: /ILVOLOMUSIC INSTAGRAM: /@ILVOLOMUSIC

Prestige 10
MJM

15
Classic

wprost

RZECZY

GAZETA BANKOWA

Multikino

4 GOLD

STRÖER

VIXON

empik

pap

PRESS SERVICE

cgm.pl

WP

sp.sasa.pl 803094002



Kancelarz Niemiec chciałaby się stać opatrnościową matką całej Europy. Trzeba jednak jasno powiedzieć: ten model zakłada europejską hegemonię Berlina

fol. Andrzej Wiktor

Dominacja Niemiec może doprowadzić do rozpadu UE

W Unii Europejskiej mamy dziś do czynienia z ekonomiczną, gospodarczą i polityczną dominacją Niemiec. I to jest prężące napięcie oraz sił odśrodkowych dezintegrujących Europę – twierdzi Henri Malosse, były przewodniczący Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego

ROZMAWIAŁ
JERZY BIELEWICZ

Na początek chciałem zadać pytanie, na które pan z pewnością wielokrotnie odpowiadał: czy UE i strefa euro mają już za sobą kryzys 2008 r.?

Henri Malosse: Niestety nie zaszły znaczące zmiany. Kryzys roku 2008 nadal ciąży na finansach Unii Europejskiej i strefy euro. Ciągłe zagrażają nam wirtualna ekonomia i rozbudowany rynek instrumentów pochodnych. Narastają nierównowagi i tworzą banki spekulacyjne, skutkując dużą zmiennością na rynkach finansowych. Nie sfinalizowano, a tym samym nie wprowadzono w życie projektu unii bankowej, która miała być jednym ze sposobów terapii i ostatnią linią obrony przed przyszłymi kryzysami. Co więcej, naganne zachowania niektórych banków nie ustały, tworząc namacalne zagrożenia. Dochodzą do tego: efekt spowolnienia gospodarczego wiążący się z negocjacjami handlowymi między USA a Chinami, wyższa cen ropy naftowej na skutek zapalnej sytuacji na Bliskim Wschodzie i w Iranie, a także wynik rozbieżnych polityk monetarnych w różnych regionach globu. Podsumowując, napięcia w międzynarodowych finansach, zamiast maleć, narastają, a kolejne państwa wypadają z międzynarodowej konkurencji. Przykłady można mnożyć: Wenezuela, Argentyna, Turcja, Rosja, Republika Południowej Afryki. Niepokoi też szybki wzrost kosztu pieniądza w ostatnich tygodniach.

W Unii Europejskiej mamy do czynienia z trzema konkurencyjnymi i do pewnego stopnia wykluczającymi się modelami: tym proponowanym przez prezydenta Francji Emmanuela Macrona, drugim autoryzowanym przez kanclerz Niemiec Angelę Merkel i trzecim – popularnym w naszej części Europy, wśród krajów Grupy Wyszehradzkiej, a może szerzej: państw Inicjatywy Trójkąta. Który z nich ma szansę realizacji?

Model, który najprawdopodobniej znajdzie zastosowanie i nada kształt wzajemnym relacjom między państwami UE, to ten przedstawiany przez Grupę Wyszehradzką. To oznacza, że UE powinna dążyć do uformowania i ustanowienia konfederacji suwerennych państw, które budują własne systemy prawne i kontrolują narodowe budżety. Przykładowo wprowadzenie wspólnej waluty nie może być warunkiem członkostwa w UE, gdyż taka narzucana z zewnątrz decyzja ogranicza w sposób bardzo znaczący i bezter-

minowo suwerenność oraz niezależność poszczególnych krajów członkowskich. Podobnie rzecz się ma, jeśli chodzi o rozwiązania kwestii napływu migrantów, które też powinny pozostać w kompetencji struktur krajowych. Z drugiej strony wspólny i niekierowany rynek przynosi korzyści wszystkim stronom.

Model proponowany przez Grupę Wyszehradzką powinien jednak iść nieco dalej. Myślę tu o Inicjatywie Trójkąta. Wzmocnienie środkowej i wschodniej części Unii Europejskiej przyniesie korzyści całej Europie i będzie wypełnieniem założeń oraz wizji Wspólnoty leżących u jej zarania, a sformułowanych przez ojców założycieli: Alcide de Gasperiego, Roberta Schumana i Konrada Adenauera. Centralna i wschodnia Europa potrzebuje wzmocnienia oraz inwestycji, zwłaszcza w krajach Południa i na Bałkanach. Proszę sobie uzmysłowić, że Rumunię i Bułgarię łączą zaledwie dwa mosty przez Dunaj, a siatka połączeń kolejowych jest ta sama od z górą stu lat. Potencjał inwestycyjny jest zatem przeołbrzymi, przede wszystkim na osi północ – południe.

Prezydent Emmanuel Macron ze swym modelem zmian w UE jest w istocie rzeczy odizolowany i osamotniony. Można wręcz powiedzieć, że prezydent Francji zdaje się niemal jedynym wyznawcą własnego modelu UE, również pośród Francuzów. Scharakteryzowałbym jego koncepcję jako bardzo liberalną, której podstawą miałyby być daleko idące zrzeczenie się suwerenności państw przez rządy narodowe na rzecz biurokratów z Brukseli. Takiej propozycji nie można brać poważnie pod uwagę, gdyż urzędnicy UE nie byłoby zdolni ani nie mają kompetencji oraz umocowania, by podejmować właściwe decyzje...

Model promowany przez kanclerz Angelę Merkel można by określić jako w pewnym sensie matriarchalny. Kanclerz Niemiec chciałaby się stać taką dobrą, opatrnościową matką całej Europy. By zachować powagę, trzeba jednak jasno powiedzieć: ten model zakłada europejską hegemonię Berlina. Tym samym nie znajdzie zastosowania w przyszłości, zwłaszcza po akcie poszerzenia Unii o nowych członków z Europy Środkowej.

Napięcia między krajami członkowskimi narastają z różnych względów: ekonomicznych, gospodarczych, historycznych i politycznych. Złym chłopcem Unii stały się

ostatnio Włochy po przedstawieniu krajowego budżetu ze znacznym deficytem. Grecja zażądała reparacji wojennych od Niemiec. Wielka Brytania nie może się dogadać z Unią w kwestii brexitu. Jak doszło do sytuacji, że mamy do czynienia z jednoczesnym spiętrzeniem tak wielu zagrożeń i ryzyk?

Zacznijmy od tego, że partnerstwo między Francją a Niemcami to mit i najwyższa pora, by włożyć go już między bajki. Tak naprawdę inicjatywa dyplomatyczna pozostawała w gestii Francji do zjednoczenia Niemiec. Najpierw projekt Wspólnoty Węgla i Stali, podobnie jak idee instytucji europejskich, rodził się nad Sekwaną, raczej w Paryżu niż w Monachium. Choćby pomysł na Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny, na którego czele stałem w latach 2013–2015, zrodził się przecież w gabinetach i salach politycznych Paryża. Niemcy w owym czasie pozostawały wycofane i ograniczone ze względu na nieodległe doświadczenia II wojny światowej... Prezydent Macron, ale nie tylko on pośród klasy politycznej we Francji, zмага się, można tak powiedzieć, z obsesją wizji powrotu do „starych dobrych czasów”. Chciałby trwałej równowagi między Niemcami a Francją z czasów duetu Mitterrand – Kohl czy też nawet Schmidt – Giscard d’Estaing. Jednak

po zjednoczeniu Niemiec, a tym bardziej od jakichś 10 lat, nie może być mowy o równowadze czy wspólnym niemiecko-francuskim silniku, który napędza projekt integracji europejskiej. Obecnie w Unii Europejskiej mamy do czynienia z ekonomiczną, gospodarczą i polityczną dominacją Niemiec. I to jest bardzo poważny problem, prężące napięcie oraz sił odśrodkowych dezintegrujących Europę, a często też sceny i porządki polityczne w poszczególnych krajach. Nawet w samych Niemczech.

To chyba najważniejszy moment, by zapytać o sojusz niemiecko-rosyjski w sektorze energetycznym, czego symbolem jest gazociąg Nord Stream 2. Niemcy i Rosja twierdzą, że to projekt czysto ekonomiczny, wyłącznie komercyjny. Całkowicie przeciwne zdanie mają Polska, kraje bałtyckie i Czechy, a więc państwa, które wciąż pamiętają podobną współpracę obu lokalnych mocarstw poprzedzającą wybuch II wojny światowej...

To oczywiście nie jest projekt komercyjny, bo koszt w niezbędnych nakładach finansowych jest astronomicznie wysoki. To projekt czysto polityczny, bo dotyczy strategicznego rynku i sektora nośników energii. Ten projekt zagraża UE jako związkowi suwerennych państw, konstytuując hegemonię Nie-

Henri Malosse:
Nord Stream 2 to
projekt czysto poli-
tyczny, bo dotyczy
strategicznego
rynku i sektora
nośników energii



foto: Andrzej Wiktor

23/0918/F



Niezależność w zasięgu Twojego biznesu

Wybierając PRODUKTY GIEŁDOWE od TAURONA, zyskujesz swobodę w kontrolowaniu ceny energii przy jednoczesnej ochronie przed podwyżkami.

miec nad krajami regionu. Więcej: zdaje się szczególnie groźny dla Ukrainy, którą oszukano, mając wizję wstąpienia do Unii. Gdy zostanie zrealizowany, Ukraina siłą rzeczy i faktów dokonanych z dużym prawdopodobieństwem wróci do strefy wpływów Rosji, przed czym tak usilnie stara się dziś bronić. Potrzebujemy w UE systemu, który zapewni poszanowanie woli i interesów także małych państw, jak kraje bałtyckie. Jeśli ten model przegra, to pozostanie dominacja Niemiec i... Rosji.

”

Wzmocnienie środkowej i wschodniej części Unii Europejskiej przyniesie korzyści całej Europie i będzie wypełnieniem założeń oraz wizji Wspólnoty leżących u jej zarania

Czy taki rozwój wydarzeń leży w interesie Francji?

Absolutnie nie, ale Francja zaślania oczy i udaje, że nie widzi oczywistego niebezpieczeństwa. W moim kraju dominuje przekonanie, że nie można podważać roli Niemiec w Europie ze względu na ich siłę ekonomiczną. Zapanowała niepodzielnie poprawność polityczna, że o naszym sąsiedzie nie wypada ani nie można mówić źle, a tym bardziej stwarzać jakichkolwiek problemów niemieckim przyjaciółom.

Na ostatniej sesji plenarnej ONZ prezydent Donald Trump wygłosił przemówienie o sytuacji międzynarodowej, w którym kilkakrotnie chwalił Polskę. Jednocześnie ganił przy tym Niemcy, m.in. za niskie nakłady na obronność i współpracę energetyczną z Rosją. Bezpośrednio po prezydencie Trumpie zabrał głos prezydent Emmanuel Macron i jego przemowę powszechnie odebrano jako kontrę do stanowiska USA. Jak tłumaczyć tak jaskrawe i silne napięcie na linii Paryż – Waszyngton?

To nie są czasy zimnej wojny ani generała de Gaulle'a. Żyjemy w o wiele bardziej skomplikowanym i niebezpiecznym świecie. Zabrakło takiej refleksji u prezydenta Macrona. Z jednej strony zmagamy się z falą migrantów, zagraża nam – w mniejszym stopniu Polsce – radykalny islamizm. Na ulicach Paryża, Londynu i Berlina giną ludzie. Z drugiej strony rodzi się potęga Chin, które elementy i mechanizmy kapitalizmu wykorzystały do utrwalenia systemu komunistycznej dyktatury. Czy Chiny ingerują w procesy i procedury polityczne w USA? Ależ oczywiście tak! Podobnie w UE, czego sam doświadczyłem po spotkaniu z Dalajlamą, kiedy próbowano podważać moją

pozycję w organizacji, której przewodziłem w owym czasie. Chiński instytut znajduje się dziś w Brukseli w sąsiedztwie budynku Parlamentu Europejskiego. Unijni urzędnicy i politycy zapraszani na różne spotkania, konferencje i wydarzenia kulturalne siłą rzeczy poddają się powolnej indoktrynacji. A Rosja? Od 2014 r. jestem na liście osób niepożądanych w tym kraju, podobnie jak miało to miejsce w czasie stanu wojennego w Polsce po 1981 r. Przemówienie Macrona było idealistyczne, górnołotne i oderwane od rzeczywistości, a odwołania do zagadnień ekologicznych zupełnie nieadekwatne do realnych zagrożeń. Prezydent Trump przemawiał ze swadą, rzeczowo opisując świat, jaki jest. W słowach Macrona zaś pobrzmiwała nuta idealizmu lat 60.

„UE znajduje się w stanie wojny sama z sobą” – stwierdził ostatnio George Friedman z amerykańskiego think tanku Stratfor i trafił na podatny grunt w Polsce. Chodzi o Fundację Otwarty Dialog i Ludmiłę Kozłowską, która mimo zakazu wjazdu do strefy Schengen odbywa właśnie europejskie tournée, oczerniając Polskę na międzynarodowym forum od Bundestagu w Berlinie przez Parlament Europejski w Brukseli po Izbę Gmin w Londynie. Ta fundacja wstawiła się w naszym kraju, publikując swoisty manifest rewolucyjny wzywający do obywatelskiego nieposłuszeństwa i majdanu w Warszawie. Ślady finansowania prowadzą do Rosji, sektora przemysłu zbrojeniowego i „siłowników” z otoczenia Władimira Putina. Czy Friedman ma rację i Polska została wystawiona na atak hybrydowy ze strony Rosji oraz... kilku państw członkowskich Unii?

Znam sytuację związaną z Fundacją Otwarty Dialog opisaną podczas międzynarodowej konferencji, w której wziąłem niedawno udział. Wydaje mi się, że to zwykła złośliwość wobec Polski ze strony kół liberalnych, nawet kosztem ryzyka, jakie podjęły, zadając się z potencjalnymi agentami wpływu i grupami reprezentującymi interesy Rosji Putina. Czy w rodzinie taka sytuacja mogłaby mieć miejsce? Nie. Kiedy obcy atakuje członka rodziny, jego bliscy stają murem w obronie, przeciw intruzowi. W przypadku Węgier i Polski mechanizm solidaryzmu w unijnej rodzinie nie działa. Patologiczni rodzice starają się ukarać swoje dzieci czy młodszych braci bez względu na koszty! Przecież Polska przyjęła 1,5 mln imigrantów z Ukrainy. Na ulicach Warszawy widzę Hindusów, Filipińczyków, Wietnamczyków i wiele, wiele innych nacji. Nie sposób więc mówić, że Polska jest krajem ksenofobicznym czy rasistowskim. Przeciwnie, ja znam Polskę jako kraj wielce gościnnie, otwarty na przybyszów z zagranicy. I dlatego, jak i z wszystkich wcześniej przytoczonych względów, musimy zmienić Unię Europejską.

Niech to będzie konkluzja naszej rozmowy. Dziękuję. ●

PKP S.A. odnawia dworce na Dolnym Śląsku



PKP S.A. modernizuje dworce na Dolnym Śląsku. Na początku października oddano do użytku podróżnych trzy obiekty w Gminie Siechnice pod Wrocławiem. Koszt inwestycji sfinansowanych ze środków unijnych oraz środków własnych kolejowej spółki wyniósł w sumie 10,5 mln zł netto

Odnowione i zmodernizowane dworce znajdują się na stacjach Siechnice, Święta Katarzyna i Smardzów Wrocławski. Każdy z nich został gruntownie przebudowany i dostosowany do potrzeb podróżnych. Pojawiły się ścieżki prowadzące dla osób niewidomych i niedowidzących, tablice multisensoryczne, wymieniono okna, drzwi i pokrycia dachowe; elewacje zostały poddane renowacji, zagospodarowano tereny przylegające do budynków. Na wszystkich dworcach zainstalowany został monitoring, poprawiający bezpieczeństwo podróżnych, a także system dynamicznej informacji pasażerskiej.

Powstanie dworca w Siechnicach jest datowane na rok 1909; budynek należy do cennych przykładów architektury związanej z kolejnictwem na Dolnym Śląsku. Podczas modernizacji zmieniono układ funkcjonalny obiektu, znalazły się w nim m.in. poczekalnia, kasa biletowa, toalety, punkt obsługi klienta oraz pomieszczenie dla osób podróżujących z dziećmi. Koszt inwestycji wyniósł 3,5 mln zł netto. Podobną metamorfozę przeszła Święta Katarzyna (budynek powstał w latach 1901–1907; prace remontowe kosztowały 3,9 mln zł netto) i wcześniej nieczynny Smardzów Wrocławski, gdzie rozebrano parterową przybudówkę dworca i powiększono powierzchnię przeznaczoną do obsługi podróżnych (koszt inwestycji to 3,1 mln zł netto). Za realizację wszystkich trzech przedsięwzięć odpowiadała Firma Budowlana DOTA Sp. z o.o. sp.k. z Poznania.

– Zmodernizowane dworce na Dolnym Śląsku to tylko jeden z elementów szerokiego programu inwestycyjnego na polskiej kolei. Programu, który ma na celu nie tylko poprawę warunków podróżowania w dużych

miastach, lecz również w mniejszych miejscowościach i w obrębie aglomeracji. To jeden z celów prowadzonej obecnie polityki zrównoważonego rozwoju – powiedział Andrzej Bittel, podsekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury.

– Dla mnie zakończenie inwestycji związanych z remontami i odbudowa dworców kolejowych na Dolnym Śląsku to sprawa kluczowa. Oddajemy mieszkańcom regionu przepięknie odnowione i funkcjonalne obiekty. Dziękuję PKP za pomoc i dziękuję wykonawcom za sprawne przeprowadzenie inwestycji. Program modernizacji dworców kolejowych objął cały region – stwierdził Paweł Hreniak, wojewoda dolnośląski.

– Dworce na stacjach Siechnice, Święta Katarzyna i Smardzów Wrocławski są kolejnymi zmodernizowanymi i oddanymi do użytku obiektami, które objęto Programem Inwestycji Dworcowych. I z pewnością nie ostatnimi. Jeszcze w tym roku chcemy udostępnić podróżnym obiekty w Jaworze i Strzelinie, oba na Dolnym Śląsku – powiedział Krzysztof Mamiński, prezes PKP S.A. ● (st)



fol. mat. prasowe PKP

wydarzenia

Raporty & Analizy & Firmy



Marek Dietl, prezes GPW: Dzisiaj otwiera się grono inwestorów, z którymi do tej pory mieliśmy mały kontakt, a którzy muszą bardziej interesować się Polską

foto: Andrzej Wiktor

Awans w FTSE Russell był zawsze marzeniem giełdy

Teraz mniej się trzeba skupiać na tłumaczeniu, że u nas wszystko dobrze działa, a bardziej na pokazywaniu konkretnej okazji biznesowej – mówi Marek Dietl, prezes Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie

ROZMAWIAŁ

STANISŁAW KOCZOT

Decyzja FTSE Russell, zgodnie z którą Polska awansowała z grupy rynków rozwijających się do rozwiniętych, została zakomunikowana rok temu, weszła w życie 24 września. Skąd tak długi okres od ogłoszenia decyzji do jej realizacji? Czy rynek po prostu otrzymał więcej czasu na dostosowanie się do zmian? Jak ten czas wykorzystał?

Marek Dietl: Okres był nawet dłuższy, bo już w 2016 r. ostatnie kryterium z 21, którymi kieruje się FTSE Russell przy przyznawaniu krajowi kategorii rynku rozwiniętego, zostało spełnione przez Polskę. Chodziło o konta typu omnibus [konta zbiorcze – przyp. red.] w Krajowym Depozycie Papierów Wartościowych. W okresie między wprowadzeniem tych kont a 24 września 2017 r. zbierał się zewnętrzny komitet indeksowy FTSE Russell, składający się z praktyków rynkowych. We wrześniu zeszłego roku komitet przypieczętował decyzję przyznającą Polsce status rozwiniętego rynku kapitałowego. I rzeczywiście ten rok był potrzebny na dostosowanie się wszystkich uczestników rynku do nowej sytuacji. Pierwszy okres, po ogłoszeniu decyzji, wypełniała gorączka związana z wdrażaniem regulacji MiFID II. Potem, od początku 2018 r., widać było stopniowe przygotowywanie się do zmiany statusu Polski. Widzieliśmy pewną przebudowę portfeli.

Robiły to fundusze aktywne?

Tak. Te, które specjalizują się w rynkach rozwijających się, stwierdziły, że trzeba wyszukiwać oka-

zje, by sprzedać akcje. Ukoronowaniem był piątek 21 września, czyli ostatnia sesja przed ostatecznym przejściem Polski do kategorii rynków rozwiniętych, kiedy obroty giełdy były rekordowe, bo sięgnęły prawie 5,5 mld zł. Poprzedni rekord, wynoszący 3,5 mld zł, należał do debiutującego na giełdzie w maju 2010 r. PZU. 21 września do gry prawdopodobnie wkroczyły fundusze pasywne. Handel na naszym parkiecie był intensywny i w dodatku większość obrotu miała miejsce godzinę przed zamknięciem notowań, a po otwarciu giełdy w Nowym Jorku. Widać było, kto napędza obroty na GPW. Poniedziałek 24 września również przebiegał pod znakiem wysokich obrotów, szczególnie jeżeli chodzi o transakcje pakietowe. Jednym słowem rok, jaki upłynął od momentu ogłoszenia decyzji przez FTSE Russell do jej realizacji, pozwolił rynkowi przygotować się „mentalnie”, natomiast ostateczne uwzględnienie nowej sytuacji w portfelach inwestorów nastąpiło dosłownie za pięć dwunasta.

Czyli wydarzyło się to, co miało się wydarzyć. Aktywność funduszy zagranicznych była widoczna najbardziej tuż przed 24 września...

Tak. Początek roku charakteryzował się głównie sprzedawaniem papierów, a potem, w pierwszym tygodniu po wydarzeniu, kiedy o nim rozmawiamy, kupowaniem akcji. Kursy akcji rosną, więc średnio więcej jest kupujących. Stało się to, co przewidy-

waliśmy: z wielkiego kosza pieniędzy płyną środki na nasz rynek. Teraz powinny się pojawić kolejne grupy inwestorów, po pasywnych, którzy musieli przyjść do nas z założenia wynikającego ze struktury ich biznesu [inwestują w spółki na giełdach w krajach kwalifikowanych jako rozwinięte – przyp. red.]. Walka toczy się teraz o to, by nasz rynek został uwzględniony w strategiach tzw. smart beta, czyli pasywno-aktywnych. W tego typu strategiach dokonuje się wyboru kombinacji założeń strategicznych i następnie pasywnie się ich trzyma. Ważne jest to, by polskie aktywa były uwzględniane w pozycji długiej, czyli były kupowane.

Na czym polega ta walka?

Duzi inwestorzy w funduszach emerytalnych to w znacznym stopniu firmy amerykańskie, które zarządzają 83 proc. aktywów na świecie. Zwracając się do swoich doradców, banków inwestycyjnych o stworzenie strategii, chcą np. z jednej strony skorzystać z tego, że na pewne surowce będzie mniejsze zapotrzebowanie. Ustawia się więc na krótkiej pozycji na tych surowcach. Z drugiej strony chcą wykorzystać to, że w niektórych krajach mocno rośnie konsumpcja. Kupują więc akcje spółek działające w tym segmencie. To abstrakcyjny przykład strategii smart beta. Nie oceniam jej, nie twierdzę, że jest dobra czy zła, ale chodzi mi o pokazanie sposobu

myślenia. Po przyjęciu takiej strategii nie istnieje już kwestia analizowania spółek. Kupuje się w proporcji, w jakiej są w indeksie lub samemu tworzy się indeks na podstawie kapitalizacji i obrotów. Rozwój podejścia aktywno-pasywnego jest fenomenem ostatnich paru lat. Wynika on z bardzo niskich stóp procentowych. Aktywna strategia jest kosztowna, wiele funduszy emerytalnych rezygnuje z niej lub bardzo ją ogranicza. I albo stają się one zupełnie pasywne, czyli naśladują pewne indeksy, np. FTSE Russell (u nas w dużej części już się pojawiły), albo stosują strategię smart beta. Aktywna część dużych funduszy inwestycyjnych to obecnie ok. 30 proc. rynku, a jeszcze 10–15 lat temu była to większość.

Polska może być obecna w strategii smart beta?

Tak. Fundusze, które patrzą globalnie, i te, które kupują akcje na giełdach, kierując się trendami i sytuacją makroekonomiczną danego kraju, interesują się niektórymi naszymi sektorami. Nasze biura maklerskie powinny aktywnie promować strategię uwzględniającą nasz rynek. Pamiętajmy o tym, że tworzenie strategii smart beta jest procesem, zmienia się w pewnych odstępach czasu, chociaż chodzi w niej o to, by być konsekwentnym i zbyt często nie przebudowywać portfeli. Musimy pokazywać inwestorom polski rynek, który może być ciekawym komponentem strategii aktywno-pasywnych.



foto: Andrzej Wiktor

W jaki sposób zmiana klasyfikacji FTSE Russell dla Polski ma wpływ na tego typu strategię?

Jeżeli ktoś kupuje tylko rynki rozwinięte, według klasyfikacji FTSE Russell, może w strategii smart beta stwierdzić, że będzie dowoził spółki pochodzące z kraju, który ma silną makroekonomię. Dla Polski to bardzo duża szansa. Wcześniej, nawet jeśli fundusz patrzył z uznaniem na polską gospodarkę, to przez to, że nie mieliśmy statusu rynku rozwiniętego, nigdy by w nas nie zainwestował, bo nie miał po prostu do tego mandatu. Dzisiaj otwiera się grono inwestorów, z którymi do tej pory mieliśmy mały kontakt, a którzy muszą bardziej interesować się Polską. Zmiana jest kolosalna, a jak ją wykorzystamy, to się jeszcze okaże.

Ostatnia godzina notowań w piątek 21 września, tuż przed oficjalnym wejściem Polski do kategorii rynków rozwiniętych, kiedy włączyły się Stany Zjednoczone, jest dobrym prognostykiem na przyszłość?

Przede wszystkim dobrym prognostykiem jest pierwszy tydzień po przekwalifikowaniu, który pokazał, że kupujący są mocniejsi niż sprzedający. Zarówno w Izraelu, jak i w Korei Południowej, czyli w krajach, które przed nami zostały zreklasyfikowane, pierwsze pół roku stało pod znakiem bardzo dużych wahań kursów i średnio – spadków. Dopiero potem zaczęły się one odbudowywać, co zajęło lata. U nas, po pierwszym tygodniu, jest inaczej.

FTSE Russell wystawił wzorową ocenę polskiemu rynkowi kapitałowemu. Czy nie odnosi pan wrażenia, że eksperci z Londynu (FTSE Russell należy do grupy London Stock Exchange) mają lepszą opinię o polskim rynku kapitałowym niż polscy? Może my za bardzo skupiamy się na szczegółach?

Oprócz stanowiska analityków FTSE Russell dla mnie bardzo ważne było zdanie osób zasiadających w Komitecie Indeksowym: zarządzających aktywami, przedstawicieli firm maklerskich, praktyków rynkowych. Oni obserwują wiele rynków i rzeczywiście dostrzegli to, że nasze instytucje, nasze rozwiązania są zgodne z najwyższymi światowymi standardami. Wszędzie zdarzają się czarne owce, ale ważne jest to, jak szybko są one z rynku eliminowane.

Jakich spodziewa się pan efektów reklasyfikacji Polski? Większego napływu kapitału zagranicznego na nasz rynek? Czy skorzysta na tym tylko GPW, czy też cały rynek kapitałowy?

Reklasyfikacja miała najważniejsze znaczenie dla publicznego rynku kapitałowego, bo jego bezpośrednio dotyczyła. Natomiast to, że instytucje rynku zostały wysoko ocenione, ma wpływ także na rynek niepubliczny, czyli na Private Equity i Venture Capital. Można oczywiście wciąż zbudować spółkę technologiczną w Polsce i wprowadzić ją na NASDAQ,

”

Fundusze, które patrzą globalnie, i te, które kupują akcje na giełdach, kierując się trendami i sytuacją makroekonomiczną danego kraju, interesują się niektórymi naszymi sektorami

ale można również ją „wyhodować” tutaj i zdobyć podobny zestaw inwestorów w Warszawie. Ponieważ nasz rynek jest bardzo otwarty, ma do niego dostęp wielu inwestorów. Na przykład jeżeli chodzi o segment gier komputerowych, mamy świetne pokrycie analityczne i bardzo wysokie wyceny działających w nim spółek. Zarządzający w funduszach Private Equity czy Venture Capital w Polsce nagle widzą jasną, lokalną ścieżkę wyjścia, która jest bardzo atrakcyjna.

Na pewno wysokie oceny przejdą z rynku publicznego na prywatny. Wydaje się – patrząc na kurs złotego i rentowność obligacji – że reklasyfikacja nie zaszkodziła, a nawet pomogła rynkowi w skali makro. Jest też kwestia percepcji kraju. Teraz mniej się trzeba skupiać na tłumaczeniu, że u nas wszystko dobrze działa, a bardziej na pokazywaniu konkretnej okazji biznesowej albo spektrum możliwości inwestycyjnych, od projektów realizowanych od zera po notowane już na giełdzie. Dodatkowo inwestorzy lokujący na rynkach rozwiniętych to bardziej cierpliwy kapitał np. z funduszy emerytalnych. Dla Polski głównym wyzwaniem jest skokowy wzrost produktywności, a do tego potrzebujemy inwestycji o charakterze długoterminowym. Produktywność w przedsiębiorstwach buduje się przecież latami.

Czy dzięki reklasyfikacji FTSE Russell warszawska giełda wchodzi do wyższej ligi, gra o inną stawkę niż do tej pory? O jaką?

Na pewno gramy teraz w wyższej lidze i rywalizujemy z innymi rynkami. Z jednej strony mamy bardzo dobre tendencje makroekonomiczne, w skali europejskiej należymy do najszybciej rosnących większych krajów, natomiast z drugiej – zasób oszczędności mamy dość niski. Musimy się teraz mierzyć z krajami, które budowały swoją zamożność nieprzerwanie przez wiele lat. U nas wojny światowe, potem komunizm zniszczyły zasób kapitału, który został nagromadzony. Teraz mamy szansę zawalczyć o to, żeby zwiększyć wagę w indeksie FTSE Russell. Dzisiaj jest

ona skromna w grupie liczącej 25 krajów, ale nie można siedzieć z założonymi rękami. Dotyczy to giełdy, branży maklerskiej; muszą się w to włączyć przedsiębiorstwa, prezentując się globalnym inwestorom. Najrzadszym zasobem, jeżeli chodzi o pozyskiwanie największych inwestorów, jest uwaga. Żeby skupić na sobie uwagę, trzeba włożyć w to bardzo duży wysiłek.

”

Rynek kapitałowy może być bramą, która umożliwi napływ kapitału do projektów infrastrukturalnych planowanych dla Trójmorza

Co na reklasyfikację Polski mówią przedstawiciele rynków naszego regionu Europy? Czy nie tracą lidera, czy Polska będzie ich reprezentowała? A może liderem będzie kto inny? Kto? Czy awans Polski jest dla nich zaletą, czy wadą i zagrożeniem, że na puste miejsce wejdzie ktoś inny, i to on będzie próbował integrować rynki kapitałowe regionu?

Wspólnie się zastanawiamy, jak wykorzystać ten moment. Dlatego razem zdecydowaliśmy się prowadzić działania marketingowe, wspólnie rozważamy stworzenie regionalnego indeksu. To olbrzymia szansa dla regionu i mądrze powinniśmy to wykorzystać, nie poprzez strategię imperialną, tylko przez mądre, jagiellońskie podejście do szukania spoiw, a nie do podboju.

Wchodzimy do innej ligi, naszym konkurentem stają się giełdy w Kopenhadze czy w Oslo. Ale czy w związku z tym nie będziemy mniej interesować się naszym regionem Europy? Region przecież potrzebuje lidera. Czy my rzeczywiście nadal nim będziemy?

To zależy od nas. GPW postawiła zdecydowanie na współpracę, jej efekty pokażemy jeszcze w tym roku. Nie zmienimy naszego miejsca na mapie świata, jesteśmy częścią naszego regionu. Pamiętajmy, że wszystkie kraje naszej części Europy stoją przed tym samym wyzwaniem: zwiększeniem zasobów oszczędności. W tym sensie pozostaniemy do siebie podobni, mimo że u nas, w Polsce, instytucje rynku kapitałowego są po prostu bardziej rozwinięte. Dla inwestorów Polska jest hubem, który – poprzez spółki już notowane na naszym rynku – umożliwi im dostęp do całego regionu. Wspólny indeks daje kolejną możliwość dla inwestorów zagranicznych, mogą posiadać w portfelu cały region. W końcu między Niemcami a Rosją mieszka 190 mln osób. Nie jest

to mało, i to mimo że wciąż jeszcze ma on niewielkie znaczenie na kapitałowej mapie świata. Potencjał do rozwoju jest tu jednak wysoki. Mocno wierzymy w to, że warto inwestować w tę współpracę i dalej być liderem w regionie. Trzeba zdawać sobie sprawę z proporcji: z giełd V6, czyli Czech, Słowacji, Węgier, Chorwacji, Rumunii i Polski, ok. 80 proc. zysku jest generowane w Warszawie. Mam nadzieję, że dalej będziemy mogli wspierać ten region, a przy okazji skutecznie promować siebie i innych na forum europejskim. Nasza pozycja nakłada na nas dodatkową odpowiedzialność.

Polska nie zostawi Europy Środkowo-Wschodniej?

Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe. Powstał fundusz Trójmorza, współpraca giełd w regionie będzie się dalej rozwijała. Dużo więcej nas łączy, a prawie nic nie dzieli. Wszyscy mogą tylko na tym zyskać. Rynek kapitałowy może być bramą, która umożliwi napływ kapitału do projektów infrastrukturalnych planowanych dla Trójmorza, a także zwiększających produktywność naszych gospodarek.

Jakie jest znaczenie awansu Polski w indeksie Stoxx? Te dwie dobre wiadomości, czyli awans w Stoxx i FTSE Russell, nakładają się na siebie. Czy należy traktować je oddzielnie, bo dotyczą różnych indeksów i różne są ich przesłanki? Czym się różnią i co je łączy?

Stoxx to inna agencja indeksowa, dużo mniejsza od największej na świecie FTSE Russell. Od dawna byliśmy zdziwieni, że wśród 600 najważniejszych notowanych firm europejskich nie ma spółek z GPW. I nagle się okazało, że w indeksie znalazła się nie jedna firma, ale osiem. Z punktu widzenia krótkoterminowego to o tyle ważny indeks, że wielu zarządzających, którzy interesują się Europą, dokładnie go śledzi. Dla tych ośmiu firm to duża szansa i na pewno będą z niej korzystać. Muszą tylko zabiegać o inwestorów, spotykać się z nimi. Kapitał w Stoxx jest częściowo kapitałem kapryśnym, który szuka najlepszych z najlepszych.

Jaki wpływ reklasyfikacja FTSE Russell miała na decyzję Stoxx?

Wydaje się, że nie są to wydarzenia zupełnie niezależne. FTSE Russell bardzo mocno analizuje uwarunkowania instytucjonalne, Stoxx koncentruje się na spółkach. To, że instytucje zostały tak wysoko ocenione, pomaga uznać również, że inwestorzy paneuropejscy powinni się zainteresować spółkami z naszej giełdy. Kryteria płynnościowe i kapitalizacje nasze firmy spełniały już wcześniej, być może więc decyzja FTSE Russell była tym ostatnim brakującym elementem, który pozwolił im znaleźć się w indeksie Stoxx 600. Oczywiście to tylko przypuszczenie, bo Stoxx zdecydowanie mniej mówi o swojej



metodologii niż FTSE Russell, który wszystko publikuje na stronie.

Czy za Stoxx i FTSE Russell mogą pójść kolejne awanse?

Trudno powiedzieć. Spółki zauważone przez Stoxx rzeczywiście klasyfikowały się pod względem ekonomicznym do wejścia do indeksu. Kolejne muszą mocno popracować nad płynnością i wyceną.

Co może dać Polsce awans w indeksach MSCI, w których nasz rynek jest nadal w grupie rynków rozwijających się? Kiedy on nastąpi, jakie przesłanki należy spełnić, na ile jest to realne?

MSCI jest bardzo ważnym indeksem, mocno nastawionym na ekonomiczne fundamenty gospodarki. To, czego nam brakuje, by przejść do kategorii rynków rozwiniętych, to wysokość PKB na mieszkańca. PKB na mieszkańca po uwzględnieniu parytetu siły nabywczej mamy wyższe niż Grecja i wyprzedzamy Portugalię. O ile nie odwrócą się tendencje gospodarcze, pewnie kroczymy w zwiększenie tego wskaźnika. Wydaje się, że jeszcze potrzebujemy co najmniej trzech lat, by osiągnąć poziom satysfakcjonujący dla MSCI. W pierwszej kolejności przekwalifikowanie MSCI odczuwamy w naszych portfelach. Jeżeli będziemy czuli się bogatsi, to znaczy, że zbliżamy się do tego momentu. Procedura będzie podobna jak w przypadku FTSE Russell: ogłoszenie i czas na dostosowanie się do zmiany. Ponieważ perspektywa jest kilkuletnia, trudno teraz snuć przypus-

”

Awans w FTSE Russell był zawsze marzeniem giełdy, bo ocenia on instytucję rynku kapitałowego. To jest największe osiągnięcie

czenia, co to będzie oznaczało dla spółek. Na razie starajmy się, by PKB per capita rósł, i to możliwie bez wzrostu inflacji.

Czy reklasyfikacja, której w przyszłości dokona MSCI, byłaby zdobyciem gospodarczego odpowiednika Korony Himalajów? Osiągnęlibyśmy wszystko, co jest do osiągnięcia?

Awans w FTSE Russell był zawsze marzeniem giełdy, bo ocenia on instytucję rynku kapitałowego. To jest największe osiągnięcie. Rynek kapitałowy ma oczywiście wpływ na PKB per capita, jednak jest to wpływ pośredni, polegający na tym, że oszczędności są efektywnie zamieniane na inwestycje. Jestem absolutnie usatysfakcjonowany tym, że FTSE Russell i jego eksperci widzą nas w gronie najbardziej rozwiniętych rynków. Gratuluję też wszystkim spółkom, które znalazły się w Stoxx 600. Uważam, że już od dłuższego czasu tam było ich miejsce. ●



24 września 2018 r., „Market Open Ceremony” na London Stock Exchange. Od lewej: Reza Ghassemieh – chief research officer, FTSE Russell, Maciej Trybuchowski – prezes KDPW, Marcin Adamczyk – prezes TFI PZU, Jakub Papierski – wiceprezes PKO BP, Paweł Borys – prezes PFR, Marek Dietl – prezes GPW, Michał Krupiński – prezes Banku Pekao S.A.

fol. Stanisław Koczot

STANISŁAW KOCZOT

Rynek bez retuszu

Droga polskiego rynku kapitałowego do światowej ekstraklasy nie była ani krótka, ani łatwa. FTSE Russell zaczął nas szczegółowo prześwietlać już w 2011 r. Przez sześć lat analitycy z Londynu badali nasz rynek kawałek po kawałku

Analizy zakończyły się we wrześniu 2017 r., kiedy FTSE Russell ogłosił, że Polska przechodzi z grupy zaawansowanych rynków rozwijających się (Advanced Emerging Markets) do grupy rynków rozwiniętych (Developed Markets). Od momentu ogłoszenia do realizacji minął rok, co jest normalną procedurą w tego typu przypadkach (nie są one częste, bo poprzednia reklasyfikacja dokonała się dekadę wcześniej). Przez ten okres rynek miał czas na przygotowanie się do zmian, przeanalizowanie jego konsekwencji i ewentualne przepracowanie strategii.

Rok na przygotowanie

Czas jest ważny zarówno dla inwestorów, jak i dla spółek, które mają się znaleźć w indeksie FTSE Developed All Cap Index. Fundusze inwestujące na rynkach

rozwiniętych wiedzą o takich krajach jak Polska albo niewiele, albo zgoła nic (emerging markets i developed markets to dwa różne światy, interesujące w zasadzie zupełnie inne grupy inwestorów). Żeby je poznać, nie wystarczy lektura jednego czy dwóch raportów, ale trzeba mieć czas, aby przeanalizować trendy, przyrzeć się największym spółkom i przynajmniej wstępnie wysondować, co inwestorzy o nich myślą. Na rynkach rozwiniętych inwestuje się bardzo duże pieniądze, wchodzi one na dłuższy okres i nie lubią nadmiernej ryzyka. Czas jest dany po to, by fundusze, przede wszystkim te, które działają w sposób aktywny, a nie tylko biernie naśladują indeksy, mogły bliżej poznać nowego członka ekskluzywnego grona.

Spółki, które wchodzi do nowego zestawu, mają nieco trudniejsze zadanie, chociażby z tego powodu, że nie do końca wiadomo, kto do nich trafi. W przypadku polskiej grupy było podobnie; ostateczną listę

”

naszych firm FTSE Russell podał dopiero 24 sierpnia 2018 r., czyli dokładnie miesiąc przed oficjalnym wejściem w życie rekłasyfikacji. Oczywiście kandydatury i stuprocentowi uczestnicy nieoficjalnie byli znani już wcześniej (nie było to zresztą wcale takie trudne, bo można było wyliczyć), jednak kto wejdzie do grupy dużych spółek (large cap), kto do średnich (mid cap), a kto do małych (small cap), wcale nie było przesądzone... Teoretycznie to także można przewidzieć, ale dla inwestorów najbardziej istotny był oficjalny placet FTSE Russell. Ostatecznie do grupy dużych spółek trafił PKO Bank Polski, do średnich trafiły PKN Orlen, Grupa Lotos, PGE, PGNiG, KGHM Polska, Bank Pekao, PZU, BZ WBK (dziś Santander Bank Polska), mBank, LPP, Dino Polska, CD Projekt, Cyfrowy Polsat, a do małych – Bank Millennium, AmRest Holdings, Bank Handlowy, JSW, Alior Bank, CCC, Play Communications, Orange Polska, Grupa Azoty, Enea, Tauron Polska Energia, Kernel Holding, Kruk, Asseco Poland, Budimex, Eurocash, Ciech, Energa, PKP Cargo, Lubelski Węgiel Bogdanka, GPW, Boryszew i Neuca. Polską grupę w kategorii rynków rozwiniętych tworzy w sumie 37 spółek.

Niezależnie od tego, kto i co przewidywał, ruch na polskim rynku kapitałowym wynikający ze zmiany dokonanej przez FTSE Russell zaczął się już na początku 2018 r., kiedy aktywne fundusze ruszyły do przebudowy portfeli. Fundusze pasywne, które z definicji naśladują skład FTSE Developed All Cap Index, uaktywniły się podczas sesji na warszawskiej giełdzie w piątek poprzedzający oficjalny moment rekłasyfikacji i w poniedziałek 24 września, kiedy stała się ona faktem.

Nie może być wątpliwości

Agencja FTSE Russell jest globalnym dostawcą benchmarków, należącym do grupy London Stock Exchange. Z jego indeksami porównują swoje wyniki zarządzający aktywami i banki inwestycyjne, wykorzystywane są one do tworzenia funduszy inwestycyjnych czy instrumentów pochodnych opartych na indeksach. FTSE Russell to bardzo ważna instytucja dla globalnego rynku finansowego.

Przesunięcia z jednej grupy krajów do innej dokonuje rzadko i po długim namyśle. Bardzo dużo zależy od niezależnego Komitetu Doradczego ds. Klasyfikacji Krajowej FTSE Russell, czyli grona praktyków rynkowych znających światowy sektor kapitałowy od podszewki. To oni weryfikują dane, są w stanie potwierdzić sprawozdania dostarczone przez lokalne władze rynkowe. W przypadku awansu do grupy rynków rozwiniętych wszystko musi być jasne, i to w 100 procentach. O ile dla emerging markets istnieje spory margines tolerancji na niedostatki i niedociągnięcia rynku kapitałowego, o tyle w developed markets nie może być żadnych wątpliwości.

Wszystko to, co FTSE Russell uznał za kluczowe dla inwestorów lokujących pieniądze na najbardziej rozwiniętych rynkach świata, było naszym udziałem.

Pozytywne oceny uzyskala również gospodarka Polski

Dokładnie tak było w przypadku Polski. W grupie, w której byliśmy wcześniej (Advanced Emerging), trzeba było spełnić 15 na 21 kryteriów. W najwyższej, do której teraz trafiliśmy – 21 na 21. FTSE Russell badał w sumie cztery obszary: otoczenie rynkowe i regulacyjne, przechowywanie (kustodia) i rozliczanie papierów wartościowych, zasady obrotu oraz rynek instrumentów pochodnych. Najwięcej kryteriów, które należało bezwzględnie wypełnić, zawierały zasady obrotu (8 na 21) oraz otoczenie rynkowe (7). W zdecydowanej większości z żadnym z nich nie mieliśmy problemów, a te, z którymi musieliśmy sobie poradzić, udało się sprawnie rozwiązać; kwestię pożyczek papierów wartościowych wyjaśniliśmy już w 2013 r., a problem kont zbiorczych typu omnibus – w 2017. Pozytywne oceny zyskał rynek walutowy, Polskę uznano również za kraj posiadający rozwinięty rynek instrumentów pochodnych. Jednym słowem, wszystko to, co FTSE Russell uznał za kluczowe dla inwestorów lokujących pieniądze na najbardziej rozwiniętych rynkach świata, było również naszym udziałem.

Pozytywne oceny uzyskala także gospodarka. Nie jest to najmocniej eksponowany wątek dotyczący rekłasyfikacji Polski, jakiego dokonał FTSE Russell (gospodarka jest kluczem dla innej światowej agencji, MSCI – spółki banku inwestycyjnego Morgan Stanley, która pozostawiła nas w kategorii emerging markets), niemniej jednak w uzasadnieniu decyzji wyraźnie się pojawia. Agencja pisze wręcz, że przeklasyfikowanie do kategorii rynku rozwiniętego jest owocem ciągłych ulepszeń w infrastrukturze rynków kapitałowych w Polsce, wspieranych przez stały postęp gospodarczy kraju. Innymi słowy, jedno wiąże się z drugim, i rynku kapitałowego na światowym poziomie nie byłoby w Polsce bez konsekwentnie rosnącej gospodarki. Nawet jeżeli PKB per capita, które eksponuje FTSE Russell, nie było najwyższe spośród państw naszej byłej grupy emerging markets, to na korzyść Polski przemawia wielkość gospodarki. Globalni inwestorzy nie zainwestują w niewielkim kraju, bo nawet jeżeli jest on bogatszy od nas, to i tak zarobione pieniądze nie będą duże.

Święto w Londynie

Reklasyfikacja Polski stała się faktem, który inwestorzy globalni powinni wziąć pod uwagę. Powiększenie grona solidnych i wiarygodnych rynków to ewidentna dla nich korzyść, nawet jeżeli nasz udział w grupie największych graczy jest niewielki. Staliśmy się sprawdzonym i dokładnie prześwietlonym partnerem, o czym warto było poinformować cały świat. Nie omieszkaliśmy tego zrobić FTSE Russell 24 września: Polska delegacja otworzyła sesję na londyńskiej giełdzie, a następnego dnia agencja Bloomberg zorganizowała konferencję z udziałem czołowych polskich firm. Awans Polski był nie tylko naszym świętem, lecz również okazją do celebracji przez London Stock Exchange i FTSE Russell.

Polska znalazła się w gronie takich gospodarek jak Stany Zjednoczone, Japonia, Wielka Brytania, Francja, Kanada czy Niemcy. Na 25 państw wchodzących do grupy rynków rozwiniętych według FTSE Russell zaj-

mujemy – zgodnie z danymi z końca września – 21. pozycję, z udziałem w indeksie wynoszącym 0,14 proc. W porównaniu z liderami: USA (60,26 proc.) czy z drugą w kolejności Japonią (8,95 proc.), to niewiele, ale do 20. na liście Izraela (0,20 proc.) czy 19. Norwegii (0,33 proc.) jest nam trochę bliżej. Dystans procentowy jest niewielki, ale i tak trzeba będzie się mocno postarać, by przegonić giełdę w Tel-Awivie i w Oslo; pod względem kapitalizacji do pierwszej mamy do odrobienia prawie 30 mld dol., do drugiej – 93 mld dol.

To dużo, jednak polski rynek stoi u progu zmian, jakie mogą mu przynieść Pracownicze Plany Kapitałowe, a także realizowana właśnie strategia warszawskiej giełdy, poszerzająca jej ofertę. Nie bez znaczenia są również dobra kondycja gospodarki i sprzyjające jej oceny ratingowe, mogące umocnić złotego. Jeżeli sprawdzą się optymistyczne prognozy dla Polski, możemy być świadkami szybszego skracania naszego dystansu w ekskluzywnej grupie developed markets, niż dzisiaj nam się wydaje. ●

Lokalny rynek musi być mocny

Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju:

Stajemy się częścią elitarnego grona rynków rozwiniętych, co oznacza szansę na dotarcie do szerszej grupy inwestorów i do funduszy o dużej skali działania

Jakie znaczenie dla gospodarki ma włączenie przez FTSE Russell Polski do grupy rynków rozwiniętych?

Paweł Borys: Uznanie nas za rynek rozwinięty jest nobilitacją wpływającą w oczach inwestorów międzynarodowych na reputację naszej gospodarki. Rynek kapitałowy jest istotny z perspektywy finansowania sektora przedsiębiorstw. Nie ma silnej gospodarki bez silnego rynku kapitałowego. Polska ma bardzo dobrze rozwinięty sektor bankowy, troszeczkę słabiej – rynek kapitałowy. To, że interesują się nim inwestorzy międzynarodowi, pokazuje, iż ma on dobre perspektywy. Jesteśmy największy w regionie, brakuje nam może stabilności, jeżeli chodzi o filar kapitałowy systemu emerytalnego. Dlatego jestem przekonany, że – patrząc z tej perspektywy – bardzo istotne znaczenie ma wdrożenie Pracowniczych Planów Kapitałowych. PPK tworzą realne oszczędności, które za pośrednictwem rynku kapitałowego mogą zasilać polską gospodarkę. Dzięki PPK możemy stworzyć najszerze grono długoterminowych inwestorów w naszym regionie i odgrywać istotną rolę na europejskiej mapie rynków kapitałowych.

PPK to kapitał krajowy. Jak pan sądzi, czy awans Polski może oznaczać przyciągnięcie kapitału zagranicznego?

Oczywiście. Najwięcej środków znajduje się w funduszach rynków rozwiniętych, do których właśnie dołączamy. Stajemy się częścią elitarnego grona rynków rozwiniętych, co oznacza szansę na dotarcie do szerszej grupy inwestorów i do funduszy o dużej skali działania. Dla inwestorów zagranicznych duże znaczenie ma jednak również to, czy dobrze rozwinięta jest lokalna baza inwestorów, zwłaszcza długoterminowych. Musimy o nią dbać. Na całym świecie inwestorzy długoterminowi to głównie fundusze inwestycyjne bądź emerytalne, które mają tę zaletę, że posiadają cierpliwy kapitał, inwestowany głównie na rynku akcji czy obligacji korporacyjnych.

Czy wejście do grupy rynków rozwiniętych oznacza większą stabilizację polskiego rynku kapitałowego, bardziej uodpornia nas na ewentualne wstrząsy?

Doświadczenie uczy, że tak właśnie jest. Jeżeli na świecie rośnie ryzyko, kapitał w pierwszej kolejności odpływa z funduszy rynków rozwijających się. Rynki te są najbardziej narażone na wstrząsy. W przypadku krajów znajdujących się w gronie rynków rozwiniętych, tak jak Polska, nawet w okresie turbulencji kapitał zachowuje się stabilnie.



Bohaterowie drugiego planu

Maciej Trybuchowski, prezes Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych:

Rynek kapitałowy jako całość został doceniony, uznany za dojrzały i dobrze zorganizowany. Nie jest żadnym kasynem...

Co z punktu widzenia Grupy KDPW oznacza zmiana klasyfikacji Polski, dokonana przez FTSE Russell?

Maciej Trybuchowski: To oznacza, że dokona się pewna realokacja portfeli inwestorów. Dla KDPW i KDPW_CCP, naszej izby rozliczeniowej, otwiera się zatem szansa na budowanie relacji z nowymi klientami, nieobecnymi dotąd na polskim rynku. Liczymy na to, że oni się pojawiają.

A z punktu widzenia technicznego i organizacyjnego?

Reklasyfikacja ma duże znaczenie z punktu widzenia rynku, natomiast dla spółek z Grupy KDPW nie wiąże się z większymi wyzwaniami. Poza tymi, że cały rynek powinien się trochę zmieniać, rosnąć i konkurować na innym poziomie. KDPW_CCP rozlicza wszystkie transakcje na rynku giełdowym. Z punktu widzenia technicznego nie zmienia się nic, ponieważ jesteśmy przygotowani do rozliczania każdego typu transakcji.

Czy reklasyfikacja jest zmianą ewolucyjną, czy to rodzaj skoku do zupełnie innej rzeczywistości?

Uważam, że mamy do czynienia z procesem ewolucyjnym. Mówiąc bardziej wyraziście – przechodzimy do wyższej ligi, gramy z innymi zawodnikami, jakość gry się zmienia. To jednocześnie wyzwanie dla całego rynku kapitałowego w Polsce. Nie zapominajmy, że poza FTSE Russell są też inne indeksy, w których polski rynek kapitałowy nadal kla-

syfikowany jest w kategorii emerging markets. W tym kontekście również można powiedzieć, że mamy do czynienia z ewolucją. Jedną nogą jesteśmy więc jeszcze w rynkach rozwijających się, ale niektórzy traktują nas już jako rynki bardziej dorosłe.



Czy taka płynna zmiana jest korzystna dla naszego rynku?

Tak, z pewnością. Jest zarówno korzystna, jak i bezpieczna. Awans Polski oznacza większą stabilizację rynku i większą jego przewidywalność. Czy z punktu widzenia KDPW jest to istotne? Dla rynku ma to duże znaczenie, natomiast z perspektywy Grupy KDPW – raczej niewielkie. Cała sfera post-transakcyjna jest w Polsce dobrze uregulowana i profesjonalnie prowadzona. Należy podkreślić, że był to jeden z elementów decydujących o reklasyfikacji Polski do kategorii rynków rozwiniętych. Sfera usług post-transakcyjnych to bohaterowie drugiego planu, ale dla inwestorów ma ona kluczowe znaczenie. Nie chodzi przecież tylko o to, by dokonać transakcji, ale żeby została ona szybko, sprawnie, w sposób profesjonalny rozliczona.

Jednym słowem, instytucje polskiego rynku kapitałowego działają dobrze i FTSE Russell to docenił...

I to jest najważniejsze. Rynek jako całość został doceniony, uznany za dojrzały i dobrze zorganizowany. Nie jest żadnym kasynem... FTSE Russell ocenił nasz rynek nie poprzez negatywne incydenty, do których dochodzi wszędzie, nawet na najbardziej rozwiniętych rynkach kapitałowych, ale spojrzął na jego długofalowe funkcjonowanie i podkreślił jego wiarygodność.



Inwestorzy, jakich jeszcze nie było

Jakub Papierski, wiceprezes PKO Banku Polskiego:

Przed nami intensywny okres komunikacji z inwestorami, inwestującymi na rynkach rozwiniętych

PKO Bank Polski jest jedyną polską spółką zaliczoną do grupy dużych spółek indeksu rynków rozwiniętych FTSE Russell. Jakie ma to praktyczne znaczenie?

Jakub Papierski: Dzięki obecności w koszyku największych spółek PKO Bank Polski zyskał dostęp do znacznie szerszego

zasobu pieniędzy, które mogą być inwestowane w papiery emitowane przez bank. PKO BP jest znaczącym emitentem, i są to nie tylko akcje notowane na giełdzie. Emitujemy papiery na rynkach międzynarodowych, obligacje, listy zastawne. Postrzeganie Polski, a także PKO BP jako największej spółki w kraju obecnej w indeksie FTSE Russell przekłada się na większą stabilność, mniejsze ryzyko i stwarza szanse na uzyskanie lepszych warunków emisji. Reklasyfikacja popra-

wia również wizerunek Polski, a także krajowych spółek. Stajemy się jeszcze bardziej wiarygodnym partnerem.

Co reklasyfikacja oznacza dla polskiego rynku finansowego?

Liczba inwestorów, którzy będą odnosić swoje wyniki inwestycyjne do indeksu FTSE Russell, w którym znajduje się Polska, będzie teraz znacznie większa niż wcześniej, kiedy byliśmy w kategorii rynków rozwijających się. Będziemy mieć do czynienia ze znacznie szerszą grupą inwestorów. Muszą oni przede wszystkim Polskę poznać, bo w naszym kraju do tej pory nie inwestowali. Muszą także poznać polskie spółki. Przed nami jest więc intensywny okres komunikacji z inwestorami, inwestującymi na rynkach rozwiniętych. Musimy im jak najlepiej przedstawić Polskę, rozwój naszej gospodarki, a także pokazać wyniki polskich spółek, ich historię, plany i strategię.

Czy reklasyfikacja jest korzystna przede wszystkim dla dużych firm, a dla średnich i małych jest ona obojętna?

Rzeczywiście reklasyfikacja Polski do kategorii spółek rozwiniętych jest najważniejsza dla spółek najbardziej płynnych i największych; to konsekwencja konstrukcji indeksów. Jednak to, co jest dobre dla dużych spółek, stopniowo będzie przenosiło się na całą giełdę, w tym na firmy średnie i małe.

Czyli większe zainteresowanie dużymi firmami z Polski przełoży się wcześniej czy później na cały rynek?

Przed wszystkim zmiana, jakiej dokonał FTSE Russell, powinna skutkować większą stabilnością notowań na giełdzie w Warszawie. Niekoniecznie musi się przełożyć na jakiś istotny wzrost lub spadek indeksów. Spodziewamy się natomiast zwiększenia ich przewidywalności, polepszenia jakości wyceny, co pozwoli bardziej świadomie i bezpiecznie inwestować na rynku.

Awans pomoże w ekspansji

**Michał Krupiński,
prezes Banku Pekao S.A.:**

Włączenie naszego kraju do kategorii rynków rozwiniętych pomoże polskim firmom, gdyż pozytywnie wpłynie na zmianę percepcji naszej gospodarki jako rynku z dojrzałymi strukturami, ale rozwijającego się zdecydowanie szybciej na tle Europy

Dla Banku Pekao S.A. to znakomite rozwiązanie, ponieważ jesteśmy od niedawna członkiem indeksu FTSE Developed All Cap Index oraz STOXX Europe 600 Index. Jako bank oferujemy inwestorom zbilansowany wzrost w połączeniu z wysoką stopą dywidendy. Jesteśmy najlepiej skapitalizowanym polskim bankiem, o silnej pozycji bilansowej i chociażby z tego powodu stanowimy bardzo dobrą inwestycję dla inwestorów portfelowych, którzy już się zdecydowali albo rozważają inwestowanie w nasze akcje. W przypadku inwestorów o aktywnym profilu inwestycyjnym akcje Banku Pekao S.A. mogą być atrakcyjne zarówno dla inwestorów rynków wschodzących, jak i rozwiniętych, gdzie bank aktywnie buduje swój profil. Dla tych pierwszych polski rynek to ostoja stabilności na tle trudności, jakich doświadczają inne gospodarki wschodzące. Z kolei dla inwestorów rynków rozwiniętych polskie spółki, takie jak Bank Pekao S.A., oferują ponadprzeciętną dochodowość i wzrost trudny do osiągnięcia w innych częściach Europy, a zwłaszcza w sektorze bankowym. Nasza stopa dywidendy to 6–7 proc. każdego roku. Awans Polski do rynków rozwiniętych zbiegł się z otwarciem biura Banku Pekao S.A. w Londynie. Nasze przed-

stawicielstwo ma stanowić wsparcie dla planujących ekspansję zagraniczną polskich firm, ułatwić relacje z zainteresowanymi Polską funduszami inwestycyjnymi. Włączenie naszego kraju do kategorii rynków rozwiniętych pomoże polskim firmom w tej ekspansji, gdyż pozytywnie wpłynie na zmianę percepcji naszej gospodarki jako rynku z dojrzałymi strukturami, ale rozwijającego się ciągle zdecydowanie szybciej na tle Europy.

Wielokrotnie niesprawiedliwie byliśmy traktowani na równi z innymi rynkami wschodzącymi, mimo że nasza sytuacja makroekonomiczna była diametralnie inna. Nasze atuty to szybki i jednocześnie zrównoważony, zdywersyfikowany wzrost gospodarczy, niskie bezrobocie i inflacja, a także niski udział długu korporacyjnego w walutach obcych oraz dobra sytuacja fiskalna. Przez stosowanie przez inwestorów podejścia koszykowego często byliśmy wrzucani do jednej grupy z krajami, które charakteryzowały się ujemnym wzrostem gospodarczym, dwucyfrową inflacją i podobnie wysoką rentownością obligacji rządowych.

Jako kraj odrobiliśmy naszą pracę domową i w pełni zasłużyliśmy na ten awans. Czy to oznacza, że przestaniemy być traktowani przez inwestorów jako rynek wschodzący? Jeszcze nie, ale ważny krok, aby zmienić to postrzeganie, został zrobiony.



Rozmowy przeprowadził **Stanisław Koczot**

foto: Andrzej Wiktor

HENRYK UZDROWSKI

ekonomista



Polska w gospodarczej elicie

24 września był pierwszym dniem, kiedy Polska została sklasyfikowana przez globalną agencję FTSE Russell w indeksie rynków rozwiniętych (developed markets), wcześniej przez lata byliśmy zaliczani do kategorii tzw. rynków wschodzących (emerging markets). Nasze nowe towarzystwo obejmuje wszystkie najbogatsze kraje świata, takie jak USA, Niemcy czy Francja. Nasz awans przekonuje, że Polska spełnia dokładnie te same warunki, co inne rynki z grupy, do której teraz przynależymy.

Aby znaleźć się w gronie najbogatszych, konieczny był wzrost dochodu PKB liczony per capita, który aktualnie wynosi w Polsce ponad 16 tys. dol., podczas gdy w 1989 r. wynosił jedynie 1,8 tys. dol. Wyraźnie podkreślił to premier Mateusz Morawiecki w swoim tekście „Poznaj polskiego tygrysa” opublikowanym na łamach amerykańskiego „Wall Street Journal”, który powstał właśnie z okazji wejścia w życie zmiany kwalifikacji polskiego rynku przez FTSE Russell. Tytuł nawiązuje do azjatyckich tygrysów, jak nazywano takie państwa jak Korea Południowa czy Singapur, które pod koniec XX w. notowały największy gospodarczy wzrost na świecie i doganiały najbogatsze kraje. Dziś w tej roli występuje Polska.

Warto podkreślić, że awans z emerging markets do developed markets, jaki zanotowała nasza ojczyzna, jest pierwszym takim osiągnięciem na świecie w ostatnich 10 latach. Polska to także pierwszy kraj z Europy Środkowo-Wschodniej, który zaliczono do gospodarczej elity. Kolejni kandydaci do osiągnięcia statusu rynku rozwiniętego to Chiny i Arabia Saudyjska. Trzeba przy tym pamiętać, że indeks Russella nie jest statyczny, a więc brak awansu Polski oznaczałoby, że zamiast rozwoju pogrążamy się w stagnacji.

Jak zmiana w klasyfikacji Polski wpłynie na naszą gospodarkę, przekonamy się w ciągu najbliższych miesięcy. Istotne z punktu widzenia inwestorów jest to, że Polska zyskuje markę stabilnego i godnego zaufania rynku, który oferuje przewidywalność i bezpieczeństwo. Osiem największych polskich spółek trafiło do indeksu Stoxx Europe 600, co daje szansę na napływ kapitału na warszawski parkiet. Stoxx, operator indeksu Deutsche Börse Group, zaliczył do niego notowane na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie: PKO BP, Pekao, Orlen, PZU, Santander Bank Polska, CD Projekt, KGHM oraz LPP.

Prezes GPW Marek Dietl spodziewa się, że po zmianie klasyfikacji Polski na warszawskim parkiecie w pierwszej kolejności pojawią się inwestorzy nieposzukujący szybkiej i dużej stopy zwrotu zainwestowanego kapitału, a dopiero później dołączą do nich bardziej aktywni rynkowi gracze.

Awans Polski do developed markets był efektem zmian, jakie zaszły w naszym kraju na przestrzeni ostatniego 30-lecia, w którego trakcie Polska ani razu nie zaznała recesji, nawet w latach globalnego kryzysu, zapoczątkowanego w 2008 r. upadkiem banku Lehman Brothers. Zdecydowany wzrost dochodów Polski wiąże się także z uszczelnieniem systemu podatkowego – m.in. skutecznym łataniem tzw. dziury VAT-owskiej, co według rządowych szacunków w 2017 r. przyniosło budżetowi państwa 40 mld zł.

Zachowanie statusu rynku rozwiniętego będzie wymagało od Polski utrzymania wysokiej dynamiki tempa wzrostu gospodarczego. O ile bowiem wzrost dochodu per capita z 1,8 do 16 tys. dolarów w ciągu ostatnich 29 lat wydaje się imponujący, o tyle wciąż jest on dużo niższy niż chociażby przekraczający 50 tys. dol. dochód per capita Niemiec czy wynoszący ponad 41 tys. dol. średni dochód na mieszkańca w Unii Europejskiej. Dziś jednak Polska goni najbogatsze kraje w stosunkowo szybkim tempie, a zdaniem wielu zagranicznych analityków przed nami są perspektywy dalszego dynamicznego wzrostu.

”

Awans z emerging markets do developed markets, jaki zanotowała Polska, jest pierwszym takim osiągnięciem na świecie w ostatnich 10 latach



rys. Shutterstock

ROBERT BOMBAŁA

Zmierzch „papieru”

Rząd chce wzmocnienia nadzoru oraz ochrony inwestorów na rynku finansowym.

Chodzi przede wszystkim o publiczne emisje i giełdowy obrót obligacjami korporacyjnymi, m.in. przez totalną dematerializację tych papierów wartościowych

Rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy o nadzorze finansowym. Pojawiły się m.in. zapisy o grzywnach czy rozszerzeniu składu Komisji Nadzoru Finansowego. W tych nowych rozwiązaniach zaproponowano m.in. utworzenie Funduszu Edukacji Finansowej, czyli instytucję, która ma zwiększyć świadomość finansową Polaków, w tym wiedzę o oferowanych produktach inwestycyjnych. Za nadzór nad funduszem odpowiadać ma Rada Edukacji Finansowej, złożona z przedstawicieli instytucji państwowych „mających wpływ na rozwój i bezpieczeństwo rynku finansowego oraz edukację”. Pieniądze na ten cel mają pochodzić m.in. z kar nakładanych przez KNF, rzecznika finansowego, UOKiK oraz Komisję Nadzoru Audytowego.

Jak ocenia Roman Przasnyski, główny analityk Gerda Broker, sprawa GetBacku narobiła tak wiele zamieszania na polskim rynku finansowym, tyle strat realnych i wizerunkowych, że nic dziwnego w próbie

zmian regulacji mających na celu uchronienie inwestorów przed podobnymi przypadkami. – Część propozycji jest jak najbardziej uzasadniona, część zaś może być nie tylko nieskuteczna, lecz także działać hamująco na rozwój rynku – wyjaśnia Roman Przasnyski.

Dematerializacja obligacji i monopol KDPW

Do zmian, które wzbudzą największe kontrowersje, można zaliczyć ustanowienie w pewnym sensie monopolu Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych (KDPW). Jak czytamy bowiem w uzasadnieniu do ustawy, wprowadzona zostanie obligatoryjna dematerializacja obligacji korporacyjnych, certyfikatów inwestycyjnych emitowanych przez fundusze inwestycyjne zamknięte oraz listów zastawnych, niezależnie od tego, czy były one przedmiotem oferty publicznej oraz czy są przeznaczone do obrotu w jakimkolwiek systemie. „Wyżej wymienione instrumenty finansowe będą pod-

legały obowiązkowej rejestracji w depozycie papierów wartościowych prowadzonym przez Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych, na zasadach obowiązujących obecnie dla publicznych papierów wartościowych i obligacji skarbowych. Spowoduje to zwiększenie transparentności emisji dłużnych papierów wartościowych. Za przyjęciem projektowanej zmiany przemawia także większe bezpieczeństwo i elastyczność dla inwestorów”. Jak ocenia Emil Szveda z portalu Obligacje.pl, o ile sam pomysł utworzenia centralnego, jawnego rejestru obligacji należy uznać za słuszny, służący większej przejrzystości rynku, „o tyle obowiązek rejestracji i ewidencji każdej emisji obligacji w Krajowym Depozycie Papierów Wartościowych i ich przymusowa dematerializacja mogą budzić mieszane odczucia”. Zdaniem autorów nowelizacji – jak czytamy w informacji po posiedzeniu rządu – obecny system rejestracji prowadzony przez Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych jest systemem najbezpieczniejszym, a rejestracja w tym systemie wszystkich niepublicznych papierów dłużnych doprowadzi do tego, że rejestrować je będą jedynie podmioty najlepiej przygotowane do tego zadania, czyli domy maklerskie i banki posiadające zezwolenie na prowadzenie rachunków papierów wartościowych i będące uczestnikami Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych (dotychczas były to także podmioty, które nie są uprawnione do prowadzenia rachunków papierów wartościowych). Według Szvedy monopol KDPW na ewidencję obligacji nie jest dobrym rozwiązaniem: „Przymusowa ewidencja oznacza wyższe koszty, co będzie miało znaczenie przede wszystkim dla mniejszych emisji (do 10 mln zł), ale nie to jest najważniejszym problemem. Chodzi także o rejestrację zmian warunków emisji obligacji. Bywa, że rozmowy w sprawie np. wydłużenia terminu spłaty obligacji prowadzone są do ostatniego możliwego terminu (np. ostatniego dnia przed wykupem). Jeśli KDPW nie zdąży zarejestrować zmian (a zwykle rejestruje emisje przez kilka tygodni), obligacje staną się zapadalne, a nie wykupione w terminie (mimo zgody wierzycieli na wydłużenie okresu spłaty) spowodują tzw. cross default – zapadalność wszystkich zobowiązań finansowych emitenta. De facto zatem także to rozwiązanie może się okazać niekorzystne i dla emitentów, i dla inwestorów, którzy mogą po prostu nie chcieć brać dodatkowego ryzyka – tym razem administracyjnego – na swój portfel”.

Szveda dodaje, że – zgodnie z ustawą o obligacjach – w przypadku zdematerializowanych obligacji nie istnieje możliwość obrotu nimi po dniu wygaśnięcia obligacji. „Oznacza to, że inwestorzy, którzy posiadali obligacje emitenta, który ich nie wykupił, z konieczności stają się uczestnikami postępowania sanacyjnego czy upadłościowego, co oznacza dla nich najczęściej kolejne wydatki. Taka konstrukcja uniemożliwia również powstanie w Polsce profesjonalnych funduszy czy kancelarii wyspecjalizowanych w odzyskiwaniu wierzytel-

ności z obligacji na swój rachunek, choć – jak wiemy – tego typu firmy świetnie się sprawdzają w przypadku bankowych wierzytelności czy to konsumenckich, czy korporacyjnych. Z tego właśnie względu do dziś istnieje w Polsce praktyka przeprowadzania prywatnych emisji obligacji w postaci materialnej; te można bowiem sprzedać w przypadku defaultu emitenta obligacji. Dlatego przymusowa dematerializacja obligacji bez jednoczesnego otwarcia możliwości obrotu obligacjami, których data wykupu minęła, de facto ograniczy jeszcze bardziej bezpieczeństwo uczestników rynku, zamiast je wzmocnić”.

Wzmocnienie nadzoru wymaga konsekwentnych działań

Projektodawcy zmian w ustawie oceniają, że utworzenie jednego, centralnego repozytorium informacji na temat wielkości długu wyemitowanego przez poszczególne emitentów oraz terminowości jego spłacania pozwoli organom nadzoru – w tym przypadku KNF – łatwiej dotrzeć do tych informacji i innym uprawnionym instytucjom państwowym, a także umożliwi ich uzyskanie przez zainteresowanych inwestorów. W ustawie bowiem określono ramy na potrzeby przekazywania informacji między KNF a np. ABW, CBA, KAS, Policją oraz UOKiK. Przasnyski nie ma wątpliwości, że regulacje powinny sprzyjać bezpieczeństwu inwestorów oraz utrudniać emitentom czy innym podmiotom możliwości naruszania interesów tych pierwszych. „Zasadniczy problem polega na tym, że bardzo trudne jest skuteczne wprowadzenie rozwiązań mających charakter prewencyjny. Jeśli znajdzie się podmiot nieuczciwy, nie powstrzymają go żadne przepisy, a wskazują na to liczne doświadczenia, nie tylko z naszego rynku. Przykładem mogą być choćby dobrze przecież znane piramidy finansowe, które wydają się »nieśmiertelne«, w tym znaczeniu, że zawsze znajdują się firmy gotowe bazować na tym schemacie i zawsze znajdują się ofiary takiego procederu”. I dodaje, że sprawą zasadniczą jest sposób dystrybucji oraz oferowania instrumentów finansowych indywidualnym inwestorom. „I tu jest sporo do zrobienia, choć i w tym zakresie w ostatnim czasie pojawiło się bardzo dużo szczegółowych i restrykcyjnych regulacji. Wygląda na to, że jest problem z ich stosowaniem i egzekwowaniem, ale to można dość łatwo poprawić. Rejestrowanie rozmów doradców z klientami jest jednym z pomysłów dość łatwych do wprowadzenia i nie tak znów kosztownym, skoro inne narzędzia zawodzą”.

Podsumowując – o wzmocnienie nadzoru nad rynkiem kapitałowym „aż się prosiło”. Jednak dopiero za pewien czas będzie można ocenić, na ile wprowadzone zmiany spowodują, że nie będzie powtórką z afery GetBacku, czy są one wystarczające, aby inwestorzy, szczególnie ci drobni, nie tracili zaufania do rynku kapitałowego. ●

ANNA RACINIEWSKA

Kto zbuduje Port Solidarność

Polityczne rozgrywki nie zdołały zaszkodzić inicjatywie budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Opozycja szydziła z rozmachu projektu, że to mrzonki i puste obietnice. Tymczasem na naszych oczach zaczyna się realizacja tego przedsięwzięcia



Podczas kongresu Impact mobility rEvolution'18 w Katowicach Mikołaj Wild (pierwszy z lewej) przedstawił prezesa spółki odpowiedzialnej za budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego – dr. Jacka Bartosiaka (drugi z lewej)

fol. Filip Klimaszewski, Impact Mobility Evolution 2018

Niemal 100 lat temu w niewielkiej wsi nad brzegiem Zatoki Gdańskiej pojawiło się dwóch inżynierów – Tadeusz Wenda i Eugeniusz Kwiatkowski. Przybyli nieprzypadkowo, bo w Warszawie udało im się przekonać rząd odradzającego się, niepodległego państwa polskiego, że w miejscu małej rybackiej wsi należy zbudować potężny Port Morski Gdynia, transportowe okno na świat dla Polski. I dzięki ich wizjonerstwu oraz determinacji tak się stało. I był to – jak powiedzieliby komentatorzy sportowi – sukces we wspianym stylu: tempo rozwoju nowego ośrodka infrastruktury i przemysłu na mapie Polski okazało się imponujące.

Już w latach 30. XX w. gdyński port stał się poważną konkurencją dla innych portów położonych nad Bałtykiem i Morzem Północnym. Dla Polaków z II RP – jak widzimy – istnienie konkurencji nie było wymówką, tylko motywacją. Gdynia odebrała Hamburgowi prze-

ładunek skór i owoców południowych, a Bremie przeładunek bawełny. Powstała stocznia, rozwinęła się wokół portu strefa przemysłu. Wraz z portem błyskawicznie rosło miasto Gdynia. Otrzymała prawa miejskie w 1926 r., a w 1939 r. liczyła już 125 tys. mieszkańców. „Budowa Gdyni miała wpływ nie tylko na rozwój gospodarki morskiej, ale na reorientację polskiej ekonomii – do 1938 roku aż 80 proc. polskiego eksportu i 65 proc. importu szło drogą morską” – czytamy w historii Portu Gdynia.

Okno Polski na świat

Po 100 latach od tamtych wydarzeń nie ma wątpliwości, że Polska zyskała nowoczesny, nadal rozwijający się i kwitnący ośrodek na infrastrukturalnej mapie Europy i świata.

Kolejny raz w historii mamy szansę podobną w skali do tej z Gdynią. Centralny Port Komunikacyj-

ny „Solidarność” zmieni Polskę i gospodarczą mapę Europy na dziesiątki lat. CPK jest inwestycją o znaczeniu światowym, o ogromnej skali – zmieniającej współczesną mapę transportu międzynarodowego, wpisującą się w istniejące i planowane koncepcje transportowe (sieć TEN-T, ale także nowy jedwabny szlak). „Polska stoi przed historyczną szansą przesunięcia centrum ruchu lotniczego z Europy Zachodniej na wschód” – ocenił perspektywę zmian niesionych przez CPK Janusz Janiszewski, prezes Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej, podczas debaty na Forum Ekonomicznym w Krynicy.

Inwestycja w Centralny Port Komunikacyjny daje impuls do rozwoju dla wielu branż: od transportu we wszystkich jego odsłonach, poprzez budownictwo, przemysł, aż po technologię. Ma również wielkie znaczenie w sferze bezpieczeństwa militarnego, zwiększając naszą mobilność w razie konfliktu zbrojnego. – Ta inicjatywa jest uważnie obserwowana przez naszych partnerów z NATO: CPK wpisuje się w strategię związane ze zwiększeniem mobilności sił RP na wypadek wojny – podkreśla Mikołaj Wild, wiceminister infrastruktury, pełnomocnik rządu ds. CPK.

Bezpieczny plan i środki finansowe

Centralny Port Komunikacyjny ma być portem lotniczym wykorzystującym najnowsze zdobycze techniki, inwestycją zmieniającą sposób podróżowania i doświadczenie lotniskowe w wielu aspektach. Wyznacznikami nowoczesności mają być nie tylko rozmiar lotniska położonego na 3 tys. ha, lecz również komfort, jak najkrótszy czas transferu, w tym przejścia przez kontrole bezpieczeństwa i transportowe.

Koncepcja węzła transportowego (hubu) opartego na zintegrowanych z sobą węzłach: lotniczym i kolejowym, spójnych z układem sieci drogowej, wymaga dużych nakładów. W ciągu najbliższych dziewięciu lat na budowę CPK budżet wyłoży 35 mld zł. Kolejne 40 mld zł będzie kosztowała rozbudowa polskiej sieci kolejowej, aby zapewnić dobre skomunikowanie kraju z nowym hubem. – W ostatnich 12 miesiącach odbyliśmy kilkadziesiąt rozmów m.in. z bankami, funduszami finansującymi projekty infrastrukturalne. Widzimy, że zainteresowanie finansowaniem tej inwestycji jest bardzo duże, nie ma ryzyka braku pozyskania finansowania dla Centralnego Portu Komunikacyjnego. Dodatkowo Port został zakwalifikowany do Connecting Europe Facility, co oznacza, że znaczna część infrastruktury kolejowej mogłaby zostać sfinansowana ze środków UE – wylicza źródła finansowania Paweł Borys, szef Polskiego Funduszu Rozwoju.

Skala wydatków jest ogromna, ale zwrot z tej inwestycji nastąpi szybko. W pierwszym etapie lotnisko będzie obsługiwać do 45 mln pasażerów rocznie, a docelowo nawet 100 mln pasażerów. Cały ekosystem CPK

ma zatrudniać 150 tys. pracowników. – Port Solidarność jest nastawiony na zysk – zaznacza Mikołaj Wild, wiceminister infrastruktury i pełnomocnik ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Powstała spółka celowa

W roku 2021 zakończą się przygotowania planistyczne i ruszy sama budowa. Port ma być gotowy do końca 2027 r. Jak uważa Mikołaj Wild: aby udźwignąć i rozmach założenia, i wagę potencjalnych kontrahentów, liderzy projektu nie mogą być przypadkowi. – Zgłaszają się do nas duzi, poważni inwestorzy, chcący ulokować swój kapitał w nowym Porcie. Dlatego oś Portu Solidarność stanowić będą ludzie o dużym doświadczeniu inwestycyjnym, eksperci w swoich dziedzinach, o międzynarodowej rozpoznawalności – podkreśla wiceminister.

Latem br. weszła w życie specustawa o Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Pierwszym i najważniejszym krokiem jest powołanie spółki celowej, w której kompetencjach znajdują się budowa samego lotniska, jak i inwestycje drogowe oraz kolejowe. Udziały w spółce należeć mają całkowicie do Skarbu Państwa. Kapitał zakładowy spółki to 10 mln zł. W przyszłości spółkę celową można będzie przekształcić w spółkę akcyjną. Jednak praca spółki celowej ma się zakończyć w momencie, gdy Port Solidarność osiągnie samowystarczalność ekonomiczną, czyli ok. 2027 r. – zapowiedział Wild.

Kto poprowadzi budowę

Lidera projektu poznaliśmy 12 września. Podczas kongresu Impact mobility rEvolution'18 w Katowicach Mikołaj Wild przedstawił prezesa spółki odpowiedzialnej za budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego – dr. Jacka Bartosiaka. „Jest to najważniejsza osoba, aby czuwać nad tym, by ta inwestycja została przeprowadzona w ramach harmonogramu, w ramach kosztów, które założyliśmy, i w jakości takiej, na jaką Rzeczpospolita zasługuje. [...] Jako członek zespołu doradczego miał swój ogromny udział w przygotowaniu i opracowaniu wizji i misji CPK. Ten jego udział był tak znaczny, że jesteśmy spokojni o wyzwania, przed jakimi ten projekt stoi” – powiedział o nowym prezesie Mikołaj Wild.

Jacek Bartosiak jest absolwentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego. „Jacek Bartosiak jest znany jako ekspert w sprawach geopolitycznych, geostrategicznych. Jak państwo wiedzą, projekt CPK wykracza swoim zasięgiem daleko poza granice Polski” – uzasadniał wybór prezesa Mikołaj Wild.

Kolejnym atutem nowego lidera ma być to, że jest on partnerem zarządzającym kancelarii prawnej obsługującej największe procesy inwestycyjne w Polsce. ●

„Spece” od prywatyzacji

JANUSZ SZEWCZAK

poseł na Sejm RP



Były premier rządu SLD-PSL śp. Józef Oleksy proces prywatyzacji w Polsce w chwili przyływu szczerości nazwał niezwykle trafnie: „kosmopolityczne gangi rozkradły Polskę, przekreśliły w bankach szły”. Gdy ponad 20 lat temu alarmowałem o rabunkowej wyprze-

daży majątku narodowego kilku pokoleń Polaków, o zbrodni ekonomicznej dokonywanej na substancji majątkowej, produkcyjnej i handlowej Polaków, sojuszników nie było wielu. Takie oceny jak moja ówczesny guru tzw. prywatyzacji, wicepremier, minister finansów Leszek Balcerowicz nazywał „ignorancją ekonomiczną” i „zacofaniem”. Dziś to już oczywista oczywistość, jak wielkie szkody ten proceder i jego autorzy poczynili dla zamożności naszego narodu oraz perspektyw rozwojowych Polski, polskich rodzin. Chodzi o rządy SLD-PSL, AWS-UW, a wreszcie PO-PSL, w tym zwłaszcza działania takich ludzi jak wspomniany Leszek Balcerowicz, ministrowie przekształceń własnościowych: Janusz Lewandowski, Emil Wąsacz, Alicja Kornasiewicz czy Wiesław

Kaczmarek. Dziś polski premier Mateusz Morawiecki również zwraca uwagę, i słusznie, na skalę oraz wielomiliardowe straty spowodowane tzw. prywatyzacją, choćby w sektorze przetwórstwa rolno-spożywczego. Ta ocena według prof. Leszka Balcerowicza, „ojca chręstnego” polskiej prywatyzacji, to „szandarowe kłamstwo PiS”. Trzeba mieć nie lada tupet i cierpieć na całkowitą amnezję, by przechodzić do porządku nad tym, co się działo w ramach wyprzedaży majątku narodowego, dokonywanego często za bezcen, w atmosferze afer i skandali. Sprzedawano firmy dochodowe, z dużymi perspektywami, monopolistów rynkowych, za niewielką częścią ich prawdziwej wartości, często za cenę niższą niż wartość posiadanych przez firmy gruntów, a nawet mniejszą, niż wynosiły roczny zysk i podpisane kontrakty! Fatalnych przykładów takiej „prywatyzacji” nie brakuje. W 1999 r. PZU S.A. „spece” z UW i KLD wraz

z AWS sprzedali za 3 mld zł. Tymczasem dziś roczny zysk netto PZU SA to 4,5 mld zł. Bank Pekao S.A. sprzedany Włochom za ok. 4 mld zł rząd PiS odkupił w ramach repolonizacji za – bagatela – 11 mld zł, po tym jak przez 20 lat zarabiała na nim włoska Grupa UniCredit, kasując ok. 20 mld zł na polskich firmach i Polakach. Wielka afery prywatyzacyjnej, za którą nikt do dziś nie poniósł żadnych prawnych ani karnych konsekwencji, to sprzedaż w 1998 r. Domów Towarowych Centrum przez ministra przekształceń Emila Wąsacza. Kwota transakcji wyniosła 106 mln zł, choć realnie sprzedano łącznie 32 Domy Towarowe w 22 największych miastach Polski wraz z gruntami! Jak rażąco była zaniżona wartość spółki, może uświadomić to, że w 2018 r. znów sprzedano Domy Towarowe Centrum zagranicznemu funduszowi, ale właściciel zainkasował 1,3 mld zł, a przecież przez 20 lat DT sporo pohandlowały i zarobiły.

Jakim więc prawem wybitni „spece” spod znaku AWS, UW, KLD, SLD czy PSL, architekci operacji często gęsto nazywanej przez Polaków „zło-dziejską prywatyzacją”, mają dziś czelność krytykować polski rząd? Przecież łączne straty na tzw. prywatyzacji od połowy lat 90. można szacować na setki miliardów złotych. Z pewnością Polska byłaby dziś materialnie w zupełnie innym miejscu, gdybyśmy nie wyprzedali 70 proc. wartościowych przedsiębiorstw i przyszłościowych sektorów, nie tylko banków, lecz również firm przetwórstwa rolno-spożywczego. Ale również także wtedy obowiązywała Konstytucja RP, która mówiła w preambule o „trosce o byt i przyszłość Ojczyzny”. Przecież konstytucja mówiła i mówi o społecznej gospodarce rynkowej, o zasadach sprawiedliwości społecznej, o chronieniu interesów Skarbu Państwa. I jakoś wówczas nie było obrońców konstytucji, tak dziś ostentacyjnie aktywnych. Do dziś też nikt z autorów rabunkowej wyprzedaży majątku narodowego nie poniósł żadnej kary. Wprost przeciwnie, ci sami ludzie nadal pouczają, obrażają i kreują się na tzw. autorytety i elity. Na szczęście nie mają już realnego wpływu na polską rzeczywistość polityczną ani gospodarczą. ●

”
**Dziś to już oczywista
oczywistość, jak wielkie
szkody proceder
„prywatyzacji” oraz
jego autorzy poczynili
dla zamożności naszego
narodu i perspektyw
rozwojowych Polski**



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl



Działamy na zmieniającym się rynku

Henryk Mucha, prezes zarządu PGNiG Obrót Detaliczny, o smogu, gazomobilności, dywersyfikacji i nieczystych praktykach konkurencyjnych firm w rozmowie z Maciejem Wośko i Stanisławem Koczotem

Panie prezesie, zacznijmy od oceny generalnych zjawisk na rynku gazu. Gwałtownie rośnie zapotrzebowanie polskiego rynku na gaz, a konsumpcja tego surowca w Polsce wzrosła z 15 mld m³ w 2015 r. do 17 mld m³ w roku 2017. To najbardziej dynamiczny wzrost w historii polskiego rynku, ale także jeden z najwyższych wzrostów w Europie. Z czego wynika tak duży wzrost zużycia gazu w naszym kraju? Ekologia? Efekt koniunktury gospodarczej?

Henryk Mucha: Łatwo zapamiętać dane o wzroście zużycia gazu, gdyż w 2015 r. było to 15 mld m³, w 2016 – 16 mld m³, w 2017 – 17 mld m³. Zakładam, że rok 2018 będzie kolejnym rokiem wzrostu. To przede wszystkim efekt wzrostu gospodarczego i – choć większość wolumenu realizowana jest przez różne segmenty gospodarki – obserwujemy też pozytywną tendencję na rynku klientów detalicznych. Coraz więcej osób decydujących się na budowę lub zakup domku jednorodzinnego wybiera gaz do ogrzewania. Dlaczego? Świadomość ekologiczna jest coraz bardziej ugruntowana, a koszt gazu jest na zupełnie innym poziomie niż kilka lat temu. Co więcej, w stosunku do innych źródeł energii to gaz stał się bardzo atrakcyjnym surowcem. Klienci doceniają też czas i wygodę użytkowania. To wszystko powoduje, że zainteresowanie gazem wzrasta.

Wzrasta również zużycie energii ogólnie. Dla energetyków takim punktem krytycznym jest blackout i 20. stopień zasilania. Czy na rynku gazu jest też taki moment, w którym powiemy: mamy zbyt duże zużycie gazu?

Przy założeniu, że spełnionych zostanie kilka warunków, to wydaje się, iż nie ma takiego momentu. Za popytem musi podążać podaż, która – jak zakładam

– będzie rosła w sposób zrównoważony i – co chyba najważniejsze – będzie elementem kluczowego wręcz dla rynku procesu dywersyfikacji. To najistotniejsza blokada w rozwoju rynku gazu. Popyt dzisiaj kształtuje cena. W oparciu o cenę surowców polskie przedsiębiorstwa budują swoją konkurencyjność. Oczywiście chciałbym bardzo, by przewaga konkurencyjna w Polsce powstawała na bazie i w oparciu o poziom myśli technologicznej, ale prawda jest taka, że wielu dużych przedsiębiorców w rachunku kosztowym energię, gaz widzi na trzeciej, czwartej pozycji. Dlatego koszt i stabilność cen gazu jest niezwykle ważnym składnikiem gry gospodarczej. Kluczowym elementem w dostawie atrakcyjnego cenowo surowca będzie więc dywersyfikacja.

Wracając do przyczyn wzrostu wykorzystania gazu – czy świadomość ekologiczna i obowiązki związane z ochroną środowiska mogą mieć znaczenie w pojedynku gaz vs. węgiel?

Ten argument ma szczególne znaczenie dla odbiorców indywidualnych. Normy środowiskowe dla przemysłu są niezwykle restrykcyjne, co więcej – wspierane przez przepisy prawa. Więc tu, w przemyśle, świadomość obowiązku utrzymania norm jest poza dyskusją.

I jest też kosztem...

W jakimś sensie tak, wkomponowanym w rachunek funkcjonowania przedsiębiorstwa. Kosztem świadomym, którego nikt nie kwestionuje. Sporo do zrobienia jest natomiast właśnie wśród odbiorców indywidualnych. Jeśli popatrzymy na ostatnie dwa lata,



Henryk Mucha,
prezes zarządu
PGNiG Obrót
Detaliczny: Klienci
wybierają nas, bo
firma kojarzy się
im z bezpieczeń-
stwem. PGNiG to
zaufana marka,
duży, stabilny
dostawca

fol. Andrzej Wiktor

to widzimy już pewien proces. Najpierw mieliśmy alarm smogowy i listę WHO, która wśród 50 najbardziej zanieczyszczonych miast w Europie umieściła 36 polskich miast, aż siedem jest w pierwszej dziesiątce. To ponad 30 tys. zgonów w skali każdego roku, do których przyczyniła się fatalna jakość powietrza. Problem smogu istnieje w Polsce od wielu, wielu lat – ale nigdy dotąd, przez żaden rząd nie był potraktowany tak poważnie. Dziś o smogu w debacie publicznej mówimy przez cały rok.

Kiedyś tylko zimą...

Program „Czyste powietrze” i budżet w wysokości 100 mld zł na termomodernizację jest efektem tej debaty. To są konkretne pieniądze przeznaczone na walkę ze smogiem. To także aktywność firm energetycznych, w których ekologia stała się elementem strategii CSR. Ta świadomość przekłada się ostatecznie na produkty finalne. Na końcu tego zbioru działań jest odbiorca, również ten, którego dotyczy ubóstwo energetyczne, a więc brak środków na instalację kotła gazowego, modernizację infrastruktury grzewczej w domu czy wreszcie regularne opłaty za gaz. Sądzę, że w najbliższym okresie to również ulegnie zmianie. Zjawiska te były przez lata pomijane.

”

Polska ze względu na liczbę mieszkańców jest bardzo atrakcyjnym rynkiem. To, że pojawiają się silne, duże firmy konkurujące z nami – jest tylko kwestią czasu

Sprzedaż w jednej ofercie PGNiG Obrót Detaliczny prądu i gazu (pakiet PiG) wynika właśnie z rozmów z odbiorcami?

Działamy na konkurencyjnym rynku. Byliśmy ostatnim podmiotem, który wprowadził taką ofertę, bo spółki energetyczne dostarczają prąd i gaz już od jakiegoś czasu. Odpowiedzieliśmy więc na zachowania rynku. Stworzyliśmy produkt bez opłat za abonament, z gwarancją ceny przez okres 12 miesięcy. Projektując ofertę dla tego konkretnie produktu, mieliśmy świadomość, że każdy, kto ma gaz, ma też prąd, choć nie każdy, kto korzysta z prądu, ma gaz. Ta prawidłowość ma potwierdzenie w naszych wynikach – myślę, że do końca 2018 r. będziemy mogli się pochwalić portfelem klientów na poziomie 95 tys. Proszę pamiętać, że jesteście jedną firmą „energetyczną”, która sprze-

daje swoje produkty i usługi na terenie całego kraju. Klienci wybierają nas jako podmiot, którego działalność kojarzona jest z bezpieczeństwem. PGNiG to zaufana marka, duży, stabilny dostawca.

Nie wszyscy dostawcy gazu kojarzą się z ciepłem i bezpieczeństwem... Rozumiem, że ze stabilnością PGNiG należy wiązać to, że Ministerstwo Energii to właśnie was wybrało jako tzw. operatora awaryjnego. Gdy firma dostarczająca gaz zbankrutuje, to PGNiG będzie odpowiedzialne za dostawę gazu.

To prawda. Ostatnie wydarzenia pokazały, jak ważna jest stabilność dostawcy gazu. Zgodnie z rozporządzeniem ministra energii z 21 września sprzedawcą awaryjnym stała się spółka PGNiG Obrót Detaliczny. Mamy zadanie do 30 dni poinformować klienta, że przejęliśmy obowiązki w zakresie sprzedaży i dostaw gazu, jeśli dotychczasowy dostawca zniknie z rynku. Te przepisy są efektem nowej sytuacji na rynku, gdy np. bankrutują sprzedawcy gazu i energii elektrycznej. To z kolei wynika m.in. z intensywnej fluktuacji cen surowca, ale też związane jest bezpośrednio z praktykami stosowanymi przez wielu przedsiębiorców. Mam na myśli model zdobywania klientów, lecz także metody zakupów i bilansowania gazu oraz energii.

Cóż, rynek walczy o klienta...

Tak, często podkreślam, że wiele zmian w PGNiG przeprowadzono dzięki temu, że pojawili się nasi konkurenci. Ja to bardzo szanuję i dziękuję uczciwym konkurentom, że pomogli nam się zmienić. Natomiast trzeba też jasno i wyraźnie powiedzieć, że pojawili się również nieuczciwi sprzedawcy, których działania sprzedażowe doprowadziły do wielu nadużyć i nieporozumień.

Przedstawiciele „gazowni” po domach nie chodzą.

Dokładnie. Absolutnie nie prowadzimy sprzedaży bezpośredniej. Gaz sprzedajemy w oparciu o sieć 132 biur obsługi klienta (BOK-ów), infolinię oraz internet. Ofiarami sprzedaży bezpośredniej padały często osoby starsze, którym oferowano pozorne korzyści. Wiedza prawna tych osób nie pozwalała na świadome podejmowanie decyzji i gdy pojawiała się pierwsza faktura, okazywało się, że kara za odstąpienie od umowy jest na poziomie kilku tysięcy złotych. Od 2016 r. jako spółka poświęciliśmy wiele czasu i energii, by udokumentować takie nieuczciwe praktyki. Wszystkie takie przypadki przekazaliśmy i przekazujemy do regulatora, czyli Urzędu Regulacji Energetyki. Z ulgą przyjąłem wiadomość o odebraniu przez Prezesa URE koncesji jednemu z takich nieuczciwych podmiotów.

Aby zapobiegać takim praktykom, od 2016 r. prowadzimy cykliczną Kampanię Świadomy Klient.



fol. Andrzej Wiktor

Edukujemy odbiorców, by w pełni szanując zasady rynkowe – zwracali uwagę – na kilka istotnych elementów umowy, a przede wszystkim właśnie na stabilność, markę oraz bezpieczeństwo ekonomiczne sprzedawcy energii i gazu.

Trudno o świadomą decyzję, świadomy wybór w czasie rozmowy z przedstawicielem handlowym w drzwiach. To oczywiście nieuczciwe, choć – jak sam pan mówi – to konkurencyjny rynek.

Między innymi dzięki temu nasza spółka mocno się zmieniła. Przede wszystkim zmieniła się kultura organizacyjna, bo dziś to nasi klienci dają nam chleb. To był i jest bardzo trudny proces transformacji z kultury „urzędu”, który miał 100 proc. rynku, aż po firmę, w której centrum działań stanowią klient i jego potrzeby. To zmiana oferty i modelu sprzedażowego tak, by każdy nowy produkt, usługa powiększały sumę korzyści finansowych klienta – gaz, energia elektryczna, a w 2019 r. kolejne produkty i usługi. Ta strategia ma sprawić, że warto z nami być. Do tego dochodzi jakość obsługi. Przeprowadzamy rewolucję procesową; proszę pamiętać, że skala naszej działalności to m.in. 3,5 mln połączeń telefonicznych w skali roku, 1,6 mln odwiedzin w sieci BOK i 42 mln wysyłanych faktur. Mapowanie, a następnie standaryzacja i unifikacja kluczowych procesów wspierających biznes pozwoli na konsekwentną realizację strategii firmy. Jeśli klient przychodzi do nas, musi-

my zawsze skutecznie potrafić zaoferować mu nasze portfolio produktowe.

Mówił pan też o kanałach zdalnych, stronie www...

Elektroniczne Biura Obsługi Klienta są w trakcie migracji do aplikacji mobilnej, którą uruchomiliśmy w tym roku. Kolejnym krokiem będzie Mobilne Biuro Klienta oraz sklep internetowy – tym samym łada moment staniemy się aktywnym uczestnikiem rynku e-commerce. Mam pełną świadomość, że dziś kontakt bezpośredni jest niezwykle ważny i będzie niezbędny jeszcze przynajmniej przez 10–15 lat. Ale za kilka lat część naszych przychodów będzie się opierać na kanałach www. Jesteśmy częścią PGNiG, która odpowiada za sprzedaż – obsługujemy ponad 6,2 mln klientów detalicznych i prawie 300 tys. klientów biznesowych. To baza klientów jest dziś najcenniejszym aktywem spółki. Naszym celem jest zdobycie umiejętności zatrzymywania obecnych klientów i pozyskiwanie nowych.

1 stycznia 2024 r. zniknie taryfa dla gospodarstw domowych.

Pełna liberalizacja na rynku gazu to kwestia najbliższych lat, a my musimy się do tego procesu przygotować. Polska ze względu na liczbę mieszkańców, a co za tym idzie, potencjalnych klientów usług energetycznych i gazowych, jest bardzo atrakcyjnym rynkiem. To, że pojawią się w Polsce silne, duże firmy konkurujące z nami, jest tylko kwestią czasu.

A proces dywersyfikacji dostaw surowca? Jakie korzyści dostrzega pan – z punktu widzenia klienta, odbiorcy i dystrybutora gazu – z powstania gazoportu w Świnoujściu, a wkrótce gazociągu Baltic Pipe?

Podstawowa korzyść to przede wszystkim bezpieczeństwo energetyczne i cena. Obydwa elementy są z sobą powiązane. Po wtóre, projekt Baltic Pipe będzie umożliwiał przesyłanie do Polski gazu, który Grupa PGNiG wydobywa na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. Ten gaz, podobnie jak dostawy z Norwegii, Kataru i Stanów Zjednoczonych, ma kluczowe znaczenie dla poprawy konkurencyjności oferty PGNiG.

Pamiętamy czasy, gdy problemy w kontaktach z Rosjanami kończyły się tytułami w tabloidach: „Kiedy zabraknie nam gazu?”, „Czy Putin zakręci kurek z gazem?”, „Czy będzie czym się ogrzewać zimą?”.

Brama Północna jest elementem stabilności i bezpieczeństwa energetycznego Polski. Nigdy nie będziemy w stanie osiągnąć dobrej ceny, jeśli dominujący dostawca wie, że jesteśmy na niego skazani.

Chcielibyśmy zapytać jeszcze o nowe technologie, czyli elektromobilność i... gazomobilność. Z państwa perspektywy, jakie znaczenie dla rynku ma rozwój alternatywnych paliw w transporcie?

Elektromobilności kibicujemy. Zdecydowaliśmy się jako grupa kapitałowa rozwijać takie produkty jak CNG (gaz sprężony) na rzecz transportu publicznego. To w PGNiG narodziło się sformułowanie gazomobilność. Dziś jest ona faktem. Udało się doprowadzić do wprowadzenia zerowej stawki podatku akcyzowego na gaz CNG i LNG wykorzystywanych do celów napędowych. Czekamy tylko na zgodę Komisji Europejskiej – zakładam, że od 1 stycznia 2019 r. ta regulacja wejdzie formalnie w życie. Producenci autobusów zauważyli już, że wzrasta popyt, a cena pojazdów zasilanych gazem spadła. Transport publiczny i komunalny w kontekście ekologii i smogu ma niebagatelne znaczenie. To też argument działający prorozwojowo w tej dziedzinie. Do tego mamy w ofercie gaz LNG – choć w transporcie jest on w tej chwili rzadziej wykorzystywany. Mocno analizujemy ten rynek. Być może nowa infrastruktura go pobudzi. Dziś można powiedzieć, że brak powszechności alternatywnych paliw wynika ze słabej infrastruktury. Mogę zapewnić jednak, że i nad tym pracujemy.

Szykuje się rewolucja w transporcie morskim. Bałtyk ma być przecież akwenem wolnym od paliw tzw. tradycyjnych.

To dziedzina mocno wspierana przez legislację na poziomie europejskim. Do 2025 r. morza Bałtyckie i Północne mają być całkowicie wolne od paliw,

które w sposób intensywny zanieczyszczają środowisko. Postanowiliśmy zaważać o pozycję lidera w bunkrowaniu gazu na statkach pływających po południowym Bałtyku. Od 2016 r., wspólnie z Grupą LOTOS, zrealizowaliśmy 36 bunkrowań technicznych na terenie stoczni w Gdyni. Kończymy żmudny proces uzyskania zgód formalnych na komercyjne bunkrowanie gazu LNG. Jesteśmy najbardziej aktywnym podmiotem na tym rynku.

Także na rynku detalicznym.

Wydaje się, że wykorzystanie gazu LNG będzie stanowić taką samą rewolucję jak internet. Proszę pamiętać, że gaz LNG z jednej tylko dostawy do terminala w Świnoujściu, po regazyfikacji, wypełnia zapotrzebowanie wszystkich domków jednorodzinnych w Polsce przez okres 24 dni w okresie letnim. To pokazuje skalę możliwości oraz stanowi przyczynę rewolucji gazowej na świecie. Ok. 40 proc. tere-
nu Polski jest niezgazyfikowane. Tam są też przedsiębiorcy, do których gaz sieciowy pewnie jeszcze długo nie dotrze. Tam właśnie chcemy dostarczać gaz LNG. Small scale LNG za chwilę będzie bardzo popularnym źródłem ogrzewania domków jednorodzinnych – zwłaszcza na terenach, gdzie z przyczyn ekonomicznych nie ma gazu sieciowego.

Choć raz, z gazem LPG dla samochodów osobowych, trochę w skali światowej nie wyszło... Chociaż Polska jest liderem w wykorzystaniu tej technologii, producenci samochodów nie zaakceptowali jej na skalę taką jak w przypadku elektromobilności. Wciąż jest to kwestia indywidualnego wyboru.

LPG to ciecz, a więc zupełnie inne paliwo niż lotne CNG. Gaz CNG jest wręcz stworzony do dużych pojazdów, takich jak autobusy czy śmieciarki. Ta technologia już się sprawdziła także w Polsce, gdzie od ponad 20 lat wciąż bezproblemowo jeżdżą autobusy po ulicy Tychów czy Rzeszowa. A co najważniejsze, producenci i użytkownicy, zwłaszcza w transporcie miejskim, doceniają, że przez lata nie zmienia się tzw. ślad ekologiczny pojazdu. Jednocześnie to niezwykle bezpieczne paliwo. W USA, samochodami w technologii CNG, poruszają się policja i straż pożarna.

Choć to elektryczne jednostki napędowe zdobyły serca i budżety badawcze producentów samochodów i silników. Czy z silnikami gazomobilnymi też nastąpi taki przełom?

Zachowujemy się tak, byśmy byli gotowi na moment przełomu technologicznego. Infrastruktura rozwija popyt. Jeśli dodamy do tego sprawdzoną, bezpieczną technologię i niższy koszt, rynek musi zareagować.

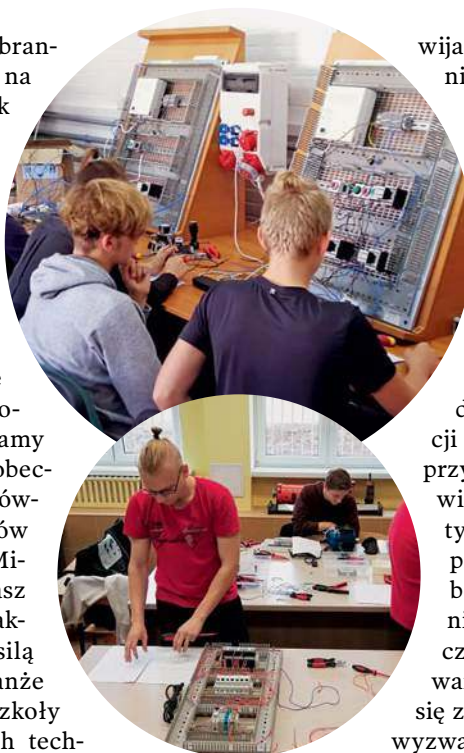
Dziękujemy za rozmowę.

Szkolnictwo branżowe pod patronatem Enei

Osiem szkół z terenu działania Grupy Enea zostało objętych patronatem koncernu energetycznego. Do końca roku będzie ich w sumie 14. W ten sposób Enea realizuje wyzwania stawiane pracodawcom przez rynek pracy, m.in. te związane z pojawieniem się w branży energetycznej luki pokoleniowej oraz szybkim rozwojem technologii

Objęcie patronatem szkół branżowych i technicznych na terenie działania spółek Grupy Enea jest jednym z elementów budowania nowoczesnego szkolnictwa zawodowego, opartego na bliskiej współpracy przemysłu ze szkołami. – Rozwój i szkolenie kompetencji pracowników stanowi fundament przyszłości firmy, gdyż inwestycje w nowe technologie wymagają właściwej i dobrze przygotowanej kadry. Wspieramy podnoszenie kwalifikacji nie tylko obecnych pracowników Grupy, lecz również tych potencjalnych, czyli uczniów szkół branżowych – powiedział Mirosław Kowalik, prezes Enei. – Nasz projekt to wsparcie finansowe i praktyczne dla nowych kadr, które zasilą nie tylko energetykę, lecz i inne branże polskiej gospodarki. Chcemy, by szkoły kształciły specjalistów w zawodach technicznych i elektromonterskich, profesjonalnie przygotowanych oraz gotowych do podjęcia pracy, którzy w przyszłości staną się ekspertami w swojej dziedzinie – dodał Mirosław Kowalik.

Wybrane szkoły branżowe i technika wyróżniają się wysokim poziomem kształcenia uczniów w zawodach, na które jest największe zapotrzebowanie w spółkach Grupy Enea. W tym gronie znalazły się już placówki oświatowe z Połańca, Nowej Soli, Szczecina, Gorzowa Wielkopolskiego, Poznania, Bydgoszczy, ze Złotowa i z Leszna. Grupa Enea będzie miała swój udział w roz-



wijaniu programów nauczania oraz organizuje: praktyki, spotkania i warsztaty z fachowcami, wycieczki dydaktyczne na terenie swojej infrastruktury. W planach są również konkursy dla uczniów oraz wdrożenie programu stypendialnego dla najlepszych, a także szkolenia dla nauczycieli przedmiotów branżowych w zakresie nowych technologii oraz rozwoju kompetencji miękkich.

– Cieszę się, że szkolnictwo zawodowe wraca do łask. Taka forma edukacji przyszłych fachowców najsukuteczniej przygotowuje do zawodu. Przekazywanie wiedzy młodym ludziom poprzez praktykę to najlepszy sposób na kształcenie przyszłych specjalistów, dzięki temu bowiem będą umieli sprostać wyzwaniom energetyki przyszłości. Nowoczesna energetyka to dobrze przygotowane kadry. Rynek pracy dynamicznie się zmienia, dlatego musimy sprostać jego wyzwaniom – powiedział minister energii Krzysztof Tchórzewski.

– To dla nas ogromne wyróżnienie. Znana firma w branży elektroenergetycznej chce patronować przedsięwzięciom naszej szkoły, której uczniowie wyróżniają się wysokim potencjałem i dużą energią do działania. Mam nadzieję, że współpraca okaże się, tak jak dotychczas, korzystna dla obu stron, a nasze działania potwierdzą, iż jesteśmy placówką kształcącą profesjonalnie i zasługujemy na zaufanie tak uznanego partnera – podsumowała Małgorzata Grzemska, dyrektor poznańskiego Technikum Energetycznego. ●



fol. mat. prasowe Enei



Uwalniamy polski potencjał

Pod takim hasłem przewodnim obradować będą 15–16 listopada w Centrum Wystawienniczo-Kongresowym w Jasionce koło Rzeszowa uczestnicy trzeciej już edycji Kongresu 590. Patronat honorowy objął prezydent RP Andrzej Duda

Kongres 590 już trzeci rok będzie miejscem spotkań przedstawicieli biznesu, nauki, polityki i legislacji. Szybko stał się jednym z najważniejszych wydarzeń w ekonomicznym kalendarzu w kraju. Stanowi arenę wymiany myśli, poglądów i doświadczeń polskich przedsiębiorców, menedżerów, polityków, naukowców oraz ekspertów ekonomicznych. Tematami ich dyskusji są wyzwania, jakie stoją przed biznesem w Polsce, i które z nich mają znaczenie i wpływ na wzrost rodzimego kapitału.

Obrady Kongresu 590 w tym roku koncentrować się będą na zmianach w otoczeniu prawnym i instytucjonalnym, mających przynieść ułatwienia firmom z sektora małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP) oraz tym, którzy stawiają na innowacje. Szczegółowo przedstawione zostaną zmiany, które przyniesie pakiet ustaw z tzw. Konstytucji dla biznesu.

W specjalnie przygotowanej i wydzielonej przestrzeni Centrum Wystawienniczo-Kongresowego Województwa Podkarpackiego G2A Arena w Jasionce powstanie Strefa MŚP. Z osobną sceną do warsztatów i prezentacji. Z kilkunastoma stoiskami, na których firmy zaprezentują swoje produkty i marki.

Kongres 590 w edycji roku 2018 to 4 tys. uczestników, w tym przedsiębiorcy z sektora MŚP oraz dużego biznesu, samorządowcy, analitycy i eksperci, a także start-upowcy, uznane osobistości świata nauki, przedstawiciele mediów oraz instytucji publicznych.

Program Kongresu obejmuje dwa dni dyskusji, debat i warsztatów, podczas których będą omawiane realne wyzwania stojące obecnie przed polskimi przedsiębiorcami, a także problemy, z jakimi muszą się zmagać na co dzień. Organizatorzy ułożyli je w następujących blokach tematycznych:

- gospodarka i ekonomia;
- inwestycje;
- handel i eksport;
- energetyka i polityka środowiskowa;
- system podatkowy;
- społeczeństwo;
- biznes i przedsiębiorczość;
- nowe technologie.

Po raz kolejny podczas Kongresu 590 rozstrzygnięty zostanie tegoroczny konkurs „Nagrody gospodarczej Prezydenta RP”. Rok temu Andrzej Duda przyznał sześć takich wyróżnień.

W Jasionce będą też obecne wątki sportowe w postaci Forum Polskiego Futbolu.

Partnerami strategicznymi Kongresu 590 są w tym roku: PKO Bank Polski, PKN ORLEN, KGHM Polska Miedź oraz Grupa Cedrob.

Wśród patronów medialnych imprezy są m.in. miesięcznik „Gazeta Bankowa” oraz tygodnik „Sieci”, telewizja internetowa wPolsce.pl, a także portale wPolityce.pl i wGospodarce.pl.

Więcej informacji oraz formularz rejestracyjny znajduje się na stronie **www.kongres590.pl**. ●

Pieniądze płyną, gdzie chcą

STANISŁAW KOCZOT

zastępca redaktora naczelnego
„Gazety Bankowej”



Pierwsze informacje o tym, że w estońskim systemie finansowym dzieje się coś złego, pojawiały się w duńskiej i brytyjskiej prasie kilka miesięcy temu. W marcu pisała o tym gazeta „Berlingske”, przez wakacje sprawa przycichła, by wrócić ze zdwojoną siłą we wrześniu, kiedy nowe informacje dotyczące afery podał „Financial Times”. W centrum uwagi znalazł się Danske Bank, przez którego oddział w Estonii przepłynęły grube miliardy euro, transferowane nielegalnie głównie z Rosji i byłych republik ZSRS. Kwoty, o jakich teraz się mówi, są niewyobrażalne: według śledztwa prowadzonego w Danske Banku, przez jego estoński oddział za granicę przelano aż 235 mld dol., w znacznej części nielegalnie.

Dlaczego duński system finansowy okazał się tak dziurawy, a estońskie mechanizmy nadzoru zupełnie nieskuteczne? Czy słabym ogniwem i w jednym, i w drugim przypadku okazali się ludzie, podatni na korupcję, może naiwni, może uwikłani w skomplikowany system zależności, jakich nie brakuje w byłych republikach Związku Sowieckiego? Śledztwo w tej sprawie trwa, prowadzone przez służby w różnych krajach. Sprawa jest bez precedensu, ponieważ kapitał, jaki transferował przez lata oddział Danske Banku, może być tylko jedną czwartą tego, co udało się przestępcom przepuścić przez cały system finansowy Estonii. Według estońskiego banku centralnego przez kraj przeszło za granicę w latach 2008–2015 ponad 1 bln dol. (ok. 900 mld euro). Jeszcze większe kwoty – głównie kapitału rosyjskiego – miały przepłynąć do Unii Europejskiej przez Łotwę i przez Cypr. Oba te kraje nie miały najlepszej opinii, jeżeli chodzi o przejrzystość systemu finansowego, natomiast Estonii od lat wystawiano bardzo dobre oceny. Wysoko na plus punktował ją Basel Institute of Governance w swoim rankingu Basel

AML Index (Basel Anti-Money Laundering Index), oceniający ryzyko prania pieniędzy i finansowania terroryzmu na całym świecie. Z kolei Dania od zawsze uchodziła za bezkonkurencyjną pod względem przejrzystości i dbania o antykorupcyjne zasady. Okazało się, że oba te czcigodne systemy poległy w konfrontacji z rosyjskimi pieniędzmi.

Czyżby centrala duńskiego banku niezbyt interesowała się tym, co dzieje się w jej dalekim oddziale? Zapłacił za to stanowiskiem szef Danske Banku, ale konsekwencje będą o wiele większe i sięgające również struktur nadzorów unijnych, ponieważ nielegalne pieniądze z Rosji płynęły do innych krajów UE, m.in. do Wielkiej Brytanii. Akcje Danske Banku ostro spadły, agencja ratingowa Moody's obniżyła jego rating, a do tego Duńczykom grożą bardzo wysokie kary, jakie mogą nałożyć na nie Amerykanie. Tak naprawdę to Departament Sprawiedliwości USA i amerykańskie służby kontrolne wymusiły przeprowadzenie rzetelnego śledztwa i zaprzestania przestępczego procederu. Całkiem możliwe, że rosyjskie transfery trwałyby w najlepsze, gdyby nie interwencja USA. Jak się wydaje, akcja Waszyngtonu to element szerszej operacji polegającej na czyszczeniu Estonii i innych państw bałtyckich z rosyjskich wpływów, przede wszystkim finansowych.

Estoński przypadek pokazuje, jak bardzo system zabezpieczeń przed praniem brudnych pieniędzy jest w Unii Europejskiej dziurawy i nieskuteczny. Danske Bank to tylko najnowszy przykład. Lista jest dłuższa i obejmuje takie tuzy jak Deutsche Bank AG i ING Groep NV.

Jak z tej sytuacji wybrnie Estonia? Czy i jak bardzo rosyjskie pieniądze przepływające przez jej system zasilają gospodarkę Tallina? Na praniu pieniędzy zarabia nie tylko zleceniodawca i odbiorca, lecz również pośrednik. Doskonale z informatyzowany kraj, pole doświadczalne nowoczesnej, technologicznej Europy, okazał się bezbronny wobec wielkich transferów brudnych pieniędzy. ●

”

**Afera z praniem
brudnych pieniędzy
uderzyła z równą mocą
zarówno w Tallin,
jak i w Kopenhadze.
Premier Danii
mówi o przerażeniu
i szoku. Chwieje się
mit nowoczesnej
i technologicznej
innowacyjnej Estonii**

CEZARY KOWALSKI

Potencjał pod siatką

Po obronionym przez reprezentację polskich siatkarzy tytule mistrzów świata rozgorzała dyskusja, czy dyscypliny, która przynosi nam tyle splendoru w przeciwieństwie do piłki nożnej, nie powinno się dowartościować; czy siatkarze, sympatyczni, elokwentni ludzie sukcesu, nie powinni być bardziej eksponowani niż futbolisi

Za zwycięstwo w turnieju rozgrywanym w Bułgarii i we Włoszech Polski Związek Piłki Siatkowej otrzyma od światowej federacji siatkarskiej FIVB 200 tys. dol. Sami siatkarze, trener i inni członkowie ekipy podzielą się premią w wysokości 2 mln zł. Licząc, że w tej sumie będzie partycypować ok. 20 osób, średnia wyjdzie po 100 tys. zł na głowę.

Syndrom ubogich krewnych

Po obronie tytułu najlepszej drużyny świata kilku zawodników zespołu trenowanego przez Belga Vitala Heynena dostało też nagrody indywidualne. Za tytuł najbardziej wartościowego zawodnika (MVP) Bartosz Kurek otrzymał 30 tys. dol. Najlepsi przyjmujący, czyli

Michał Kubiak, najlepszy libero Paweł Zatorski i najlepszy środkowy Paweł Nowakowski dostali po 10 tys. dol.

Od Ministerstwa Sportu mistrzowie otrzymają ustawowe nagrody – po 27,6 tys. zł. Przez rok już od października co miesiąc na konto każdego z członków „złotej” ekipy wpływać będzie 8 280 zł stypendium.

Kwoty imponujące dla przeciętnego Polaka, ale w świecie zawodowego sportu, który śledzą miliony ludzi, a ich przedstawiciele mają status bohaterów narodowych, są bardzo przeciętne. Dla porównania zwycięska drużyna na mundialu piłkarskim w Rosji otrzymała 38 mln dol., czyli 190 razy więcej, niż wynosiła premia z tytułu mistrzów świata w siatkówce. Drużyna Adama Nawałki za sam awans do finałów dostała 1,5 mln dol. do podziału, a za udział w finałach naszej drużyny na konto federacji FIFA przełała 8 mln dol.



Prezydent Andrzej Duda przyjął w Pałacu Prezydenckim reprezentację siatkarzy, która wywalczyła mistrzostwo świata. Wszyscy członkowie reprezentacji otrzymali wysokie odznaczenia państwowe

fot. KPRP

- Największa impreza świata w tej dziedzinie powinna być lepiej premiowana. Chciałbym, aby siatkarze za to zwycięstwo dostali milion dolarów, a nie 200 tys. Ale to jest rynek – mówi „Gazecie Bankowej” Wojciech Drzyzga, ojciec naszego złotego medalisty Fabiana i komentator Polsatu Sport. – Daleko mi do porównywania się z piłką nożną. Sama piłka nie może się porównywać do siebie, jak patrzymy na mijające lata. Di Stefano czy Pele też mogliby powiedzieć, że byli niesprawiedliwie wynagradzani w stosunku do dzisiejszych stawek. Trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim ceny praw telewizyjnych do transmitowania największych imprez w tych dyscyplinach. To daje obraz tej różnicy.

Zdanie Drzyzgi dzielą eksperci od marketingu. Mimo ogromnego sukcesu polscy siatkarze w ich opinii po prostu nie mają szans na zarobienie fortuny. I raczej długo nie będą mieli.

- Można się zagłębiać w dyskusje, czy to jest sprawiedliwe, czy nie, ale piłka nożna jest i będzie najpopularniejszą dyscypliną sportu w Polsce, podobnie jak w większości państw na świecie. Nawet tytuł mistrzów świata nie sprawi, że siatkarze przesuną się w tej hierarchii przed piłkarzy i zaczną inkasować ogromne sumy za udział w reklamach. To piłkarze są bohaterami masowej wyobraźni, ich życie prywatne, zawodowe i rodzinne jest tematem codziennych rozmów kibiców. Kibice nie tylko śledzą mecze przy okazji różnych najpoważ-

niejszych turniejów na świecie, lecz także rozgrywki ligowe – ocenia Aleksandra Marciniak z Havas Sports.

Efekt nowości?

Według ekspertów najważniejszym czynnikiem w atrakcyjności sportowca jako nośnika reklamy jest zasięg. W myśl zasady, że pieniądze idą za widzem. Owszem, duży turniej, mistrzostwa Europy, świata, Liga Narodów to są imprezy z ogromną publicznością, ale jednak taką nieco świąteczną. Nie ma tu powtarzalności. Na przykład cotygodniowej, tak jak jest w piłce nożnej. Tymczasem spece od marketingu inwestują tam, gdzie frekwencja jest największa i wysoka oglądalność występujące w sposób cykliczny, a nie tylko przy okazji dużego wydarzenia.

Mecz finałowy o mistrzostwo świata z Brazylią oglądało w telewizji 9,5 mln widzów. Gdyby to piłkarze grali w finale, mogliby liczyć na prawie dwukrotnie większą publiczność. Sam mecz piłkarzy w fazie grupowej mundialu w Rosji przeciwko Kolumbii śledziło w Polsce przed telewizorami niemal 15 mln widzów. To nie jest delikatna różnica, ale przepaść, której rozmiary są poniekąd odpowiedź na pytanie, dlaczego siatkarze zarabiają dużo mniej od futbolistów.

Robert Lewandowski nie strzelił ani jednego gola w finałach mistrzostw świata, ale jest od dawna w świa-

REKLAMA

65/0918/F

JOSH GROBAN

18 GRUDNIA 2018
TAURON Arena
Kraków

NOWY ALBUM **BRIDGES** W SPRZEDAŻY OD 21.09

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

JOSHGROBAN.COM    



domości Polaków postacią o wymiarze popkulturowym. Bartosz Kurek, Fabian Drzyzga czy Michał Kubiak, mimo że w swojej dyscyplinie znaczą i osiągnęli o wiele więcej niż „Lewy” w piłce nożnej, nie są w stanie nawet zbliżyć się do niego popularnością. Ba, nie ma nawet pewności, czy są rozpoznawalni dla przeciętnego Polaka, który średnio interesuje się sportem. Po sukcesie mówimy o siatkarzach jako bohaterach narodowych, ale generalnie traktujemy ich jako drużynę, bez wyodrębniania poszczególnych zawodników.

Owszem, gdzieś tam siatkarze są obecni na rynku reklamowym w spotach PKN Orlen czy Polkomtela, ale to są sponsorzy kadry i siłą rzeczy korzystają z tych, których mają do dyspozycji.

Oczywiście niska pozycja siatkarzy w przestrzeni medialnej mogłaby się wzmocnić. Dzięki wykorzystaniu choćby efektu nowości czy tego, że za sukcesem muszą podążać coraz większe rzesze sympatyków. Siatkarze grając tak dobrze, nawet na chłopski rozum muszą poszerzać rynek, zdobywać nowych zwolenników, wychowywać sobie kibiców. Inna sprawa, że światowa federacja nie pomaga, organizując najważniejsze turnieje według zasad, które nie są zrozumiałe nawet dla ludzi mocno interesujących się dyscypliną, a ceremonię wręczenia medali zamienia w farś, nie odgrywając nawet narodowego hymnu zwycięzców.

Tyle że w tym przypadku trzeba nawiązać do turnieju mistrzowskiego sprzed czterech lat, rozgrywanego w Polsce. Organizacja i otoczek wydarzenia zostały wywindowane na niebotyczny poziom. Trudno więc wyobrazić sobie lepszy moment, aby popularność dyscypliny wręcz eksplodowała. Przy dziesiątkach tysięcy wspaniałej polskiej publiczności, gdzie mecze rozgrywano także pierwszy raz w historii na wypełnionym po brzegi Stadionie Narodowym, nasi siatkarze po porównawczej grze wywalczyli mistrzostwo świata. Tymczasem poza ewidentnymi zyskami czysto sportowymi sukces nie został skonsumowany tak, jak mógłby być. Dużo było słyhać o zmarnowanym potencjale, o tym, że nie potrafiliśmy pójść za ciosem. Doszło do tego, że po czterech latach drużyna obrońców tytułu nie jechała nawet jako jeden z faworytów, co już samo w sobie jest zdumiewające. Po prostu nikt nie wierzył, że siatkarzy wciąż stać na rzeczy wielkie. Tak bardzo obniżyła się ich ranga przez te cztery lata. A skoro wówczas tylko dwaj zawodnicy zyskali indywidualne kontrakty, to jak tu mówić o poprawie w tej kwestii obecnie?

Młodzi, sympatyczni, elokwentni

– Rosnąca popularność siatkówki w Polsce powinna coś zmienić – mówi Wojciech Drzyzga. – Po tym gigantycznym pierwszym sukcesie w 2014 r. na mistrzostwach w Polsce

żaden z naszych chłopaków nie reklamował maszynek do golowania, perfum ani garniturów – wylicza Drzyzga. I dodaje: – Tymczasem do piłkarzy, którzy na swój mundial do Brazylii nie pojechali, ustawiała się kolejka reklamodawców. Natomiast tutaj nie było zapotrzebowania na kilku przystojnych młodych chłopaków z siatkówki, polskich mistrzów świata, którzy potrafili porwać miliony. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Przecież nawet na mecze ligowe siatkarzy i piłki nożnej chodzi mniej więcej tyle samo kibiców. Może organizację mamy jeszcze nie na tym poziomie, może chłopaki nie są w odpowiednich agencjach reklamowych? Ale przede wszystkim pytanie: czy siatkówka to jest w ogóle dyscyplina globalna? FIVB zrzesza 216 zarejestrowanych federacji, z czego 150 w ogóle nie gra w siatkę. Ale mają one głosy potrzebne w wyborach i się je pielęgnuje. Piłka nożna jest globalna, są globalne tenis, koszykówka, może rugby. Ale siatkówka jeszcze nie. Tutaj trzeba mocniej powalczyć – wylicza ekspert.

Drzyzga ma rację. Potencjał siatkówki w Polsce jest ogromny i na pewno jeszcze niewykorzystany. Przecież polska liga siatkówki to jedna z trzech najlepszych na świecie. Najlepsi zawodnicy w tej dyscyplinie występują w Bełchatowie, Kielcach, Zawierciu, Szczecinie. I to nie jest tak, że akurat teraz trafiło nam się zdolne pokolenie, dzięki czemu potrafiliśmy dwa razy z rzędu sięgnąć po mistrzostwo świata. Istnieje już dobry system, młodzi polscy zawodnicy płynnie wchodzą na poziom międzynarodowy. Bo skoro są w stanie załapać się do składu w jednym z polskich klubów, to już samo w sobie oznacza, że znajdują się w gronie najlepszych i są bardzo blisko poziomu światowego. Rozgrywki są od lat transmitowane przez Polsat Sport, wspaniale opakowane, hale są pełne. Istnieje możliwość nakręcenia zdecydowanie większej koniunktury i przyciągnięcia do tej wspaniałej dyscypliny jeszcze większych pieniędzy. Siatkówka, w której nie ma skandali, zawodnicy są sympatycznymi, elokwentnymi ludźmi sukcesu, mogłaby być doskonałą platformą reklamową dla większości największych polskich firm.

Oklepana teza powtarzana na usprawiedliwienie dysproporcji w pieniądzach krążących w różnych dyscyplinach mówi, że „jesteś tyle wart, ile ktoś chce za twoje usługi zapłacić”. Rzecz w tym, że w przypadku siatkówki nie ulega wątpliwości, iż są chętni, by zapłacić więcej. Pieniądze czekają, tylko muszą znaleźć drogę na parkiet...

Autor jest publicystą tygodnika „Sieci”, komentatorem Polsatu Sport

Bartosz Kurek, atakujący polskiej reprezentacji siatkarskiej, został najbardziej wartościowym zawodnikiem (MPV) mistrzostw świata 2018



inPZU.pl



1 października TFI PZU uruchomiło innowacyjną platformę internetową inPZU. Dzięki niej można szybko i łatwo kupić produkty inwestycyjne. Nigdy wcześniej inwestowanie nie było tak atrakcyjne ze względu na opłaty za zarządzanie funduszami. Na platformie inPZU każdy fundusz ma stałą niską opłatę: 0,5 proc.

fot. mat. prasowe

inPZU – rewolucja w inwestycjach

Platforma inPZU to przełom i rewolucja na rynku. Dzięki ekspertom PZU do Polski trafiły wreszcie rozwiązania znane na świecie od wielu lat, czyli fundusze pasywne, które obecnie są jednymi z najbardziej cenionych i popularnych rozwiązań inwestycyjnych.

inPZU to proste i intuicyjne narzędzie do pomnażania oszczędności oraz inwestowania w fundusze bez konieczności zakładania rachunku maklerskiego. Jest dostępne dla klientów 24 godziny na dobę, z każdego miejsca i na dowolnym urządzeniu mobilnym.

– Strategia #nowePZU kładzie duży nacisk na innowacyjność w dotarciu do klienta z całą paletą produktów. Jednym ze sposobów jest kanał on-line. Pomysł platformy internetowej inPZU oferującej proste, przystępne i zarazem nowoczesne rozwiązania inwestycyjne idealnie wpisuje się w to, jak Grupa PZU chce obsługiwać swoich klientów teraz i w przyszłości – wyjaśnia Paweł Surówka, prezes PZU.

– Za zarządzanie funduszami w ramach platformy inPZU będziemy pobierać najniższe opłaty na rynku. Wierzę, że dzięki temu inwestowanie i oszczędzanie stanie się w Polsce dużo bardziej powszechne, bo na takie rozwiązania będzie stać wielu Polaków – dodaje Paweł Surówka.

Na inPZU klienci mogą skorzystać z wielu funkcjonalności: porównywać fundusze, definiować cele inwestycyjne, mają też możliwość ich personalizacji. W ciągu kilku minut platforma pozwala wyszukać fundusze oraz oparte na nich gotowe portfele modelowe, a także opłacić zlecenie on-line.

– Inwestowanie za pomocą inPZU jest bardzo korzystne. Koszty są transparentne, nieskomplikowane

i atrakcyjne. Na platformie każdy fundusz ma stałą niską opłatę, która wynosi 0,5 proc. W sprzedaży on-line funduszy inwestycyjnych standardem w Polsce jest brak opłat manipulacyjnych, ale klienci do tej pory płacili wysokie kwoty za zarządzanie. Im większy poziom ryzyka funduszy, tym wyższa opłata. Na inPZU, decydując się nawet na strategię akcyjne, zapłacimy tylko 0,5 proc. rocznie od zgromadzonej sumy – to wartość niespotykana do tej pory na polskim rynku. Podsumowując, inPZU to brak opłat za nabycie, odkupienie czy inne zlecenia, a opłata za zarządzanie jest kilkakrotnie niższa niż w podobnych rozwiązaniach inwestycyjnych. Klienci mogą też w każdej chwili wycofać zgromadzone środki – mówi Marcin Adamczyk, prezes TFIPZU.

Na inPZU stworzone zostały dwie ścieżki sprzedażowe: ścieżka dla początkujących inwestorów, którzy dopiero zaczynają inwestować, oraz tzw. ścieżka eksperta. Klienci początkujący mogą skorzystać z „pomocnika” inwestycyjnego i wyszukać produkty odpowiadające określonym parametrom. W zależności od preferencji do wyboru mają od jednego do sześciu portfeli modelowych. Klient ekspert może samodzielnie zbudować swój portfel inwestycyjny, wybierając spośród sześciu funduszy indeksowych, od najbardziej bezpiecznych aż po akcyjne.

Fundusze pasywne dążą do jak najdokładniejszego odzwierciedlenia wyniku określonego indeksu. W ofercie TFI PZU, poza funduszem opartym na indeksach polskiej giełdy, znajdują się też fundusze odwzorowujące indeks polskich obligacji i indeksy obligacji rynków rozwiniętych oraz wschodzących, a także akcji rynków rozwiniętych.

techno biznes

Informatyka & Telekomunikacja & Bezpieczeństwo

MAREK JAŚLAN

Cienie padają na blockchain

fol. Shutterstock

Technologii blockchain wróży się świetlaną przyszłość, szczególnie w sektorze finansowym. Rozgłos wokół niej spowodował jednak, że mocno zainteresowali się nią także cyberprzestępcy. Jej wykorzystanie może też budzić pewne zastrzeżenia w kontekście RODO

Blockchain to stosunkowo młoda technologia, której jednak wróży się świetną przyszłość, m.in. w sektorze finansowym. Firma analityczna IDC podała niedawno, że już w tym roku tylko na Starym Kontynencie inwestycje w blockchain sięgną 400 mln dol. Za cztery lata wydatki na

rozwiązania oparte na tej technologii mają sięgnąć w Europie 3,5 mld dol. Oznacza to, że rynek ten rozwijać się będzie z prędkością 80,2 proc. rocznie.

– Dynamiczny rozwój rynku blockchain nie powinien dziwić. To technologia, która wnosi zupełnie nową jakość w obszarze zapisywania i przechowywania danych. Raz zapisanej wartości nie da się zmienić ani

wymazać. Wszystko za sprawą zaawansowanej kryptografii i rozproszonego po sieci użytkowników rejestru danych. W branżach, w których przejrzystość, bezpieczeństwo i autentyczność informacji stanowią wysoką wartość, rozwiązania tej klasy są nie do zastąpienia – uważa Krzysztof Gagacki, ekspert w dziedzinie technologii blockchain i twórca IOVO.IO, infrastruktury mającej zdemokratyzować obrót danymi w internecie.

I rzeczywiście blockchain zaczyna znajdować praktyczne zastosowania. We wrześniu PKO BP i Krajowa Izba Rozliczeniowa poinformowały, że PKO Bank Polski zaczął publikować i udostępniać swoim klientom drogą elektroniczną dokumenty publiczne (np. regulaminy czy tabele opłat i prowizji), wykorzystując technologię rejestrów rozproszonych w zgodzie z wymogami trwałego nośnika. Zaletą tego rozwiązania jest pewność, że treść dokumentu przez cały okres przechowywania pliku nie podlega żadnym modyfikacjom. Równocześnie w dowolnym momencie klient ma dostęp do niezminionej, pierwotnej wersji dokumentu. Jak podkreślono, anonsując tę informację, opracowane przez KIR i PKO Bank Polski we współpracy z IBM, Accenture oraz innych partnerów technologicznych narzędzie umożliwiło pierwsze produkcyjne wdrożenie blockchain w sektorze bankowym.

Złośliwe oprogramowanie w ataku

Na technologii blockchain zaczynają się jednak pojawiać pierwsze rysy. Jej rozwój wykorzystują także cyberprzestępcy. Jak podała niedawno firma McAfee w raporcie „Blockchain Threat Report”, w I kwartale 2018 r. liczba próbek złośliwego oprogramowania do „kopania” kryptowalut (tzw. coin miner) wzrosła o 629 proc. Hakerzy atakują też giełdy wirtualnych pieniędzy. Tylko japoński Coincheck na początku tego roku stracił w wyniku ich działań 532 mln dol. Jedną z kampanii phishingowych przeprowadzonych w 2017 r. przyniosła atakującemu 4 mln dol.

Kto będzie wdrażać blockchain

Analitycy z IDC w swym raporcie o blockchain wyodrębnili sześć sektorów, w których spodziewają się największej penetracji rozwiązań opartych na tej technologii. Z prognozy wynika, że rozproszony łańcuch bloków największym zainteresowaniem cieszyć się będzie w obszarze finansów. Aż 43 proc. wydatków na tę technologię pochodzić będzie z tego sektora. Na drugim miejscu, z 20-procentowym udziałem, znalazła się branża produkcji przemysłowej. 11 proc. inwestycji w blockchain pochodzić ma z branży usługowej, 8 proc. z rynku infrastruktury i tyle samo z sektora publicznego.

Określenie „crypto-mining malware”, które odnosi się do złośliwego oprogramowania wykorzystującego moc CPU lub GPU komputera ofiary w celu wygenerowania kryptowalut, weszło do słownictwa specjalistów od zabezpieczeń IT pewnie jakiś czas temu. Już na początku tego roku firma Check Point ostrzegła, że staje się ono nową zgorą działów IT w firmach. I dodała, że nawet 55 proc. organizacji na całym świecie zostało zainfekowanych tego typu oprogramowaniem. W grudniu 2017 r. to właśnie jeden z jego typów – Coinhive – uplasował się na pierwszym miejscu na liście najpopularniejszych zagrożeń w światowej sieci. Z kolei inny – Cryptoloot – na miejscu trzecim. Badania przeprowadzone przez ekspertów Check Point wykazały, że złośliwe koparki kryptowalut zostały celowo zaimplementowane w czołowych witrynach internetowych, głównie serwisów streamingowych oraz udostępniania plików, bez wiedzy użytkowników. Niektóre z tego typu działań są legalne, jednak narzędzia generowania kryptowalut mogą zostać zhakowane w celu wykorzystania większej mocy obliczeniowej CPU. Według ekspertów w skrajnych przypadkach oprogramowanie może wykorzystywać nawet 65 proc. mocy procesora.

Eksperti McAfee także podkreślają, że cyberprzestępcy coraz agresywniej wykorzystują popularność kryptowalut. Hakerzy zdobywają wirtualne pieniądze, stosując cztery kluczowe rodzaje ataków: ataki phishingowe, złośliwe oprogramowanie (takie jak ransomware czy coin miner), wykorzystanie luk w zabezpieczeniach oraz wykorzystanie samej technologii (np. ataki wiążące, polegające na tym, że atakujący w danym momencie posiada więcej niż 50 proc. mocy całej sieci i może dzięki temu choćby podwójnie wydać te same środki).

– Potencjał technologii blockchain jest ogromny, nic dziwnego zatem, że rośnie jej popularność. Wiele ostatnich ataków na kryptowaluty pokazuje jednak, że nie jest to rozwiązanie całkowicie niezawodne ani wolne od wewnętrznych słabości. A to oznacza, że bezpieczeństwo musi się stać priorytetem w pracach nad jego rozwojem. Blockchain jest dziełem ludzi, a ludzie popełniają błędy – tłumaczy Arkadiusz Krawczyk, co-manager w McAfee Poland.

Co ciekawe, McAfee ostatnio zauważył, że choć złośliwe oprogramowanie do wydobywania kryptowalut nadal najczęściej atakuje komputery PC, jego celem stają też inne urządzenia. Przykładem są m.in. telefony Android, które w Chinach i Korei zostały wykorzystane przez program ADB.Miner do generowania kryptowaluty Monero na konto cyberprzestępców.

– Jeszcze kilka lat temu nie pomyślelibyśmy, że routery internetowe, urządzenia do rejestracji nagrań wideo i cały dzisiejszy Internet Rzeczy (IoT) mogą służyć jako platformy do wydobywania kryptowalut, ponieważ ich procesory były zwyczajnie za słabe, aby wspierać taką produktywność – mówi Arkadiusz

”

Cyberprzestępcy coraz agresywniej wykorzystują popularność kryptowalut. Hakerzy zdobywają wirtualne pieniądze, stosując rozmaite rodzaje ataków

Krawczyk. – Dziś nagły wzrost liczby tego typu urządzeń oraz ich niestety słabe zabezpieczenia sprawiają, że stają się łatwym celem. Dlaczego? Cyberprzestępca, który w swoim botniecie ma 100 tys. urządzeń IoT, nie musi wykładać praktycznie żadnych pieniędzy, aby wygenerować nowy, całkiem pokaźny przychód z użyciem kryptowalut – dodaje.

Dlaczego warto się trzymać z daleka od niektórych kryptowalut?

Malware do kopania kryptowalut to niejedyny kłopot z technologią blockchain. W końcu ubiegłego roku firma Irdeto ostrzegała producentów i dystrybutorów treści wideo nie tylko przed wykorzystywaniem kryptowalut do płacenia za nielegalne treści, lecz także przed tym, że rozproszone sieci blockchain mogą być wykorzystywane jako repozytorium treści dla piratów i może się to stawać coraz bardziej powszechne.

W tym kontekście Leszek Tasiemski, wiceprezes ds. badań i rozwoju w firmie F-Secure, uważa, że korzystanie z blockchain i kryptowalut może generować większe ryzyko zaistnienia cyberataku oraz narażać na straty wizerunkowe. Cyberprzestępcy preferują niektóre kryptowaluty np. jako formę płatności za odblokowanie komputera zainfekowanego przez ransomware (złośliwe oprogramowanie blokujące dostęp do urządzenia). – Działania tego typu były dawniej problemem związanym głównie z bitcoinem, ale teraz przestępcy wybierają kryptowaluty oferujące większą anonimowość. Firmy, którym zależy na zachowaniu reputacji, powinny się trzymać z daleka od kryptowalut oferujących wysoką anonimowość, jak Monero, a w przyszłości nawet ZCash – wyjaśnia Leszek Tasiemski.

Nie zaprzecza on, że blockchain ma pewne przydatne zastosowania, jednak przestrzega, że trzeba zdawać sobie sprawę z jego wad: skalowalności, problemów z wolumenem transakcji czy zwiększonego ryzyka zaistnienia cyberataku. – Blockchain pełni funkcję stałego rejestru, co oznacza, że próba zapisania na nim zbyt wielu informacji bardzo go obciąża. Ponadto jest nieco ograniczony pod względem liczby transakcji, jakie może przeprowadzać na sekundę – mówi Leszek Tasiemski.

Może być problem z RODO

Wskazuje, że pierwsze ryzyko związane z blockchain stanowi to, że jeśli budowana na nim firma zyska dużą popularność, jego niewielkie możliwości przetwarzania danych mogą się okazać czynnikiem ograniczającym. Za przykład służy Ethereum, platforma walutowa wykorzystująca blockchain, która może obsłużyć jedynie ok. 20 transakcji na sekundę.

– Drugim ryzykiem wynikającym z korzystania z blockchain jest problem usuwania informacji, np. ze względów prawnych. Raz zapisanego w ten sposób re-

jestru nie można zlikwidować, co może być źródłem problemów, np. w kwestii RODO. Istnieją alternatywne rozwiązania oparte na innych algorytmach, np. IOTA czy NANO, które wykorzystują skierowany graf acykliczny (DAG) i wyróżniają się lepszą skalowalnością od blockchain, a także możliwością usuwania nieaktualnych informacji – zauważa Leszek Tasiemski.

W kontekście RODO zwraca on uwagę także na inny fakt. – Osoba śledząca blockchain transakcji związanych z bitcoinem może w łatwy sposób dowiedzieć się, co zostało zakupione w sklepach X, Y i Z, a następnie porównać te informacje z adresem użytkownika i dowiedzieć się, które konta kupiły coś w tych sklepach. Jeśli osoba śledząca to sprzedawca ze sklepu Y, może uzyskać informacje o tym, którzy z jego klientów robią zakupy w sklepach X oraz Z. Tworzy to poważny problem ze względu na RODO – twierdzi Leszek Tasiemski.

Zauważa też, że w dyskusjach o tej technologii często zapomina się o kosztach przetwarzania transakcji przy korzystaniu z blockchain i tworzącej go kryptowaluty. W przypadku Ethereum występuje np. „miner fee” za każdą transakcję oraz „gas fee” za przyspieszenie jej przeprowadzenia.

– Tak jak wiele innych przełomowych technologii blockchain może mieć rewolucyjny wpływ na rozwiązanie bardzo istotnych problemów biznesowych, ale pod warunkiem, że w imię jak najszybszego wdrożenia tej technologii nie zostanie poświęcone bezpieczeństwo – podsumowuje Raj Samani, główny specjalista w McAfee. – Nie ma żadnych wątpliwości, że cyberprzestępcy będą szukać wszelkich możliwych sposobów, aby wykorzystać luki techniczne oraz błędy ludzkie w ekosystemie blockchain. Rządy państw, dostawcy rozwiązań w zakresie cyberbezpieczeństwa oraz firmy muszą znać zagrożenia i minimalizować czynniki ryzyka. Bez odpowiedniej edukacji użytkowników i branży, bezpiecznego wdrożenia najlepszych praktyk i solidnych standardów bezpieczeństwa technicznego stosowanie technologii blockchain na szeroką skalę przez największe sektory oraz rządy państw może się skończyć miliardowymi stratami, które pogrążą miliony ludzi – dodaje.

Wszystko to potwierdza, że cyberbezpieczeństwo i rozważa muszą stać u podstaw rozwoju oraz wdrażania technologii blockchain. ●

- ▶ Naszą dewizą jest transparentność
- ▶ Potrafimy reagować na każdą zmianę
- ▶ Nie ma dla nas spraw nie do rozwiązania



OFERUJEMY: ▶ Audyt

- ▶ Doradztwo Podatkowe i Prawne
- ▶ Usługi księgowe i płacowe
- ▶ Doradztwo finansowe i gospodarcze
- ▶ Doradztwo IT
- ▶ Szkolenia

Centrala Warszawa
ul. Postępu 12, 02-676 Warszawa



Sztuczna inteligencja w ciągu najbliższych kilku lat przeformatuje zasady gry w branży ubezpieczeniowej

fol. Shutterstock

Dane rządzą

Ubezpieczenia to trochę zabawa we wróżby, ale na poważnie. Wszyscy ubezpieczyciele próbują przewidzieć przyszłość, a dokładniej ocenić możliwość wystąpienia danej szkody, oszacowania wartości przedmiotu ubezpieczenia i wyliczenia najlepszej dla rentowności składki. Walka o jak najlepszy wynik toczy się cały czas. Każda firma też, dzięki technologii, próbuje redukować koszty prowadzonej działalności, automatyzując procesy biznesowe. Według McKinsey automatyzacja może wprowadzić redukcję kosztów procesu likwidacji szkód o 30 proc.

– Automatyzacja procesów biznesowych może stanowić jeden z najważniejszych obszarów zmian dla ubezpieczycieli. Biorąc pod uwagę ich spowolniony rozwój technologiczny w stosunku do branży bankowej, ale i innych bardziej zaawansowanych technologicznie branż, nieuchronne wydaje się wkroczenie AI przede wszystkim w świat likwidacji szkód oraz zarządzania cyklem życia polis – komentuje Radosława Ogonowska, dyrektor ds. Bancassurance i Affinity w Nationale-Nederlanden. – AI może również pomóc rozwiązywać problemy klientów, np. automatycznie dystrybuować ich korespondencję do określonego działu organizacji – dodaje.

Przy szacowaniu ryzyka danych przydatnych do określania rentowności przedsięwzięcia jest znacznie więcej. Problem (przynajmniej dla ubezpieczycieli) w tym, że nadal ubezpieczyciele nie bardzo mają możliwości zbierania tych danych, które pozwalają lepiej oszacować ryzyko wystąpienia danego zdarzenia lub wprost: szkody. Ale już niedługo.

Jakie to mogą być dane? W szybko cyfryzującym się świecie bogactwo informacji zostawianych przez nas o nas samych staje się niewyobrażalne. A Big Data staje się nieludzko wielkimi zasobami danych, które pozwalają na coraz trafniejsze prognozy, o wywrócenie przyszłości zaś przecież w ubezpieczeniach chodzi.

Cyfrowe ślady pozostawiamy po sobie wszędzie, ale klucz do danych przydatnych ubezpieczycielowi może tkwić wręcz pod naszymi palcami. Bo czy tak trudno sobie wyobrazić, że to, jak mocno naciskamy ekran naszego smartfona albo czy uderzymy palcem jeden, czy więcej razy w trakcie danej akcji, może świadczyć lub świadczy o naszej nerwowości i może być ważną informacją do uwzględnienia szacowanego ryzyka spowodowania przez nas wypadku? Oczywiście, że może. Ale AI ma do dyspozycji również inne dane (lub mogłaby mieć): co i jak kupujemy, czy w zakupach stawiamy na solidność i jakość, czy „okazje” i tylko cenę, jak surfu-

”

jemy po sieci, czy formularz ubezpieczeniowy (podobnie jak wniosek o kredyt) złożyliśmy w ciągu dnia, czy w środku nocy (co może świadczyć o naszej desperacji i skłonności do irracjonalnych zachowań). To tylko jeden przykład nowych kopalni danych; wystarczy się po nie schylić. Tak jak nieograniczone są możliwości zbierania nowych danych, tak nieograniczone są możliwości ich łączenia oraz wyciągania na ich podstawie wniosków. Tu dopiero sztuczna inteligencja pokaże swoje prawdziwe możliwości. Ba, będzie w stanie znaleźć odpowiednie korelacje bez potrzeby zadawania pytań (dzięki czemu do tych pytań, które należało zadać, dojdzie wstecznie), tworząc zupełnie nowe modele i wyceny ofert. Znajdziemy wtedy odpowiedzi na pytania, których nigdy sobie nawet nie zadaliśmy.

Zastosowanie teraz

Ciekawym przykładem wykorzystania dużych zbiorów danych przez firmy ubezpieczeniowe są innowacyjne analizy zagrożeń pogodowych. Zrozumienie schematu pojawiania się klęski żywiołowej jest konieczne, aby móc szybko oszacować ryzyko, ale i skutecznie pomóc ludziom dotkniętym nieszczęściem. Z pomocą przychodzi technologia chmury (cloud computing). Firma reasekuracyjna Munich RE stosuje modele analityczne, które potrafią obliczyć ryzyko pogodowe, uwzględniając niewiarygodną liczbę parametrów. Metodologia ta jest już stosowana od lat, ale dopiero teraz jest dostępna odpowiednia moc obliczeniowa, która umożliwia wszechstronną i głęboką analizę. Chmura otwiera więc nowe perspektywy i dla oceny ryzyka, i badań nad klimatem. Podczas gdy do tej pory skalkulowanie pojedynczego scenariusza zajmowało kilka godzin, dzięki chmurze jest on realizowany w ciągu kilku sekund, a w czasie kilku godzin można sporządzić nawet 10 tys. wariantów modelu pogodowego. Obecnie przetwarzanych jest nawet tysiąc razy więcej danych niż kilka lat temu, w tym analiza materiałów wideo.

Co jest za rogiem

Dzięki technologii sztucznej inteligencji na rynku ubezpieczeniowym rosną nowi pretendenci – ubezpieczeniowe start-upy z branży InsurTech nie tylko z Doliny Krzemowej, które chcą zawojować rynek ubezpieczeń, wykorzystując AI lub opierając na niej cały swój model biznesowy.

Lemonade (w 2017 r. główny start-up ubezpieczeniowy według serwisu Statista.com, 60 mln dol. finan-

Na polskim rynku najpopularniejsze wdrożenia rozwiązań uczenia maszynowego powiązane są z systemami telematycznymi i pozwalają na wycenę ryzyka w zależności od stylu jazdy kierowców

sowania) zbudował model biznesowy bazujący na zarabianiu przez firmę małej, stałej marży, gdy reszta składki faktycznie ubezpiecza majątek danego klienta, a zarazem zakładający powierzenie algorytmowi zarządzania procesami biznesowymi przy „zatrudnieniu” AI w miejsce konsultantów.

Captricity to drugi na liście najbardziej doinwestowanych start-upów ubezpieczeniowych na świecie. Oferuje technologię wydajnej digitalizacji danych z formularzy spisywanych ręcznie, których nikt nie zarchiwizował cyfrowo (ubezpieczyciele ponoć siedzą na górze danych, z których nie robią użytku, bo tkwią w papierowych archiwach). Captricity digitalizuje ubezpieczycieli, budując bazy danych i wpuszczając w nie swoje algorytmy.

Z kolei Cyence modeluje dane dostępne w internecie, wspomagając walkę z wyłudzeniami. Branża ubezpieczeniowa jest niezwykle wrażliwa na wszelkiego rodzaju nadużycia i oszustwa czy ryzyko zaprzestania płacenia składek. Dlatego giganci ubezpieczeniowi, jak Allianz czy AIG, próbują przy użyciu sztucznej inteligencji minimalizować potencjalne

straty. AIG przyznało np., że na podstawie danych historycznych roszczeń klientów z ostatnich 100 lat zbudowano model prognostyczny i przypisano przyszłym klientom prawdopodobieństwo fraudu. Jednakże przyszłością branży ubezpieczeniowej jest wykorzystywanie profili społecznościowych perspektywicznych klientów lub potencjalnych fraudowców. Weźmy przypadek osób, które potrafią pobierać zwolnienia lekarskie, ale zamiast przebywać na chorobowym, jadą na... Karaiby, dzieląc się przy tym ze światem zdjęciami i postami na Facebooku.

– Wszystko, co trafi na Facebooka, może wpaść w maszynkę algorytmów uczenia maszynowego – komentuje Adam Wiatkowski, data scientist consultant. – Te z kolei rozpoznają, że dana osoba, która powinna być na zwolnieniu lekarskim, właśnie odpoczywa na Karaibach. I nie mówimy tutaj tylko o rozwiązaniach

78
proc.

tylu prezesów firm ubezpieczeniowych sądzi, że sztuczna inteligencja istotnie zmieni rynek ubezpieczeniowy w ciągu najbliższych trzech lat

Źródło: raport Accenture

międzynarodowych koncernów. Takie mechanizmy wykorzystuje np. ZUS. Należy więc zdawać sobie sprawę, że wszystko to, co robimy w sieci, może kiedyś się obrócić przeciwko nam, i to wszystko za sprawą sztucznej inteligencji – ocenia.

Przedstawiciele samego Facebooka nie komentują działań firm w ramach swojego ekosystemu. Zwracają jednak uwagę, że w przypadku komunikacji ubezpieczycieli z klientami – marketingowej i posprzedażowej – sztuczna inteligencja już teraz przynosi konkretne, wymierne rezultaty.

– Narzędzia cyfrowe, w tym sztuczna inteligencja, mogą być odpowiedzią na potrzeby zarówno firm ubezpieczeniowych, jak i ich klientów, przenosząc ich relacje na zupełnie nowy poziom – ocenia Robert Bednarski, szef Facebooka w regionie Europy Środkowej i Wschodniej. Na przykład firma AXA, największy ubezpieczyciel na świecie, wykorzystwała Messengera jako platformę komunikacji na żywo ze swoimi klientami. Mimo że automatyzacja tego procesu jeszcze w pełni nie nastąpiła, wyniki już teraz robią ogromne wrażenie – udało się zredukować czas odpowiedzi o 95 proc. i teraobecną wynosi on niecałe pięć minut. W przypadku użycia komunikatora czekanie przez kilka minut nie jest żadnym problemem, podczas gdy w przypadku klasycznej infolinii oczekiwanie na informację ze słuchawką przy uchu byłoby irytujące.

Przykłady z rynku pokazują, że wykorzystanie botów w automatyzacji może znacznie przyspieszać realizację wybranych procedur. Allianz Global Corporate & Specialty SE Singapore, mając na uwadze zgłaszaną przez klientów biznesowych potrzebę szybkiej, niezawodnej i przejrzystej komunikacji, zdecydował się na współpracę z Microsoftem w celu zbudowania prototypu wirtualnego asystenta, umożliwiającego zgłaszanie roszczeń 24/7. Chatbot Node jest w stanie niezawodnie zidentyfikować każdego klienta przed złożeniem wniosku, aby wykluczyć potencjalnych spamerów i oszustów. Komunikuje się on z użytkownikiem, przechodząc przez ustalone wcześniej drzewo decyzyjne.

Na polskim rynku najpopularniejsze wdrożenia rozwiązań uczenia maszynowego powiązane są z systemami telematycznymi i pozwalają na wycenę ryzyka w zależności od stylu jazdy kierowców. Coraz powszechniej systemy wykorzystujące sztuczną inteligencję wspomagają procesy likwidacji szkód, usprawniając proces wyceny uszkodzeń w pojazdach i budynkach oraz umożliwiając wykrywanie fraudów.

– Zastąpienie obecnie wykorzystywanych „skostniałych” systemów taryfowych algorytmami predyk-

cyjnymi pozwala m.in. na dynamiczne dostosowanie składek ubezpieczeniowych do poziomu i charakterystyki ryzyka klienta – uważają eksperci z PZU Lab. – Klienci mogą wkrótce oczekiwać, że oferty ubezpieczycieli będą bardziej spersonalizowane i tym samym będą odpowiadały ich indywidualnym potrzebom. Warto podkreślić również to, że PZU jest prekursorem na rynku polskim wdrożenia systemu opartego na sztucznej inteligencji, pozwalającego na prognozowanie awarii maszyn i przestojów w działalności klientów przemysłowych, co przynosi każdego roku wielomilionowe oszczędności tam, gdzie takie systemy pracują.

Obecnie prowadzonych jest także kilka projektów i wdrożeń, które już niedługo będą mogli docenić klienci największego polskiego ubezpieczyciela.

– Wydaje się, że wszyscy ubezpieczyciele są świadomi, iż rewolucja oparta na sztucznej inteligencji jest nieunikniona. Ci, którzy zbagatelizują ten trend, mogą już wkrótce stanąć na marginesie branży ubezpieczeniowej lub wręcz zakończyć przygodę w tym biznesie. Warto zatem obserwować rynek ubezpieczeniowy w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji, gdyż branża ta jest naturalnym technologicznym kołem zamachowym i jednocześnie jej największym beneficjentem – dodają eksperci z PZU Lab.

W raporcie o rynku danych na podstawie danych firmy Cloud Technologies oraz badań takich podmiotów jak eMarketer czy IAB Europe „Global Data Market Size 2017–2019” przeanalizowano 23 najważniejsze rynki świata, które łącznie generują ok. 90 proc. światowych wydatków na dane. Wynika z niego, że najwięcej cyfrowych informacji o internautach wciąż kupuje się w Stanach Zjednoczonych. Północnoamerykański rynek danych osiągnie w tym roku wartość 12,3 mld dol., a w przyszłym wzrośnie o kolejne 2,9 mld dol. Na drugim miejscu znajduje się obecnie Wielka Brytania, gdzie wydatki na dane w br. sięgną niemal 1,9 mld dol., a w 2019 r. wzrosną o 25 proc. do 2,4 mld dol. Intensywnie rozwija się także rynek chiński, który spośród pięciu największych rynków świata charakteryzuje się największą dynamiką wzrostu; w tym roku wyniesie ona 95,5 proc. Wartość chińskiego rynku szacuje się na 1,5 mld dol., a w 2019 r. ma wzrosnąć do 2,4 mld dol. Taki wynik sprawi, że Państwo Środka stanie się drugim co do wielkości rynkiem danych na świecie.

Biorąc jednak pod uwagę fakt, że to Azjaci produkują niemal całą elektronikę na świecie, łatwo sobie wyobrazić, kto finalnie wygra nie tylko wyścig o szczególne dane dla ubezpieczycieli, lecz również o globalną supremację na rynku danych w ogóle. Oczywiście pod warunkiem, że AI będzie mieć na ten temat podobne zdanie. ●

30 proc.

tyle może wynieść redukcja kosztów
procesu likwidacji szkód na sku-
tek wprowadzenia automatyzacji
metod biznesowych

Źródło: McKinsey & Company



Rynek wart kapitału

www.gpw.pl

finanse

Giełda & Waluty & Kredyty



MAREK SIUDAJ

Trzęsienie ziemi w skansenie

Polskie fundusze inwestycyjne nadal tkwią w XX w. Na szczęście wygląda na to, że proces wejścia tej branży w wiek XXI właśnie się rozpoczął

Na stronach firmy Analizy Online jest tabela, w której można sprawdzić, jakie są wyniki funduszy inwestycyjnych. Na 569 podmiotów wymienionych na tej liście na plusie w ciągu ostatnich 12 miesięcy jest nieco ponad 200, czyli ok. 35 proc.

Podkreślmy: w ciągu ostatniego roku załedwie co trzeci z funduszy przyniósł swoim klientom choćby minimalną dodatnią stopę zwrotu! Ale i to tylko teoretycznie.

Warto bowiem zwrócić uwagę, że dane dotyczą zmiany wartości jednostki, bo o zyskach klienta decydują także opłaty, jakie pobiera TFI m.in. za zarządzanie. A te w Polsce są absurdalnie wysokie – w praktyce odbiera to sens inwestowaniu w fundusze. Przykładowo, według danych z połowy tego roku, opłata przy funduszach akcyjnych dla polskiego rynku to 4 proc. To oznacza, że fundusz musi najpierw odrobić 4,2 proc., aby klient mógł zacząć zarabiać.

Jeszcze dziwniej jest w przypadku funduszy dłużnych – średnia cena to w ich przypadku 1,52 proc. To więcej, niż wynosi główna stopa procentowa w Polsce! Oczywiście na obligacjach skarbowych można zarobić więcej, bo ok. 3 proc., tylko że przy tak wysokiej opłacie inwestorzy w fundusze dłużne po prostu realnie tracą, gdyż po odjęciu opłaty od dochodu z obligacji stopa zwrotu staje się niższa od inflacji...

Podobnie jest w przypadku funduszy pieniężnych – tam średni koszt to prawie 1 proc. To bardzo drogo jak na podmioty, których polityka inwestycyjna ogranicza się do takich instrumentów jak depozyty czy obligacje bliskie terminu wykupu.

Klient nie wie, za co płaci

Biorąc pod uwagę koszty funduszy, aż trudno uwierzyć, że są nadal chętni inwestować w ich jednostki.

Przy takim stosunku ceny i jakości usługi do wyniku po prostu nie ma szans na uzyskanie przyzwoitego wyniku.

Przeciętny klient nie ma zielonego pojęcia, za co właściwie płaci. Być może są tacy, którzy myślą, że jego pieniądze służą do opłacenia analiz inwestycyjnych oraz świetnych zarządzających, ale to nieprawda. Faktycznie pieniądze idą do kieszeni banków i innych pośredników, do TFI bowiem płyną resztki, często sięgające 10 proc. całej opłaty za zarządzanie. Jak widać po wynikach, takie pieniądze to za mało, aby znaleźć ludzi, którzy umieją inwestować środki innych.

”

Jest nie tylko drogo i nieprzejrzyste, lecz na dodatek polskie TFI oferują klientom produkty, które na świecie zaczęły wychodzić z oferty już pod koniec XX w.

Pojawiła się nadzieja, że klienci się dowiedzą, iż przez lata żerują na nich ludzie, z którymi spotkali się kiedyś raz, przy podpisywaniu umowy. Dyrektywa MiFID II nakazała funduszom dokładnie informować, jakie opłaty są pobierane i na jakie cele. Wszyscy uznali, że przekazywanie tej informacji zatrzęsie branżą funduszy inwestycyjnych – i do boju ruszyli lobbysci. Obecnie nadal nie wiadomo, jakie informacje powinny być przekazywane klientom polskich funduszy i w jaki sposób. I nie wiadomo także, kiedy będzie wiadomo.

Jest nie tylko drogo i nieprzejrzyste, lecz na dodatek polskie TFI oferują klientom produkty, które

na świecie zaczęły wychodzić z oferty już pod koniec XX w. Praktycznie nie ma na rynku polskich funduszy pasywnych, a więc takich, które odwzorowują zachowania poszczególnych indeksów rynkowych. Do nich płynie prawie połowa środków lokowanych przez klientów w funduszach.

U nas sprzedaje się fundusze, w których jest zarządzający, który – oficjalnie – dzięki znajomości rynku jest w stanie go pokonać. Ale efekty są takie jak na początku – tylko nieco ponad 1/3 funduszy jest na plusie.

Platforma, która robi różnicę

Na szczęście wygląda na to, że jest szansa na rozwój tego inwestycyjnego skansenu. Pojawiają się kolejne inicjatywy, których celem jest redukcja tych absurdalnych opłat i – co za tym idzie – przyciągnięcie nowych klientów.

Pod koniec sierpnia firma IQ Money uruchomiła platformę, która ma sprzedawać fundusze. Zaletą tego rozwiązania ma być doradztwo sztucznej inteligencji przy doborze inwestycji, ale firma zdecydowała się na finansowe zachęty. Jedną z nich jest stworzenie funduszu pieniężnego bez żadnych opłat, inną zaś zwrot 5 proc. opłaty za zarządzanie klientowi, który inwestuje za pośrednictwem platformy należącej do firmy.

Firma stara się być konkurencyjna także dla TFI; zapowiedziała, że będzie brać 50–60 proc. opłaty za zarządzanie od pieniędzy klientów, którzy za pośrednictwem jej platformy zdecydują się zainwestować w fundusze. To nadal dużo, ale – po potrąceniu owych 5 proc. zwracanych klientowi – wychodzi niemal o połowę mniej, niż bierze wielu innych dystrybutorów.

Oczywiście IQ Money to start-up, trudno się więc spodziewać, aby zachwiał rynkiem, ale na początku października swoją inicjatywę ogłosił PZU. Ubezpie-

czyciel zaproponował inPZU, a więc platformę internetową z sześcioma funduszami, z których cztery (pieniężny i dłużne) odwzorowują indeksy rynkowe, a dwa pozostałe do tych indeksów nieco się zbliżają. O ile liczba produktów oraz ich konstrukcja nie budzi może wielkiego entuzjazmu, o tyle cena robi wrażenie.

„To będzie najtańsze rozwiązanie na rynku. Klient zapłaci 0,5 proc. niezależnie od tego, jaką strategię wybierze. To będzie najbardziej atrakcyjne i najtańsze narzędzie do inwestowania w Polsce” – powiedział Paweł Surówka, prezes Grupy PZU, podczas konferencji, w trakcie której zaprezentowano platformę.

Ustalenie opłat na tak niskim poziomie oznacza, że inPZU ma szansę zabrać część pieniędzy konkurentom PZU TFI.

„To pierwsza platforma, która robi różnicę. Niczym się to nie różni od tego, co jest w oddziałach. 3,8 proc. to średnia opłata. Te opłaty niczym się nie różniły od tego, co jest na rynku. Nie widzę powodu, dla którego ludzie mieliby inwestować za 3,8 proc., skoro można inwestować za 0,5 proc.” – stwierdził Grzegorz Olszewski, dyrektor odpowiedzialny za projekt inPZU.

Na dodatek to produkt, który ma szansę odebrać pieniądze także bankom. Jedną z popularnych metod oszczędzania są rachunki oszczędnościowe w bankach. W okresie, kiedy rachunki zdobywały popularność, klient mógł za darmo dokonywać kilku wypłat w miesiącu, na dodatek za niską cenę. Obecnie można dokonać zwykle tylko jednej wypłaty w miesiącu, na dodatek cena wypłaty jest tak duża, że mało kto na takim rachunku oszczędza. Przelanie tych środków na jeden z funduszy dłużnych daje szansę na zarobek, ale przede wszystkim nie zmusza do płacenia za możliwość wypłacenia pieniędzy. Jest tylko problem techniczny – ze względu na procedurę rozliczenia inwestycji na pieniądze z inPZU trzeba czekać trzy dni.



inPZU.pl

PZU uruchomił inwestorską platformę internetową inPZU z sześcioma różnymi typami funduszy inwestycyjnych, o ujednoliconej, bardzo niskiej stawce opłat za zarządzanie

Konkurencja się budzi

Konkurencja już zaczęła reagować na działanie PZU. Na przykład TFI PKO BP dokonało zmian w niektórych funduszach akcji zagranicznych. „Od 2 października br. opłaty w subfunduszach PKO Akcji Rynku Azji i Pacyfiku, PKO Akcji Rynku Amerykańskiego, PKO Akcji Rynku Japońskiego, PKO Akcji Rynków Wschodzących i PKO Akcji Rynku Europejskiego zostały obniżone do poziomu zaledwie 0,7 proc. Inwestujący w te subfundusze zarządzane przez PKO TFI zapłacą mniej, a więc potencjalnie więcej zarobią” – napisał Łukasz Kwiecień, wiceprezes PKO TFI w odpowiedzi na pytania „Gazety Bankowej”.

Nie tylko opłaty się zmieniają w tych subfunduszach. „Fundusze typu indeksowego w praktyce już mamy. Funkcję taką spełnia co najmniej kilka subfunduszy, np. PKO Akcji Rynku Azji i Pacyfiku, PKO Akcji Rynku Amerykańskiego, PKO Akcji Rynku Japońskiego, PKO Akcji Rynków Wschodzących i PKO Akcji Rynku Europejskiego. Przekształcamy je tak, by – uwzględniając polską specyfikę regulacyjną i gusta klientów – w maksymalny, uzasadniony zdroworozsądkowo sposób doprowadzić je do modelu indeksowego” – napisał Łukasz Kwiecień. „Pracujemy nad kolejnymi tego typu przekształceniami. I oczywiście analizujemy możliwości tworzenia polskich ETF-ów, to jest funduszy notowanych na GPW” – dodał.

Warto zwrócić uwagę na to, że PKO BP mógł sobie pozwolić na obniżkę opłat – na dodatek tylko dla części funduszy – bo jest w stanie sprzedać przez aplikację bankową jednostki za 800 mln zł. Nie jest także przypadkiem, że PZU uruchomił tanie fundusze, kiedy stworzył własną platformę do sprzedaży jednostek. I całkiem możliwe, że jeśli jakieś inne duże banki lub grupy finansowe posiadają własny, sprawny system sprzedaży jednostek, również będą mogły odpowiedzieć na ruch PZU obniżką opłat przynajmniej dla części funduszy.

Wojna o aktywa

Za to instytucje, które nie mają takiego systemu dystrybucji, będą miały poważny problem. Do tej pory bowiem jakoś sobie radziły dzięki stosunkowo wysokim cenom na całym rynku – klient wszędzie miał mniej więcej równie drogo. Teraz jednak, kiedy różnica w opłatach jest nawet ośmiokrotna, cena zaczyna być czynnikiem podstawowym.

Do tego dochodzi wiarygodność. Mniejsze TFI nie mogą ostatnich kilkunastu miesięcy zaliczyć do udanych. Z funduszy stworzonych dla TFI Fincrea wyparowało być może nawet 0,5 mld zł, w efekcie czego instytucja ta straciła prawo do działania. Potem zaczęły się problemy jednego z funduszy TFI Quercusa, który inwestował w papiery GetBacku. Było to pierwsze

z wielu TFI, które zostały uderzone przez aferę wokół windykatorka. Efekt jest taki, że wiarygodność tzw. niezależnych TFI mocno ucierpiała, a więc tym trudniej będzie im pozyskać pieniądze klientów.

Aczkolwiek już wcześniej było widać, że TFI, zwłaszcza mniejsze, nie szanują pieniędzy swoich klientów. Sposobem na redukcję cen byłoby stworzenie własnego systemu dystrybucji. Prawda jest taka, że prawie każde z TFI istniejących na rynku byłoby stać na stworzenie własnej platformy do sprzedaży własnych jednostek. Gdyby zebrały się TFI niezależne, byłyby w stanie nie tylko skonstruować taką platformę, lecz jeszcze ją wypromować. Nie zrobiły tego jednak, bo uznały, że klient z braku konkurencji tak czy owak sięgnie po ich produkty. Teraz, kiedy pojawiła się taka konkurencja, te TFI są w kryzysie wizerunkowym, finansowym i organizacyjnym. Teraz rzeczywiście mogą mieć problemy z pieniędzmi na stworzenie własnego systemu dystrybucji, choćby w internecie.

”

Wkrótce sporo TFI, zwłaszcza niezależnych, nie wytrzyma konkurencji i zniknie z rynku, więc pojawi się pole do obniżki opłat

A to może być jedyne wyjście, bo każdy z dużych dystrybutorów ma własne TFI. Obniżka cen oznacza, że wkrótce może się rozpocząć wojna o aktywa – z obawy przed ucieczką do konkurencji TFI bankowe czy ubezpieczeniowe zaczną obniżać ceny za zarządzanie. Dla TFI to nie jest problem, bo i tak dostają niewiele, ale poszkodowani będą dystrybutorzy. Im nie będzie się opłacało akceptować obniżki opłat ze strony niezależnych TFI, będą się zatem starały utrzymywać obecne wysokie ceny, jak długo się da.

Nadzieją są takie firmy jak mBank, który nie ma TFI, ale ma swój supermarket funduszy, ale ten bank też będzie musiał się liczyć ze stratą przychodów. Zapewne też będzie się starał to jakoś zrekompensować, najpewniej śrubując, gdzie się da, swoje ceny. W efekcie wiele TFI może stracić rentowność.

Do tej pory przedstawiciele TFI uzasadniali absurdalnie wysokie opłaty m.in. niewielkimi aktywami biznesu, narzekali także na wysokie koszty regulacyjne. Ale niewielu przyznawało, że może po prostu mamy za dużo TFI jak na tak niewielki rynek. Wygląda na to, że wkrótce sporo TFI, zwłaszcza niezależnych, zniknie z rynku, więc wreszcie pojawi się pole do obniżki opłat. Złaskza że poziom minimalny został już wyznaczony – i wynosi 0,5 proc. ●

PROF. EUGENIUSZ GATNAR

członek RPP, wykładowca Uniwersytetu
Ekonomicznego w Katowicach

Co z tym leasingiem?

Polska gospodarka znakomicie się rozwija, co potwierdził ostatni odczyt PKB w II kwartale bieżącego roku, pokazujący wzrost o 5,1 proc. Stało się tak przede wszystkim za sprawą stabilnie rosnącej konsumpcji prywatnej (o 4,9 proc.), która nadal „ciągnie” nasz wzrost gospodarczy.

Najbardziej rozczarowały inwestycje, które wzrosły jedynie o 4,5 proc. zamiast przewidywanych ok. 8 lub nawet 9 proc. Trzeba przyznać, że to było duże zaskoczenie dla wszystkich analityków. Pojawiły się nawet przypuszczenia, że dane o nakładach na środki trwałe mogą nie zawierać w pełni wartości tych nakładów, które mają formę leasingu.

W związku z tymi głosami Główny Urząd Statystyczny opublikował 11 września komunikat, w którym wyjaśnia, że „brak wyszczególnienia leasingu jako źródła finansowania nakładów na formularzu, który firmy wysyłają do GUS, w żadnym razie nie świadczy o nieujmowaniu takich nakładów w statystykach GUS”. Rzeczywiście bowiem, zgodnie z przyjętą metodologią badań, sprawozdawcy są zobowiązani ujmować całość nakładów na środki trwałe, bez względu na sposób ich finansowania. Zresztą tak właśnie brzmią objaśnienia do formularzy sprawozdawczych zarówno rocznych, jak i kwartalnych.

Związek Polskiego Leasingu, zrzeszający 28 firm leasingowych, podaje na swojej stronie internetowej, że w roku 2017 wartość aktywnego portfela tej branży wyniosła 119,3 mld zł, a przedsiębiorstwa te sfinansowały inwestycje w wysokości 67,8 mld zł.

W pierwszym półroczu tego roku wartość aktywnego portfela osiągnęła już 136,8 mld zł, rosnąc w stosunku do poprzedniego roku o 25 proc. Z tego sfinansowano inwestycje polskich firm o wartości 38,9 mld zł. Prognozy na cały rok 2018 pokazują, że łączna wartość sfinansowanych inwestycji może wynieść 83 mld zł, co oznacza wzrost o prawie 23 proc.

Z drugiej strony w opublikowanej 10 sierpnia przez GUS informacji sygnałnej pt. „Działalność przedsiębiorstw leasingowych w 2017 roku” podano, że w roku 2017 wartość środków oddanych w leasing

wyniosła 58,2 mld zł. A trzeba dodać, że to badanie objęło 95 przedsiębiorstw z branży, przy czym 65 z nich to firmy o jednej i dominującej działalności leasingowej. Tak więc to badanie objęło trzy razy więcej podmiotów, niż należy do Związku Polskiego Leasingu, a wynik za rok 2017 jest wyraźnie niższy. Trudno to wytłumaczyć.

Wydaje mi się, że mamy tutaj do czynienia z podobną sytuacją jak w przypadku uruchomionego niedawno przez GUS systemu analizy cen w sektorze budowlanym. Ten pilotażowy system, wprowadzony na wniosek zainteresowanych firm, okazał się mało przydatny. Stało się tak dlatego, że uzyskane wyniki nie były reprezentatywne, ponieważ wiele firm nie udostępniło GUS danych dotyczących zawartych kontraktów. Ostatnio „Puls Biznesu” podał, że w pierwszym miesiącu dane przekazała co czwarta firma budowlana, a w kolejnych – tylko co druga.

Wniosek jest prosty: trudno uzyskać wiarygodny obraz zjawiska, jeśli mające się sprawozdawać firmy nie wypełniają formularzy i nie przysyłają do GUS danych źródłowych. To dotyczy zarówno firm budowlanych, jak i firm leasingowych, i czyni prawdopodobną hipotezę, iż nakłady inwestycyjne są niedoszacowane z powodu tego, że obowiązek sprawozdawczy nałożony na przedsiębiorstwa w Polsce nie jest właściwie realizowany.

Trzeba również dodać, że o ile nakłady na inwestycje finansowane leasingiem przez firmy działające w Polsce powinny być widoczne w polskiej statystyce, mimo opisanej wyżej trudności z pozyskaniem danych, o tyle już zupełnie nie wiadomo, czy ktokolwiek potrafi dokładnie oszacować wartość transgranicznego leasingu operacyjnego, z którego korzystają nasze przedsiębiorstwa.

Jedynym rozwiązaniem opisanego problemu jest zwiększenie kontroli prawidłowości realizowanego obowiązku sprawozdawczego przez polskie przedsiębiorstwa oraz pilne wyodrębnienie leasingu jako źródła finansowania nakładów na środki trwałe. Zresztą GUS zapowiedział już, że zrobi to w formularzach sprawozdawczych za rok 2019. Jeżeli firmy będą rzetelnie je wypełniać, to pozwoli statystykom właściwie oszacować wielkość nakładów na inwestycje w naszym kraju. ●

Kongres 590

To jedno z najważniejszych wydarzeń gospodarczych, zrzeszające przedstawicieli świata biznesu i administracji publicznej.

To dwa dni dyskusji o wyzwaniach i problemach przedsiębiorców oraz miejsce wypracowania planów rozwoju polskiej gospodarki.



Zarejestruj się:
www.kongres590.pl/rejestracja



Partnerzy
Strategiczni



Oficjalny Bank
Kongresu 590



Bank Polski

Partnerzy
Główni



Partnerzy +



Partnerzy



MAREK SIUDAJ

Czarne chmury nad fintechami



fot. Shutterstock

Wydawałoby się, że biznes fintechowy ma przed sobą najlepsze lata. Coraz lepiej radzi sobie w konkurencji z bankami w USA, w Europie zaś wszyscy odliczają czas do przyjęcia dyrektywy o usługach płatniczych, która otworzy przed takimi firmami ogromny rynek.

Ale całkiem możliwe, że wiele fintechów zniknie wcześniej z rynku

Pod koniec września Fed podniósł po raz kolejny stopy procentowe. To już ósma podwyżka stóp dokonana przez amerykański bank centralny, odkąd w 2016 r. Fed pożegnał się z ze stopami na poziomie 0,25 proc. Teraz stopy procentowe wynoszą 2,25 proc., co oznacza bardzo wyraźne zaostrzenie polityki pieniężnej.

W strefie euro sytuacja wygląda nieco inaczej, stopy w EBC utrzymywane są nadal na poziomie zerowym. O ile Fed odszedł od programu QE, o tyle EBC właściwie nadal go kontynuuje, skupując obligacje głównie krajów południa Europy. Jednak po tej stronie Atlantyku również zaczynają się pojawiać głosy, że EBC powinien zaostrzyć swoją politykę monetarną i powoli przygotowywać się do podniesienia oprocentowania. I mało kto się spodziewa, aby obecny prezes EBC, Włoch Mario Draghi, dokonał podwyżki, która uderzy we Włochy, ale jego kadencja kończy się w 2019 r., a na następnego szefa tej instytucji typowany jest Niemiec, Jens Weidmann.

Wprawdzie opór przeciwko nominacji Niemca na kolejne kluczowe stanowisko w UE jest duży, ale całkiem możliwe, że Berlinowi uda się przeforsować tę kandydaturę, a wówczas można się spodziewać zaostrzenia polityki pieniężnej w strefie euro. Zwłaszcza że ewidentnie niemieckie banki nie są w stanie funkcjonować w środowisku ujemnych stóp procentowych, co widać choćby po mikroskopijnych wycenach czołowych instytucji finansowych z tego kraju.

Koniec eldorado?

Zaostrzenie polityki pieniężnej może mocno się odbić na sytuacji fintechów. Większość z tych firm nigdy jeszcze nie przeszła przez cykl zaostrzania polityki pieniężnej, bo mają po cztery–pięć lat stażu rynkowego. Dotej pory nie było problemu z finansowaniem, bo banki zalewały rynek pieniędzmi. Obecnie sytuacja zmienia się powoli w USA, ale wygląda na to, że koniunktura w Stanach jest tak dobra, iż nikt jeszcze nie liczy na poważnie pieniędzy.

Na razie więc kapitału jest w bród. Według raportu firmy KPMG inwestycje w firmy technologiczne na świecie w I połowie 2018 r. sięgnęły rekordowego poziomu niemal 58 mld dol. To więcej, niż zainwestowano w całym roku. Jednak – co można wyczytać w raporcie – ten wyścig nakręcają tak naprawdę głównie technologiczne giganty, takie jak Amazon, Microsoft i Google.

Jak wyglądałaby sytuacja bez tych pieniędzy, trudno powiedzieć. Poza tym spora część tych inwestycji to nakłady różnego rodzaju funduszy venture capital, co może oznaczać dokładanie pieniędzy do już zainwestowanych środków, aby uzyskać przebicie punktu rentowności. Co ciekawe, spada wartość przejęć i fuzji na tym rynku, co sugeruje, że każdy chce rozwijać własne fintechy. Jeśli wziąć pod uwagę, że zakup nowych akcji podnosi wycenę spółki, co z kolei prowadzi do pokazywania lepszych rezultatów inwestycyjnych, to można podejrzewać, iż fintechowe eldorado powoli dobiega końca. Jako że większość tych firm w życiu nie przyniosła zysku i głównie „przepala pieniądze”, to wstrzymanie taniego finansowania dla wielu podmiotów może być szokiem.

Transfery pod nadzorem

Zwłaszcza że wiele z nich musi się liczyć ze wzrostem kosztów. Ostatnio głośno jest o aferze związanej z praniem brudnych pieniędzy, głównie rosyjskich, przez banki z krajów bałtyckich, należące do skandynawskich grup finansowych. Do dymisji podał się np. szef Danske Bank.

Problem z praniem brudnych pieniędzy jest szerszy, z tego powodu m.in. zrezygnował szef ING Group o znajomym, zwłaszcza dla Polaków i Węgrów, nazwisku Timmermans. Wiadomo także, że innym kanałem jest ten cypryjski.

”

Zaostrzenie polityki pieniężnej może się mocno odbić na sytuacji fintechów. Większość z tych firm nigdy jeszcze nie przeszła przez cykl zaostrzania polityki pieniężnej, bo mają po cztery–pięć lat stażu rynkowego

Można się spodziewać, że nadzory krajowe oraz ogólnoeuropejskie będą nakładać coraz ostrzejsze regulacje, aby proceder transferu brudnych pieniędzy oraz ich prania zahamować. To zaś oznacza, że podobne regulacje jak bankowe obejmą fintechy specjalizują-

ce się w transferach pieniędzy. Po części to już się dzieje, weszła w życie piąta dyrektywa o przeciwdziałaniu praniu brudnych pieniędzy oraz finansowaniu terroryzmu (dyrektywa AML). Już wiadomo, że wkrótce będzie trzeba znowu się dostosowywać, bo trwają prace nad kolejną nowelizacją dyrektywy.

Wdrożenia dyrektywy dokonał już m.in. AML, który przyznaje, że stanowiło to pewne obciążenie dla firmy. Poza tym zamierza ona wyjść do USA i do Azji, co oznacza konieczność spełnienia kolejnych warunków nakładanych przez regulacje krajowe – a więc i dodatkowe koszty. Pracowników firmy w Krakowie – bo fintech funkcjonuje w dużym stopniu dzięki swojemu centrum w Polsce – będzie przybywać.

Do tego można się spodziewać obostrzeń związanych z bezpieczeństwem środków klientów. Pojawiają się one albo po to, aby uprzedzić ewentualne problemy, albo w następstwie np. jakiejś upadłości. O tym, że bankructwa są możliwe, świadczy choćby historia brytyjskiej firmy Wonga.com, która popadła w kłopoty, kiedy tamtejszy nadzór zezwolił klientom na odzyskanie nadpłaconych kosztów pożyczek. Wprawdzie tutaj w grę wchodzi firma pożyczkowa, która nie dysponowała pieniędzmi klientów, jednak wystarczą np. problemy techniczne albo penetracja hakerska firm transferujących środki, aby pojawiły się dodatkowe wymagania, a to już oznacza dodatkowe koszty. Jednocześnie pogorszą się perspektywy związane z wpływami, bo bankom będzie łatwiej konkurować z branżą fintechową, jeśli zaczną je obciążać regulacje. Obecnie – zwłaszcza w kontekście dyrektywy PSD2 – można odnieść wrażenie, że fintechom otwiera się kolejne pola działania, jednocześnie nie żądając niczego w zamian w zakresie bezpieczeństwa operacji.

Brexitowy nokaut

Pierwszy poważny test fintechy mogą jednak przeżyć już w przyszłym roku, a dokładnie 29 marca. Tak się składa, że wiele firm z tej branży lokowało swoje centrale w Londynie czy też – szerzej – na Wyspach Brytyjskich. Wynikało to z łatwiejszego dostępu do pieniędzy – Londyn był przecież centrum finansowym UE – oraz z przystępnych regulacji i innych działań nadzoru, co obniżało koszty i przyspieszało start działalności firm.

Ale brexit postawił przed tymi spółkami potężne wyzwanie. Powoli zaczynają one albo przenosić się na kontynent, albo przynajmniej starają się o licencję w jednym z krajów członkowskich, aby móc działać nadal w UE. Kłopot w tym, że Komisja Europejska chce sprawić, aby pożegnanie z Wielką Brytanią było dla tego kraju maksymalnie bolesne, co może oznaczać brak jakiegokolwiek porozumienia oraz negatywne interpretacje przepisów.

Przykładem może być choćby VAT od usług oferowanych przez fintechy. O ile bowiem usługi bankowe

nie są objęte VAT, o tyle nie jest jasne, jak traktować usługi fintechów. Można sobie wyobrazić takie podejście, w którym usługi spoza obszaru celnego UE będą traktowane jako objęte VAT, co zwiększy ich cenę.

Do tego dochodzi kwestia usług oferowanych w ramach jednej firmy – jak w przypadku Revoluta – pomiędzy krajami członkowskimi a Wielką Brytanią. Może się okazać, że w biurach podobnych firm pojawią się urzędnicy fiskusa z poszczególnych państw członkowskich, z żądaniem zapłaty sporych kwot, które nie zostały uwzględnione w dotychczasowych biznesplanach.

Nie ma tego złego...

Oczywiście jeden z tych czynników zapewne nie doprowadziłby do kłopotów całej branży fintechowej, ale jeśli spełnią się wszystkie, firmy te zaczną się borykać z kłopotami. Niestety to, że te czynniki się zrealizują, jest tylko kwestią czasu. No, może poza podwyżką stóp procentowych, gdyż twardy brexit może oznaczać spowolnienie także w Unii Europejskiej, a wtedy trudno oczekiwać podniesienia oprocentowania. Ale i tak będzie mniej pieniędzy na rynku, bo inwestorzy będą się starali – jak zwykle – straty na jednej branży niwelować zyskami z innej.

”

Nadzorcy będą nakładać coraz ostrzejsze regulacje, aby zahamować proceder transferu brudnych pieniędzy. To oznacza, że restrykcje obejmą także fintechy specjalizujące się w transferach finansowych

Paradoksalnie ta zła sytuacja może być korzystna dla polskich firm – zarówno fintechów, jak i banków. Nasze firmy nie mają problemu ani z ujemnymi stopami procentowymi, ani z nadmiarem pieniędzy (jest ich dużo, ale znacznie mniej niż np. w Wielkiej Brytanii), toteż muszą bardziej pilnować kosztów. Jednocześnie w polskim systemie zaczyna się pojawiać model współpracy między bankami a fintechami, więc kiedy na Zachodzie firmom zacznie brakować pieniędzy, polskie fintechy będą nadal miały wsparcie finansowe. No i Polska nie wychodzi ze wspólnego rynku, toteż wszystkie problemy związane z rozliczeniami finansowymi ominą podmioty mające siedziby u nas.

Może się więc okazać, że kiedy nad całą fintechową Europą zawisną czarne chmury, w Polsce utrzyma się dobra pogoda dla tej branży. ●



Gwarancje na bankowo

Gdy nieduże firmy starają się o środki na realizację planów związanych z rozwojem swojej działalności, jedną z możliwości ich otrzymania jest pozyskanie kredytu w banku. Jednak jego otrzymanie wiąże się z koniecznością zabezpieczenia spłaty przez przedsiębiorcę

Zabezpieczenie jest potrzebne zarówno bankowi kredytującemu, jak i przedsiębiorcy na wypadek powstania okoliczności uniemożliwiających terminową spłatę kredytu. Przedsiębiorcy nie zawsze jednak dysponują wymaganym przez bank zabezpieczeniem, mimo że sposobów zabezpieczenia spłaty kredytów jest wiele.

Jednym z prostszych, tańszych i akceptowalnych przez większość banków są gwarancje bankowe. Specjalnie dedykowane dla niewielkich firm (tj. z sektora MŚP) gwarancje spłaty kredytu są aktualnie udzielane przez Bank Gospodarstwa Krajowego (gwaranta) za pośrednictwem banków kredytujących. Aktualnie BGK dysponuje aż trzema liniami gwarancyjnymi dla firm umożliwiającymi zabezpieczenie kredytu bankowego przedsiębiorcy.

Kredyt objęty gwarancją Banku Gospodarstwa Krajowego ułatwia zaciągnięcie kredytu i daje szansę na wynegocjowanie lepszych warunków kredytowania (np. niższa marża lub prowizja). Procedura uzyskania gwarancji kredytowych jest prosta – wystarczy, jeżeli przedsiębiorca jednocześnie z wnioskiem o kredyt złoży wniosek o udzielenie gwarancji w banku współpracującym z Bankiem Gospodarstwa Krajowego.

Wśród gwarancji BGK dostępnych obecnie w bankach krajowych najbardziej rozpowszechniona jest gwarancja de minimis, która może zabezpieczyć spłatę kredytu obrotowego lub inwestycyjnego. Gwarancja ta może objąć do 60 proc. kwoty kapitału kredytu, jednak nie obejmuje odsetek ani innych kosztów związanych z kredytem. Stawka prowizji za udzieloną gwarancję wynosi zaledwie 0,5 proc. kwoty gwarancji w stosunku rocznym.

Bezpłatne gwarancje dla innowacji z dotacją

O gwarancje mogą się również ubiegać przedsiębiorcy, którzy kredytem zamierzają sfinansować projekt inwestycyjny o charakterze innowacyjnym. Na zabezpieczenie finansowania takiego celu przeznaczona jest gwarancja Biznesmax (FG POIR). Jej otrzymanie wiąże się również z możliwością uzyskania dodatkowej korzyści finansowej w postaci zwrotu części zapłaconych odsetek od kredytu w formie dotacji w wysokości nawet kilkuset tysięcy złotych. Wysokość dopłaty zależy od kwoty kredytu i jego oprocentowania. Maksymalna kwota tej gwarancji to równowartość w złotych 2,5 mln euro i nie więcej niż 80 proc. kapitału kredytu na maksymalnie 20 lat.

Gdy kończą się limity pomocy

Przedsiębiorcy, którzy wyczerpali dostępne limity pomocy publicznej, mogą skorzystać z gwarancji udzielanych ze środków programu COSME. Gwarancja Banku Gospodarstwa Krajowego w ramach programu COSME zabezpiecza spłatę 80 proc. kwoty kredytu, który wynosi nie więcej niż 600 tys. zł. Korzyści z posiadania tej gwarancji to brak konieczności zastawiania własnego majątku i niska prowizja za udzielenie gwarancji (1 proc. w skali roku).

Szczegółowe informacje na temat oferty BGK można znaleźć na stronie internetowej www.bgk.pl

MAREK JAŚLAN

Bank jako księgowy dla małej firmy

Usługi księgowe dla małych i średnich firm to coraz częściej standard w ofercie banków. Z jednej strony wiążą firmę z instytucją, z drugiej to także źródło przychodów. Najprostsze usługi, jak możliwość wystawiania faktur, są często bezpłatne, ale za najbardziej rozbudowane pakiety umożliwiające np. indywidualne usługi księgowe trzeba już zapłacić

Przedsiębiocy z sektora małych i średnich firm są coraz atrakcyjniejszą grupą klientów dla banków. Wiele z nich już kilka lat temu doszło do wniosku, że warto zaoferować im coś więcej niż tylko otwarcie rachunku i ewentualnie kredyt, ale mogą być one zainteresowane takimi usługami jak obsługa księgowa. Grono banków, które wychodzą z taką ofertą do MSP, się powiększa. I wiele

wskazuje na to, że będzie ich coraz więcej. Ostatecznie w Polsce połowa pracujących w całym sektorze przedsiębiorstw zatrudnionych jest w mikro i małych firmach. A takie firmy generują prawie 40 proc. PKB.

Jednym z pierwszych banków, które w Polsce zaoferowały usługi księgowości firmom, jest ING Bank Śląski. Zrobił to kilka lat temu. Zadanie to traktuje na tyle poważnie, że powierzył je wydzielonej spółce ING Usługi dla Biznesu SA.



fot. Shutterstock

Bankowa spółka do księgowania

– ING Usługi dla Biznesu jest spółką zależną banku powołaną w celu oferowania klientom produktów i usług wykraczających poza standardowy schemat myślenia o bankowości. Zaangażowanie w rozwiązania typu fintech oraz usługi wspierające codzienne życie przedsiębiorców powodują potrzebę elastycznego podejścia do tych inicjatyw, co gwarantuje spółka. Klienci bardziej ufają podmiotom z jednej grupy kapitałowej, a dane księgowe i kadrowe należą do tych o największym stopniu poufności. Takie podejście ułatwia nam także wdrażanie przydatnych integracji między systemami a rozwiązaniami pomiotów Grupy ING w Polsce – wyjaśnia Arkadiusz Kuczera, dyrektor ds. Rozwoju Usług Biznesowych w ING.

I rzeczywiście platforma ING Księgowość jest bardzo rozbudowana. Jak podkreśla Adam Kuczera, jest ona kompleksowym rozwiązaniem umożliwiającym przedsiębiorcom zarówno komunikację z kontrahentami, jak i zarządzanie finansami firmy. Poprzez integrację z bankowością internetową (Moje ING) klient w łatwy sposób może zapłacić za fakturę, robiąc jej zdjęcie czy to smartfonem, czy poprzez wgranie do aplikacji. Klienci używający ING Księgowość mają możliwość spersonalizowania faktury poprzez dodanie logo lub pieczęci prewencyjnej, mogą też w jednym kroku wysłać ją do kontrahenta.

– Umożliwiamy nadanie specjalnych uprawnień nowemu użytkownikowi (np. księgowemu), który dzięki nim ma podgląd dokumentacji klienta i może pracować w oparciu o nią. Oczywiście może nadać uprawnienia także swoim pracownikom czy pełnomocnikowi; role te są odpowiednio dostosowane do zakresu danych, które osoba je posiadająca powinna widzieć. ING Księgowość dla przedsiębiorców pozwala na samodzielne prowadzenie książki przychodów i rozchodów. Klienci korzystający już dziś z tej formy rozliczania mogą w wygodny sposób wygenerować deklaracje takie jak VAT-7, VAT UE czy JPK_VAT i wysłać prosto do swojego urzędu skarbowego. Dla firm prowadzących obrót towarami przygotowaliśmy moduł magazynowy – rozwiązanie, które pozwoli na proste i intuicyjne zarządzanie stanami magazynowymi oraz przeprowadzanie inwentaryzacji towarów. Jest ono zintegrowane z modułem fakturowym – wylicza Adma Kuczera.

Dodaje, że w przypadku dużych spółek ING Księgowość zapewnia (oprócz fachowej opieki dedykowanego zespołu obsługującego) możliwość masowego importu dokumentów z folderu na pulpicie oraz wykonania zdjęcia faktury i natychmiastowego przekazania jej w tej formie. – Dzięki codziennemu pobieraniu wyciągów z banku nasz klient dobrze wie, jak wygląda jego bieżąca sytuacja finansowa, może też zlecać przelewy bezpośrednio z aplikacji. Razem z księgowością może prowadzić również swoje sprawy kadrowe – zatrudniać

pracowników i monitorować ich urlopy, a zawsze dedykowany kadrowy będzie miał na oku ważność badań lekarskich personelu. Zestaw stworzonych przez nas raportów zarządczych zawsze stanowi cenne źródło wiedzy dla klienta – mówi Adam Kuczera.

Zafirmowani klienci Aliora

Także klienci z Alior Banku z sektora MSP mają możliwość skorzystania ze wsparcia księgowo-finansowego. Bank oferuje bezpłatne usługi księgowe on-line mikro i małym firmom w serwisie Zafirmowani.pl. – Udostępniamy przedsiębiorcom aplikację księgową, w której mogą prowadzić Książkę Przychodów i Rozchodów oraz rozliczać ryczałt ewidencjonowany. Aplikacja umożliwia wystawianie faktur, naliczanie odpisów amortyzacyjnych oraz – dzięki integracji z bazą REGON i CEIDG – zaciąganie danych kontrahentów na podstawie numeru NIP. Przedsiębiorcy mają również możliwość bezpłatnego generowania plików JPK VAT, JPK_FA (faktury VAT), JPK_PKPiR (podatkowa księga przychodów i rozchodów) oraz JPK_EWP (ewidencja przychodów). Na portalu Zafirmowani.pl dostępna jest również baza wiedzy na temat prowadzenia biznesu, w której edukujemy przedsiębiorców poprzez artykuły oraz szkolenia on-line. Co więcej, zarejestrowani użytkownicy mogą również korzystać z rabatów oraz ofert specjalnych – mówi Marta Sudnikowska, menedżer ds. Strategii Sprzedaży w Alior Banku.

”

Grono banków, które wychodzą z ofertą usług księgowych do MSP, się powiększa i wiele wskazuje na to, że będzie ich coraz więcej

BGŻ BNP Paribas i mBank postawiły na cyberProductivity

W marcu tego roku platformę eMikroksięgowość do prowadzenia samodzielnej księgowości i wystawiania faktur uruchomił bank BGŻ BNP Paribas. W zakresie tym oparł się na współpracy z polską firmą cyberProductivity. Korzystając z usługi, przedsiębiorca ma stały dostęp do dokumentacji księgowej. Ponadto narzędzie przypomina o przelewach i płatnościach oraz jest pomocne w przygotowaniu deklaracji do urzędów.

„Nasza technologia automatyzacji księgowania oparta na algorytmach sztucznej inteligencji wprowadza rewolucję w księgowości małych firm. Dokumenty

i transakcje bankowe są księgowane i rozliczane na bieżąco, dzięki czemu mała firma może wykorzystać dane księgowe do bieżącej kontroli finansów i podatków. Automatyzacja większości tych procesów, nadzorowana przez zespoły doświadczonych księgowych, pozwala zaoszczędzić czas i przeznaczyć go na rozwój biznesu. Jesteśmy przekonani, że wspólny projekt z Bankiem BGŻ BNP Paribas ułatwi prowadzenie biznesu wielu przedsiębiorcom w Polsce” – mówi Rafał Strzelecki, CEO firmy cyberProductivity, inaugurując uruchomienie platformy.

Co ciekawe, cyberProductivity dwa lata wcześniej uruchomiła podobną usługę pod nazwą mKsięgowość dla mBanku. Moduł księgowy zintegrowany jest bezpośrednio z systemem bankowości internetowej i użytkownik ma do niego dostęp od razu po zalogowaniu się na firmowy rachunek. Bank mocno przekonuje swych klientów do korzystania z tej usługi, podkreślając, że klient może zarządzać swoimi finansami i księgowością za pomocą jednego serwisu transakcyjnego. Dodatkowo ma możliwość znacznie szybszego wystawiania faktur, automatycznego wyliczania podatków, a nawet może skorzystać z dedykowanego księgowego, który przejmie od niego całą księgowość firmy.

”

Banki, które oferują usługi finansowo-księgowe dla sektora MSP, twierdzą, że rośnie liczba klientów nimi zainteresowanych. Ceny zależą od oferowanych funkcjonalności

Jednak i inne banki równie mocno zachęcają swych klientów z sektora MSP do korzystania z ich usług księgowo-finansowych. – Nowi klienci PKO Banku Polskiego zakładający rachunek firmowy otrzymują dostęp do programu SzybkaFaktura.pl bezpłatnie przez pierwszych sześć miesięcy. SzybkaFaktura.pl to platforma księgowości on-line, dzięki której w prosty sposób można m.in. wystawić fakturę, kontrolować finanse swojej firmy i rozliczać podatki oraz znaleźć profesjonalne biuro rachunkowe. Platforma skierowana jest do przedsiębiorców prowadzących uproszczoną księgowość – informuje Małgorzata Witkowska z Departamentu Komunikacji Korporacyjnej PKO BP.

Banki, które oferują usługi finansowo-księgowe dla sektora MSP, twierdzą, że coraz więcej klientów jest nimi zainteresowanych. – Usługa ING Księgowość w banku istnieje od kilku lat, jednak dopiero kiedy roz-

szerzyliśmy ofertę na segment przedsiębiorców i zaoferowaliśmy możliwość samodzielnego wystawiania faktur oraz ich księgowania, zanotowaliśmy gwałtowny przyrost użytkowników. W ciągu dziewięciu miesięcy, od kiedy proponujemy rozszerzoną formułę ING Księgowość (dla przedsiębiorców), skorzystało z niej ponad 30 tys. użytkowników. Zaoferowanie tej usługi przez ING Bank Śląski jest realną odpowiedzią na potrzeby klientów w zakresie kont firmowych. Klient może prowadzić całe finanse swojej firmy w jednym miejscu – mówi Arkadiusz Kuczera.

Podkreśla przy tym, że grupę klientów ING Księgowości wypełnia całe spektrum istniejących podmiotów gospodarczych. Z jednej strony funkcjonuje ING Księgowość dla przedsiębiorców – jej klientami są osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą i zarazem klienci banku, dla których smartfon staje się niezbędną pomocą w codziennej pracy.

– Płatności, kontakt z kontrahentami – wszystko to coraz częściej skupia się w telefonie. Dla fanów urządzeń mobilnych ING Księgowość jest dostępna poprzez Moje ING, a także w formie osobnej aplikacji. Z drugiej strony ING Księgowość OnLine, czyli starsza siostra księgowości dla przedsiębiorców, skupia w sobie firmy zobligowane do prowadzenia pełnej księgowości (przede wszystkim spółki z o.o.). W ramach usług klienci otrzymują fachową opiekę ze strony księgowego oraz kadrowego, który zajmuje się prowadzeniem ich spraw od strony merytorycznej. Komunikacja na linii klient – księgowy została maksymalnie uproszczona, dla oszczędności czasu tak cennego w prowadzeniu biznesu. Wystarczy zeskanowanie faktury od klienta i jedno kliknięcie, by znalazła się ona w rękach księgowego. Tak dobrze wszystkim znane dostarczanie papierowych faktur do biura rachunkowego w ING Księgowość OnLine jest pieśnią przeszłości – mówi Adam Kuczera.

Marta Sudnikowska z Alior Banku podaje, że miesięcznie portal Zafirmowani.pl odwiedza prawie 100 tys. osób, a liczba zainteresowanych stale rośnie. – Alior Bank chce być partnerem dla przedsiębiorców i dostarczać im narzędzia, które ułatwiają prowadzenie działalności. Portal Zafirmowani.pl jest właśnie takim projektem i ważnym elementem w ramach naszej strategii „Cyfrowego buntownika” – podkreśla Marta Sudnikowska.

Ile to kosztuje?

Ceny usług finansowo-księgowych dla klientów banków zależą od oferowanych funkcjonalności.

mBank oferuje trzy pakiety mKsięgowości. Bezpłatny jest pakiet Start, który m.in. automatycznie wylicza podatki, pakiet Standard za 300 zł (w promocji 150 zł) daje możliwość zaksięgowania maksymalnie 20 dokumentów i umożliwia wysyłanie deklaracji podatko-

wych. Najdroższy pakiet Premium 400 zł (w promocji 300 zł) kusi dedykowaną księgową.

– ING Księgowość dla przedsiębiorców dzieli się na wiele modułów. Każda firma będąca klientem ING Banku Śląskiego może rozpocząć bezpłatne korzystanie z fakturowania, magazynu oraz funkcji płatniczo-rozliczeniowych (w tym OCR, czyli skanowania danych z faktur). Dostęp do modułu księgowego dla naszych klientów to koszt 20 zł miesięcznie. Dla klientów chcących skorzystać z usługi przygotowaliśmy promocję trwającą trzy miesiące od jej uruchomienia. W tym okresie klienci mają możliwość przetestowania usługi. Jeśli nie zechcą z niej korzystać, zostanie ona automatycznie wyłączona po upływie tego czasu. Natomiast ING Księgowość OnLine (dla dużych firm) dzieli się na trzy pakiety. Pakiet podstawowy to koszt 450 zł miesięcznie, przy czym w cenie abonamentu zawiera się limit 20 dokumentów rozliczanych w skali miesiąca. Pakiet rozszerzony w cenie 550 zł oferuje dodatkowo dostęp do kalendarza płatności oraz zlecania przelewów za dokumenty kosztowe, które pojawią się do autoryzacji na koncie firmy w ING Business. Naturalnie proponujemy również dojście do porozumienia na drodze indywidualnej z każdym klientem – wyjaśnia Adma Kuczera.

W PKO BP po okresie promocyjnym wykupuje się abonament. W przypadku umowy na dwa lata ceny zaczynają się od 8,79 zł miesięcznie za pakiet podstawowy (m.in. wystawianie faktur, rejestrowanie kosztów), przez 26,39 zł za pakiet pełny (deklaracje podatkowe ZUS, kilometrówka), po 149 zł za pakiet all inclusive (komunikacja z księgowym w potrzebie). W BGZ BNP Paribas dostęp do eMikroksięgowości przy samodzielnym księgowaniu (pakiet basic) jest bezpłatny. Korzystający z pomocy księgowej w pakiecie Standard płacą 100 zł, a w pakiecie Comfort – 150 zł. Za pełną księgowość płaci się 450 zł miesięcznie.

Będzie więcej księgowości dla MSP w bankach

Rosnące zainteresowanie usługami księgowo-finansowymi w bankach powoduje, że instytucje te deklarują rozbudowę tych usług. Z drugiej strony można się spodziewać, że banki, które jeszcze nie mają tego w ofercie, zaczną takie usługi uruchamiać.

ING Bank Śląski nawiązało np. współpracę z firmą InsERT, wdrażając jej system Navireo ERP do zaoferowania usługi pełnej księgowości. – Rozwiązanie oparte na oprogramowaniu firmy InsERT dotyczy usługi biura rachunkowego, prowadzonego także pod marką ING Księgowość (ING Księgowość OnLine), jednak skierowanego do firm podlegających pod obowiązek prowadzenia ksiąg rachunkowych (pełna księgowość). Wdrożone przez nas w tym roku rozwiązanie dotyczy segmentów przedsiębiorców, czyli podmiotów prowa-



Marta Sudnikowska

menedżer ds. Strategii
Sprzedaży w Alior Banku

Odbiorcami naszych usług są przede wszystkim przedsiębiorcy z segmentu mikro i małych firm, którzy obawiają się biurokracji związanej z prowadzeniem działalności gospodarczej. W momencie założenia firmy są zajęci rozwijaniem oferty, zdobywaniem nowych kontrahentów i profesjonalną obsługą klientów. Sprawy formalne schodzą na drugi plan, dlatego tak ważne jest w ich przypadku, aby nie bać się korzystać z nowoczesnych technologii, w tym bardzo pomocnej księgowości on-line.

dzących uproszczoną księgowość – wyjaśnia Adam Kuczera.

Mariusz Jeleń, menedżer ds. Navireo ERP w InsERT, podkreśla natomiast, że wdrożenie się rozwija, ewoluuje i wymaga stałej opieki ze strony partnera IT. InsERT na bieżąco reaguje na zmiany funkcjonalne, prawne, wprowadza do produktu nowe technologie. – Doświadczenia ze współpracy z ING Księgowość owocują m.in. dalszym rozwojem naszego systemu. Rozbudowujemy specyficzne dla branży funkcjonalności. Ulepszamy nasze programistyczne API, z uwzględnieniem zgodności wstecz, co w perspektywie czasu gwarantuje większą stabilizację produktu. Rozwijamy też preferowaną w takich przypadkach metodykę wdrożeńową scrum, opartą na opiece i rozwoju. Poruszamy się bardzo dobrze w środowisku korporacji finansowej, czujemy jej specyfikę, identyfikujemy wymagania i przewidujemy przyszłość – mówi Mariusz Jeleń.

Także PKO BP informuje, że aktualnie w instytucji tej trwają prace nad wieloma nowymi rozwiązaniami dla firm umożliwiającymi klientowi m.in. automatyzację czynności kancelaryjnych i księgowo-podatkowych. Rozwiązania te będą docelowo zintegrowane z już istniejącymi w bankowości elektronicznej usługami dla małych i średnich przedsiębiorstw, m.in. z aplikacją Asystenta firmowego.

– Obecnie planujemy rozszerzenie zarówno aplikacji księgowej, jak i portalu Zafirmowani.pl – informuje Marta Sudnikowska z Alior Banku.

Pewne jest też, że inne banki zainteresowane uruchamianiem takich usług dla MSP nie powinny mieć trudności ze znalezieniem partnera w branży IT. Mariusz Jeleń z firmy InsERT mówi, że spółka jest otwarta na współpracę z kolejnymi instytucjami finansowymi. Z kilkoma ma nawet prowadzić na ten temat rozmowy. ●

SZYMON SZADKOWSKI

Boom zbudowany na optymizmie

Na rynku kredytów mieszkaniowych zapowiada się najlepszy rok bieżącej dekady. Według Biura Informacji Kredytowej (BIK) łączna wartość podpisanych w 2018 r. umów na kredyty mieszkaniowe może sięgnąć 56 mld zł. A według prognoz ekspertów rynek kredytów hipotecznych będzie nadal dynamicznie się rozwijał



Zdanych BIK wynika, że w pierwszym półroczu 2018 r. banki udzieliły kredytów mieszkaniowych na kwotę 27,9 mld zł. W pierwszym półroczu sprzedaż kredytów mieszkaniowych była najwyższa od kilku lat zarówno pod względem liczby udzielonych kredytów, która wzrosła o 7,8 proc., jak i pod względem wartości, gdzie zanotowano wzrost o 16,7 proc.

Jak prognozuje Bartosz Turek, analityk Open Finance, bieżący rok może się zamknąć sprzedażą ponad 205 tys. kredytów hipotecznych (kilkanaście tysięcy

więcej niż w 2017 r.), a w 2019 r. – o ile nie zdarzy się nic niespodziewanego – rynek może przebić pułap 210 tys. sprzedanych „hipotek”.

Fala optymizmu

Tymczasem, jak wskazuje wartość BIK Indeksu – Popytu na Kredyty Mieszkaniowe (BIK Indeks PKM), który informuje o rocznej dynamice wartości wnioskowanych kredytów mieszkaniowych, wyniosła 23,6 proc. we wrześniu 2018 r. Oznacza to, że we wrześniu 2018 r., w przeliczeniu na dzień roboczy, banki i SKOK-i prze-

słały do BIK zapytania o kredyty mieszkaniowe na kwotę wyższą o 23,6 proc., licząc rok do roku. Wskaźnik BIK Indeks PKM obliczany jest w przeliczeniu na dzień roboczy po wyłączeniu zapytań o kredyty mieszkaniowe na kwoty przekraczające 1 mln zł oraz zapytań o tego samego klienta w kolejnych 90 dniach.

W ujęciu miesięcznym wrzesień 2018 r., w porównaniu z sierpniem 2018 r., wartość indeksu spadła o 4,9 pkt proc. Jednak wrześniowy odczyt nadal jest bardzo wysoki. Łącznie we wrześniu o kredyt mieszkaniowy wnioski złożyło 32 tys. osób w porównaniu z 29,73 tys. rok wcześniej (wzrost 7,7 proc.). Średnia kwota wnioskowanego kredytu mieszkaniowego we wrześniu 2018 r. wyniosła 255,86 tys. zł, tj. o 9,3 proc. więcej niż rok wcześniej.

Jak wyjaśnia Waldemar Rogowski, główny analityk Biura Informacji Kredytowej, wzrost indeksu spowodowany jest zarówno wzrostem liczby wnioskodawców, jak i średniej kwoty wnioskowanego kredytu. – Wzrostowi liczby osób wnioskujących o kredyt mieszkaniowy sprzyja nadal bardzo dobra obecna sytuacja ekonomiczna gospodarstw domowych, której towarzyszy optymizm co do ich przyszłej sytuacji finansowej – mówi Waldemar Rogowski z BIK. Dodaje, że z kolei wnioskowanie o wyższe kwoty kredytów mieszkaniowych niż w 2017 r. może mieć swoje główne źródło we wzroście cen nieruchomości oraz nadal rekordowo niskich stopach procentowych. – Przy rosnących dochodach gospodarstw domowych i niskich stopach procentowych rośnie zdolność kredytowa klientów, co umożliwia wnioskowanie o wyższe kwoty kredytów mieszkaniowych – ocenia Rogowski.

Tyle suche liczby. Zdaniem Andrzeja Prajsnara, eksperta portalu RynekPierwotny.pl, w zrozumieniu obecnej sytuacji na rynku kredytów mieszkaniowych pomaga symulacja niedawno wykonana przez Narodowy Bank Polski. – Wyniki tej analizy wskazują, że za wzrost sprzedaży mieszkań – zarówno nowych, jak i używanych, odpowiada przede wszystkim popyt inwestycyjny. Duża aktywność inwestorów sprawia, że NBP podaje rekordowe wyniki dotyczące udziału transakcji niefinansowanych kredytem. Wedle danych NBP w I kw. 2018 r. aż 62 proc. wartości nowych mieszkań na największych rynkach (Warszawa, Kraków, Łódź, Wrocław, Poznań, Gdańsk i Gdynia) zostało sfinansowane gotówką – mówi Prajsnar.

Jego zdaniem trzeba pamiętać, że „gotówkowi” nabywcy często wybierają droższe mieszkania. Ten czynnik zawyża podany wynik (62 proc.). Na mniejszych rynkach pierwotnych udział transakcji „gotówkowych” nie jest aż tak wysoki jak w wiodących metropoliach. To pozytywna informacja dla banków.

– Kolejną ciekawą kwestią jest wpływ wyższych wymagań dotyczących wkładu własnego na strukturę nowych kredytów mieszkaniowych pod względem wskaźnika LtV. Mamy tutaj do czynienia ze zmianami, które zwiększają bezpieczeństwo całego sektora bankowego, ale równocześnie mogą eliminować z rynku hipotecznego pewną część młodych ludzi (zwłaszcza po zakończeniu programu MdM). Wprowadzenie obowiązkowych limitów wkładu własnego sprawiło bowiem, że znacząco spadł udział nowych kredytów mieszkaniowych z poziomem wskaźnika LtV ponad 80 proc. W II kw. 2018 r. takie „hipoteki” stanowiły 41,61 proc. sprzedaży banków. Analogiczny wynik sprzed czterech lat (II kw. 2014 r.) wynosił aż 47,59 proc. – twierdzi ekspert portalu RynekPierwotny.pl.

Boom kiedyś się skończy

Jeszcze pół roku temu rodzina mogła pożyczyć na mieszkanie o 21 tys. zł więcej niż dziś. Powód? Banki zacieśniają swoją politykę – z miesiąca na miesiąc powoli podnoszą wymagania wobec kredytobiorców. 492 tys. zł – tyle na mieszkanie może pożyczyć dziś

492
tys. zł

tyle na mieszkanie może pożyczyć dziś
trzyosobowa rodzina, w której oboje
rodzice pracują, przynosząc do domu
po średniej krajowej

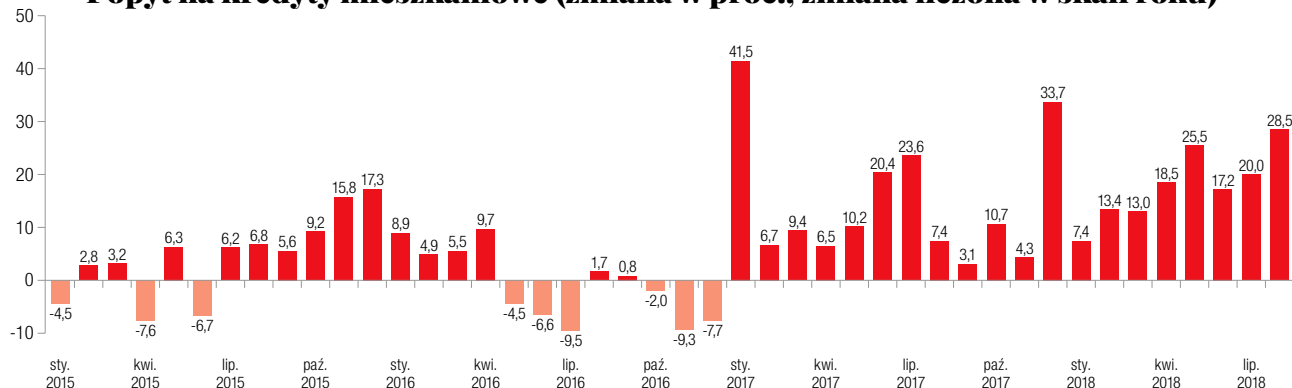
Źródło: ankieta Open Finance

trzyosobowa rodzina, w której oboje rodzice pracują, przynosząc do domu po średniej krajowej – wynika z ankiety przeprowadzonej przez Open Finance. Kwota ta to mediana, a więc połowa ankietowanych banków skłonna byłaby pożyczyć więcej, a połowa mniej. Do obliczeń przyjęto, że modelowi kredytobiorcy mają dobrą historię kredytową i obecnie nie są zadłużeni. Rodzina skłonna jest zaciągnąć kredyt na 30 lat i skorzystać z dwóch dodatkowych produktów – rachunku bankowego, na który będzie przelewane wynagrodzenie, oraz karty płatniczej lub kredytowej. Kredytobiorcy wolą unikać ubezpieczeń czy programów regularnego oszczędzania. Zgodzą się na nie jedynie, jeśli będzie to bezwzględnie opłacalne.

Kredytobiorcy wolą unikać ubezpieczeń czy programów regularnego oszczędzania. Zgodzą się na nie jedynie, jeśli będzie to bezwzględnie opłacalne.

Zdaniem Bartosza Turka z Open Finance, gdyby więc w ostatnich dwóch latach nie otrzymali oni żadnej podwyżki, to z czasem ich możliwości zadłużania się byłyby coraz mniejsze. – To oznacza, że instytucje, widząc boom na rynku nieruchomości, pozostają wobec niego nieco sceptyczne. Czas pokaże, czy ta skala sceptycyzmu okaże się wystarczająca. Chodzi o to, że jeśli dziś banki rozdają kredyty zbyt wolną ręką, to skutkować to będzie masowymi problemami dłużników w sytuacji spowolnienia gospodarczego czy zacieśniania polityki monetarnej przez RPP. Całe szczęście banki nie mogą już dziś udzielać kredytów osobom, które nie mają zdolności kredytowej. Bez tego ograniczenia skala boomu kredytowego byłaby bez porównania większa,

Popyt na kredyty mieszkaniowe (zmiana w proc., zmiana liczona w skali roku)



Źródło: opracowanie Open Finance na podstawie danych BIK (indeks PKM)

a ceny mieszkań mogłyby galopować z dwucyfrową dynamiką – tłumaczy Bartosz Turek.

Turek ujawnia, że w bankach realizowanych jest mniej niż połowa wniosków. Nie znaczy to jednak, że kredyt dostaje mniej niż połowa chętnych. Sporo osób składa wnioski kredytowe do więcej niż jednego banku i dlatego nie wszystkie są realizowane. – Podstawowym problemem dla przyszłych kredytobiorców jest brak wkładu własnego. Gdyby KNF nie wprowadziła w tym względzie dodatkowych wymagań, to mieszkania drożałyby od kilku lat ze znacznie wyższą dynamiką, a za mieszkanie trzeba by dziś zapłacić o jedną trzecią albo nawet o połowę więcej niż dziś. Nie jest też tak, że kredytu nie można dostać, nie posiadając umowy o pracę. Samozatrudnieni i osoby pracujące na tzw. śmieciówkach też mogą się ubiegać o kredyt hipoteczny, przy czym muszą mieć przeważnie dwukrotnie dłuższy staż pracy niż osoby posiadające umowę o pracę – twierdzi Turek.

Według obliczeń Open Finance obecnie można pożyczyć nawet 90 razy więcej, niż się zarabia. We wrześniu najwyższą zdolność kredytową modelowej rodziny zadeklarował Euro Bank, z wynikiem na poziomie ponad 545 tys. zł, czyli prawie 90-krotności miesięcznego wynagrodzenia. Za nim uplasowały się: Santander Bank Polska (do niedawna BZ WBK), Bank Pekao S.A., BGŻ BNP Paribas i Bank Millennium. W tych instytucjach rodzina mogłaby się zadłużyć na przynajmniej pół miliona złotych. Na drugim biegunie znaleźć możemy Citi Handlowy, Alior Bank i Bank Pocztowy. Tu przy zarobkach na poziomie dwóch średnich krajowych można liczyć na 440–464 tys. zł zabezpieczonego hipotecznie długu mieszkaniowego.

Placz i płac

Kto nie dostał mieszkania w spadku albo od rodziców, ten wie, że jedna pensja w przeciętnej polskiej rodzinie idzie na rachunki. A prawie 80 proc. pensji po-

chłaniają spłata kredytu hipotecznego oraz pozostałe opłaty. Szczególnie po kieszeni dostali frankowicze. Mimo to hipoteki należą do najlepiej spłacanych kredytów. Zdaniem Waldemara Rogowskiego z BIK niskie ryzyko związane z kredytami mieszkaniowymi potwierdza miesięczny odczyt Indeksu Jakości portfela kredytów mieszkaniowych. W sierpniu 2018 r. wyniósł on jedynie (0,79 proc.), a w ostatnich 12 miesiącach jakość portfela jeszcze się poprawiła, o czym świadczy spadek Indeksu Jakości portfela kredytów mieszkaniowych o (-0,24 proc.).

– Na razie nie widać istotnych zagrożeń, które w krótkim horyzoncie mogłyby istotnie wpłynąć na wzrost szkodowości, czyli opóźnień w spłatach kredytów mieszkaniowych. Musimy jednak pamiętać, że kredyty mieszkaniowe udzielane są na wiele lat, a co za tym idzie – narażone są na ryzyko związane z cyklem gospodarczym oraz zmiennością stóp procentowych – ocenia Waldemar Rogowski.

Dla wielu rodzin nie będzie możliwości wyrwania się z pętli zobowiązań. Nawet rezygnacja z zakupionego mieszkania i jego sprzedaż nie wystarczą na pokrycie zobowiązań w całości. Zdaniem Piotra Soroczyńskiego, głównego ekonomisty Krajowej Izby Gospodarczej (KIG), poszukując przyczyn takiego stanu rzeczy, zazwyczaj wskazuje się na spłot dwóch kluczowych elementów. – Po pierwsze, bardzo niekorzystnej zmiany warunków rynkowych (głównie zmiana kursów walutowych i stóp procentowych), a w zasadzie całej serii takich niekorzystnych zmian. Po drugie zaś, nadmiernego optymizmu klientów, czy – jak woleli inni komentatorzy – niefrasobliwości, którzy na swoje barki przyjęli nadmierne obciążenie i ryzyko. Z pewnością w takim opisie jest sporo prawdy. Jednak to jedynie wycinek większego spłotu przyczyn – wyjaśnia Piotr Soroczyński.

Zdaniem głównego ekonomisty KIG bardzo istotna dla pojawienia się powyższych niekorzystnych zjawisk była obserwowana długo w systemie bankowym erozja zasad bezpiecznego udzielania kredytów, w szczegól-

PRENUMERATA

PATRZYMY OBIEKTYWNIE PISZEMY ODPOWIEDZIALNIE



Każdego dnia dostarczamy rzetelnych i obiektywnych informacji. Na bieżąco śledzimy zmiany w prawie, publikujemy fachowe komentarze. Korzystamy z wyjaśnień ministerstw i urzędów, analizujemy przepisy, rozmawiamy z ekspertami. Wskazujemy rozwiązania, na których mogą polegać księgowi, kadrowi, przedsiębiorcy, prawnicy i urzędnicy. Publikujemy artykuły i historie, o których dyskutuje cała Polska.

ności tych na cele mieszkaniowe. Wzrost apetytu na ryzyko miał doprowadzić do znaczącego zwiększenia rentowności. Jeszcze w latach 2000–2002 przyjmowano za oczywiste odcięcie ryzyka przy następujących parametrach: udział własny minimum 20 proc. dla osób dobrze sytuowanych i wyższy dla osób w gorszej sytuacji materialnej; stosunek wielkości raty do dochodu netto nie wyższy niż 40 proc. dla zadłużenia długoterminowego i nie wyższy niż 50 proc. łącznie dla wszystkich zobowiązań; przy czym dla kredytów walutowych oraz oprocentowania zmiennego przyjmowano wskaźniki niższe, by zachowany był bufor bezpieczeństwa na okoliczność pojawienia się niekorzystnych zmian na rynku. Przyjmowano, że okres kredytowania nie będzie dłuższy niż 20 lat, tak by w sytuacji problemów w spłacie można było go nieco wydłużyć, równocześnie obniżając ratę.

Soroczyński przypomina, że już kilka lat później udział własny nie był potrzebny, a banki oferowały kredyt sięgający nawet 120 proc. ceny nieruchomości. Bez problemu dostępne były też kredyty zakładające długotrwałe obciążenie dochodów netto gospodarstwa domowego z tytułu obsługi kredytu mieszkaniowego na poziomie... 70–80 proc. Standardem zaczęły być też okresy spłat sięgające 30–35 lat. I nikt takiej erozji zasad nie nazwał nadmiernym optymizmem banków ani tak wytykaną klientom niefrasobliwością.

– Zabawnie wygląda jeszcze jeden brak symetrii w ocenie zachowania banków i klientów. Klienci z czasem zaczęli być piętnowani jako nierozsądni, bo zadłużali się w walutach, mając dochody złotowe. Nikt zaś nie nazywał banków nierozsądnymi, gdy zabezpieczały kredyty walutowe aktywami wycenianymi w złotych – ocenia główny ekonomista z Krajowej Izby Gospodarczej. I dodaje, że sytuacji gospodarstw domowych nie pomogły też inne problemy związane choćby z nadmiernymi kosztami, jakie pojawiały się przy obsłudze części kredytów. Zazwyczaj w tym kontekście mówiło się o wygórowanych spreadach. Warto pamiętać, że banki wprowadzały liczne dodatkowe zabezpieczenia, bardzo kosztowne dla klienta, po części wprowadzane tylko dla zwiększenia rentowności banków. Chodzi np. o przypadki ubezpieczeń, w których większość zebranej składki wracała do banku jako prowizja dla pośrednika.

– Banki świadomie zdecydowały się na erozję zasad bezpieczeństwa w celu obsłużenia większej liczby bardziej ryzykownych klientów, co pozwoliło na poprawę rentowności, ale co również pociągnęło akumulowanie ryzyka. Owa podwyższona rentowność pozwoliła na wygenerowanie dodatkowych zysków dla właścicieli oraz powiększenie bazy kapitałowej. Jednak urzeczywistnione i nadmierne ryzyko powinno być wystar-

czającym przyczynkiem do sięgnięcia po część tak wypracowanych dodatkowych „zapasów” – podsumowuje Piotr Soroczyński.

Banki zachowują spokój

Według prognoz ekspertów rynek kredytów hipotecznych będzie nadal dynamicznie się rozwijał, a rządowy program Mieszkanie+, którego głównym założeniem jest dochodzenie do własności własnego M bez kredytu, nie jest w stanie zagrozić jego rozwojowi.

Jak wyjaśnia Bartosz Turek z Open Finance, na pewno nie będzie bezpośredniego przełożenia tego programu na rynek kredytów mieszkaniowych. – Pamiętajmy, że zgodnie z założeniami program Mieszkanie+ kierowany jest do osób, których nie stać na kredyt lub najem na warunkach rynkowych. Nie jest jednak tak, że jego

powodzenie będzie zupełnie neutralne dla sytuacji na rynku mieszkaniowym, który jest systemem naczyń połączonych. I tak np. dziś część potencjalnych beneficjentów rządowych czynszówek to mogą być najemcy niekoniecznie całych mieszkań, ale np. pojedynczych pokoi w mieszkaniach. Jeśli otrzymają oni alternatywę, to mogą odejść ze znanego nam dziś rynku najmu, zasilając rządowe czynszówki. Abstrahując jednak od tego prostego mechanizmu erozji popytu na najem pokoi, nie można nie wspomnieć o innym – po prostu wzrost podaży ofert

na rynku najmu – o ile będzie wyższy niż przyrost popytu – może doprowadzić do spadku czynszów. Jeśli te spadną albo przynajmniej będą rosły wolniej niż ceny mieszkań, to spadająca rentowność wynajmu może doprowadzić do tego, że mieszkanie na wynajem przestanie być tak atrakcyjną formą lokowania kapitału jak dziś – twierdzi Turek.

Krajowe banki na razie nie mają powodów do zmartwień. Mimo spodziewanego pogorszenia się koniunktury gospodarczej w 2019 i 2020 r. prawdopodobnie nadal będzie ona stosunkowo dobra – oceniają eksperci.

– Na korzyść rynku kredytów mieszkaniowych działają również takie czynniki jak presja płacowa i perspektywa pierwszych podwyżek stóp procentowych dopiero w roku 2020 lub dopiero 2021. Bankowcy na razie nie muszą się też martwić programem Mieszkanie+. Start tej inicjatywy jest bowiem powolny, a spora część jej beneficjentów tak czy inaczej nie zaciągnęłaby kredytu na mieszkanie – podsumowuje Andrzej Prajsnar z portalu RynekPierwotny.pl.

Wygląda więc na to, że stan dynamicznej równowagi na rynku finansowania zakupów mieszkaniowych ma szansę potrwać dłużej. Trzeba trzymać kciuki, bo ewentualne zawahanie koniunktury byłoby bardzo kosztowne i dla klientów, i dla banków. ●

90

tyle razy więcej niż wynoszą zarobki, można obecnie pożyczyć w polskich bankach w ramach kredytu hipotecznego

Źródło: Open Finance

Przyjazna Firma Ubezpieczeniowa 2018



Dobiega końca IX edycja konkursu,
w wyniku której wyłonimy **liderów** spośród
towarzystw i firm ubezpieczeniowych

oraz

Ubezpieczeniowego Menedżera Roku 2018

Już w najbliższym wydaniu zaprezentujemy
sylwetki nominowanych Menedżerów

Szczegóły na:
gb.pl/konkursy

**Wyniki Konkursów opublikujemy
w styczniowym numerze „Gazety Bankowej”**

ORGANIZATOR

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

PARTNER MERYTORYCZNY

BDO

**PROF. MAŁGORZATA
ZALESKA**

dyrektor Instytutu Bankowości SGH,
przewodnicząca Komitetu Nauk
o Finansach PAN



Okrojone REIT-y

W parlamencie toczą się właśnie prace nad polskim wydaniem REIT-ów (Real Estate Investment Trust), które mają zacząć teoretycznie funkcjonować od 2019 r.

REIT-y to wyjątkowy instrument mogący mieć korzystny wpływ zarówno na krajowy rynek nieruchomości, polski rynek kapitałowy, jak i na poziom naszych oszczędności długoterminowych. Dzięki temu produktowi, we właściwym wydaniu, mielibyśmy szansę zapewnić sobie wyższe, godne emerytury w przyszłości.

REIT-y są instrumentem znanym od wielu lat na rynkach zagranicznych. Większość państw tzw. starej Unii Europejskiej wprowadziła REIT-y już ponad 10 lat temu, np. Francja zrobiła to w 2003 r., a Niemcy, Włochy i Wielka Brytania – w 2007 r. Potencjalny argument, że tamtejsze rynki nieruchomości były już w pełni dojrzałe, natomiast polski nie był dotychczas gotowy na tak nowoczesny instrument, nie jest przy tym przekonujący. Wystarczy bowiem przywołać przykłady takich państw nowej Unii Europejskiej jak Litwa i Węgry, które z powodzeniem wprowadziły REIT-y odpowiednio w 2008 i 2011 r. Powyższe tylko wzmacnia poczucie, że zostaliśmy w tyle i niepotrzebnie straciliśmy dużo czasu. Trzeba też zaznaczyć, że krajowy rynek nieruchomości znajdował się w bardziej dogodnym niż dzisiaj punkcie cyklu koniunkturalnego ponad dwa lata temu, a tym samym przegapiony został niestety najlepszy moment na wprowadzenie REIT-ów w Polsce.

”

**Polskie odpowiedniki
REIT-ów, nazwane FINN
(od: firmy inwestujące
w najem nieruchomości)
mogą znaleźć
realne i powszechne
zastosowanie dopiero
za kilka lat, wraz
z rozwojem polskiego
ryнку mieszkań na
wynajem**

Podkreślić należy, że zagraniczne REIT-y oferują możliwość inwestowania przede wszystkim w nieruchomości komercyjne. Tymczasem w Polsce proponuje się ograniczenie inwestowania do słabo rozwiniętego jeszcze rynku mieszkań na wynajem oraz wskazuje się, że tylko fundusz PFR Nieruchomości będzie w stanie stosunkowo szybko działać w nowej formule FINN. Polskie REIT-y zostały bowiem oryginalnie nazwane jako firmy inwestujące w najem nieruchomości (FINN). Tym samym FINN-y mogą znaleźć realne i powszechne zastosowanie dopiero

za kilka lat, wraz z rozwojem polskiego rynku mieszkań na wynajem. Ponadto omawiane ograniczenie inwestycyjne, do rynku mieszkań na wynajem, spowoduje niestety, że polskie REIT-y/FINN-y, tak długo wyczekiwane przez rynek i inwestorów, będą tworem niekompletnym. Może to także podważyć zaufanie do samej – słusznej – idei. Gdy bowiem polskie FINN-y nie będą przynosiły stabilnych i na satysfakcjonującym poziomie dywidend, podniosą się głosy krytyki. Zostanie tym samym nadszarpnięte zaufanie do omawianego instrumentu, a jego potencjalna odbudowa potrwa kolejne lata. Oddali się tym samym moment rozszerzenia REIT-ów na rynek nieruchomości komercyjnych w Polsce. FINN-y zaś, jak Finn, ich imiennik z „Gwiazdnych wojen”, zostaną poranione i popadną w śpiączkę.

Tymczasem dochody z polskich nieruchomości komercyjnych w większości będą nadal transferowane za granicę, a Polacy pozostaną bez szerokiego dostępu do atrakcyjnego instrumentu finansowego służącego do oszczędzania długoterminowego. Trudno znaleźć racjonalne wytłumaczenie, dlaczego krociowe zyski, jakie przynoszą właścicielom Arkadia, Galeria Mokotów i Złote Tarasy – w formie sówitej dywidendy – trafiają na konta zagranicznych, a nie polskich emerytów. ●



TELEWIZJA

W POLSCE PL

Pilnujemy **Polski!**

**OGLĄDAJ
NAS
CODZIENNIE**

**TERAZ
JESTEŚMY
TAKŻE W**



NA POZYCJI

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON
i Horizon

oraz w internecie:

▶ www.wPolsce.pl

▶ www.wPolityce.pl

PKO BP

w międzynarodowej sieci blockchain

PKO Bank Polski podpisał list intencyjny z JP Morgan dotyczący przystąpienia do opartej na technologii blockchain sieci wymiany informacji – poinformowano 4 października. Chodzi o projekt o nazwie Interbank Information Network (IIN), prowadzony przez JP Morgan, do którego przystąpiło ponad 70 największych światowych banków. IIN to rozwiązanie oparte na technologii blockchain, którego zadaniem jest przyspieszenie i dodatkowe zabezpieczenie płatności oraz przelewów transgranicznych. Sieć IIN działa pilotażowo od 2017 r. Obecnie PKO Bank Polski utrzymuje relacje z ponad 1400 bankami, działającymi we wszystkich istotnych dla polskich klientów krajach, oferując rozliczenia międzynarodowe w 23 walutach.

Znaczny przyrost obrotów na GPW

We wrześniu 2018 r. łączna wartość obrotu akcjami na Głównym Rynku GPW wyniosła 25,2 mld zł, czyli o 28,7 proc. więcej niż w analogicznym okresie rok wcześniej – podała GPW w komunikacie. Wartość obrotu akcjami w ramach arkusza zleceń wzrosła we wrześniu 2018 r. o 20 proc. rdr, do poziomu 21,9 mld zł. Średnia dzienna wartość obrotu akcjami w ramach arkusza zleceń osiągnęła we wrześniu 2018 r. poziom 1,1 mld zł, o 26 proc. więcej niż rok wcześniej. Kapitalizacja 421 spółek krajowych notowanych na Głównym Rynku wyniosła na koniec września 2018 r. 624,62 mld zł (146,23 mld EUR). Łączna kapitalizacja 470 spółek krajowych i zagranicznych notowanych na Głównym Rynku sięgnęła na koniec września tego roku 1235,93 mld zł (289,35 mld EUR).



Banki wzmocniły bazę kapitałową

Aktywa sektora bankowego w Polsce wynoszą 1,8 bln zł, co stanowi równowartość ok. 90 proc. PKB – powiedział w Sejmie wiceminister finansów Piotr Nowak, przedstawiając informację prezesa Rady Ministrów o aktualnym stanie i perspektywach rozwoju sektora bankowo-ubezpieczeniowego. Nowak podkreślił, że obecna sytuacja sektora bankowego pozostaje stabilna, co jest efektem przyspieszenia wzrostu gospodarczego, poprawy na rynku pracy oraz niskich stóp procentowych. Zaznaczył, że w 2017 r. odnotowano „dalsze wzmocnienie bazy kapitałowej”. Ostatnie dane Komisji Nadzoru Finansowego, jak podkreślił, wskazują na wzrost funduszy własnych ze 177 mld zł na koniec 2016 r. do prawie 200 mld na koniec roku 2017. Zaznaczył, że zrealizowany w I półroczu br. wynik finansowy netto sektora bankowego wyniósł 7,8 mld zł, co daje wzrost o 17,1 proc. od osiągniętego w analogicznym okresie ubiegłego roku.

BGK Nieruchomości stał się PFR Nieruchomości

Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK) sprzedał 100 proc. akcji spółki zależnej BGK Nieruchomości. Nabywcą jest Polski Fundusz Rozwoju (PFR). Strony nie ujawniły wartości transakcji. „Sprzedaż BGK Nieruchomości to realizacja wcześniej przyjętej strategii porządkowania grupy kapitałowej BGK. Zakładała ona, by funduszami, w których inwestorem jest BGK, zarządzała jedna instytucja – Polski Fundusz Rozwoju. Celem banku było oddzielenie roli inwestora od funkcji zarządzającego aktywami (asset managera) i skupienie się na roli inwestora kapitałowego w tych funduszach” – czytamy w komunikacie.

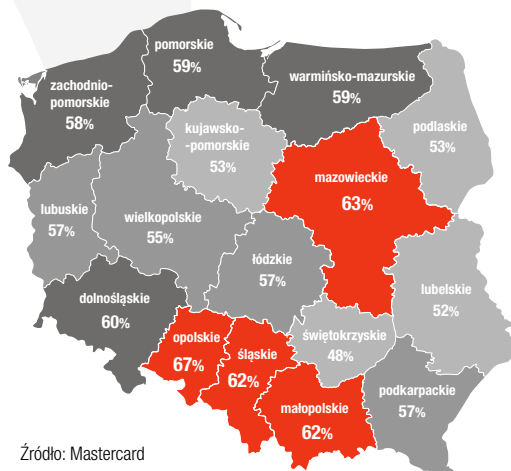
„Sprzedając BGK Nieruchomości, realizujemy przyjętą wcześniej strategię. Spółka z powodzeniem zrealizowała pilotaż programu Mieszkanie+, będąc w grupie kapitałowej BGK. Teraz BGK Nieruchomości zmieniła nazwę na PFR Nieruchomości. W nowej strukturze, składającej się z Polskiego Funduszu Rozwoju i spółek: PFR Nieruchomości oraz PFR TFI, skumulowane zostały wiedza i kompetencje, dzięki którym będzie kontynuowany program Mieszkanie+”

**powiedziała prezes BGK
Beata Daszyńska-Muzyczka**



fol. Shutterstock; Krzysztof Pacholaj

Województwa, w których mieszkańcy posiadają najwięcej kart płatniczych



Źródło: Mastercard

Karty rządzą w dużych miastach

Z badania Mastercard „Mapa Polski bezgotówkowej” wynika, że najbardziej „ukartowionymi” województwami są opolskie i mazowieckie, a następnie śląskie i małopolskie. Na Opolszczyźnie mieszkańcy najczęściej deklarują posiadanie co najmniej jednej karty płatniczej (67 proc., przy średniej ogólnokrajowej 58 proc.). Także tam najwięcej ankietowanych deklaruje, że nie korzysta z bankomatów, jeśli nie jest to konieczne (59 proc.), gdyż woli płacić za zakupy kartą.

Na Mazowszu kartę płatniczą posiada 63 proc. mieszkańców, przy czym 61 proc. wskazuje kartę debetową, a 22 proc. – co jest najwyższym wynikiem w kraju – kredytową. Co więcej, ponad 2/3 badanych (67 proc.) uważa płać kartą za wygodniejsze niż gotówką. Mieszkańcy woj. śląskiego z kolei najczęściej wskazują, że płać kartą jest najwygodniejsze (69 proc.). 62 proc. Ślązaków deklaruje posiadanie karty płatniczej, co daje temu regionowi trzecią pozycję w kraju, ex aequo z Małopolską („debetówkę” posiada tam 59 proc. ankietowanych).

„Mapa Polski bezgotówkowej” pokazuje, że w województwach, w których deklarowane posiadanie kart jest najwyższe, odsetek wydatków bezgotówkowych również należy do największych w kraju. Na Śląsku jest to 47 proc., na Mazowszu 45 proc., w Małopolsce 43 proc., a na Opolszczyźnie 40 proc. Województwem, w którym rela-

tywna wartość wydatków kartą jest najwyższa, jest jednak dolnośląskie (48 proc.), przy średniej krajowej na poziomie 40 proc. Badanie Mastercard potwierdza, że popularność kart wzrasta wprost proporcjonalnie do wielkości miejscowości. Na wsiach kartę płatniczą posiada mniej niż połowa mieszkańców (49 proc.), w miastach do 20 tys. mieszkańców – 59 proc., a w miastach od 20 do 100 tys. mieszkańców – 60 proc. W miastach liczących 100–500 tys. posiadanie karty deklaruje 67 proc. ankietowanych, a w miastach liczących powyżej 500 tys. – 75 proc. respondentów.

Stopy w NBP do 2019 r. bez zmian

Stopy procentowe do końca 2019 r. „z olbrzymim prawdopodobieństwem” pozostaną stabilne, a gdyby nic się nie zmieniło, będą utrzymane również w dalszej perspektywie – poinformował prof. Adam Glapiński, prezes NBP na konferencji prasowej po posiedzeniu RPP 3 października. „Stopy pozostaną stabilne do końca 2019 r., a gdyby nic się nie zmieniło – to dalej. [...] Na razie sytuacja jest stabilna i zakładam, że w 2019 r. dalej tak będzie” – powiedział Glapiński. Nie chciał określać przewidywań dotyczących stóp procentowych na 2020 rok, bo to „zbyt odległy okres”.

RPP po październikowym posiedzeniu podtrzymała, że obecny poziom stóp procentowych sprzyja utrzymaniu gospodarki na ścieżce zrównoważonego wzrostu oraz pozwala zachować równowagę makroekonomiczną.

„W ocenie Rady bieżące informacje wskazują na korzystne perspektywy wzrostu aktywności w polskiej gospodarce mimo oczekiwanego obniżenia się dynamiki PKB w kolejnych kwartałach. Zgodnie z dostępnymi prognozami w horyzoncie oddziaływania polityki pieniężnej inflacja utrzyma się w pobliżu celu inflacyjnego” – podano w komunikacie po posiedzeniu.

56 minut 46 sekund

spędził średnio we wrześniu 2018 przeciętny internauta na stronach serwisów bankowych. Dla wizyt z komputerów czas ten wyniósł 1 godzinę 8 minut 8 sekund, dla wizyt z urządzeń mobilnych – 8 minut 13 sekund.

* Dane z badania Gemius/PBI, wrzesień 2018. Liczebność próby: N=161599. Grupa objęta badaniem 7-75 lat. Do badania wykorzystano dane o strukturze internautów pochodzące z badania NetTrack Millward Brown z II kwartału 2018 i badania Maluchy z 2016

105,5 mld zł

taką wartość ma portfel kredytów hipotecznych grupy PKO Banku Polskiego na koniec czerwca 2018 r. W II kwartale br. wartość sprzedaży kredytów hipotecznych na całym rynku wyniosła 14 mld zł, z czego 4 mld zł pozyskała grupa PKO BP.



foto: Roman Szewczyk

Mirosław Skiba
p.o. prezesem
SGB-Banku SA

Rada Nadzorcza SGB-Banku SA na posiedzeniu 14 września

powołała na stanowisko prezesa zarządu

SGB-Banku SA Mirosława Skibę. Do czasu uzyskania zgody przez Komisję Nadzoru Finansowego Mirosław Skiba będzie wiceprezesem pełniącym obowiązki prezesa zarządu. Nowo wybrany prezes ma za sobą ponad 25 lat kariery zawodowej na polskim rynku finansowym. Mirosław Skiba urodził się w 1966 r. Od 1992 r. pracował w Banku Zachodnim WBK SA, gdzie pełnił różne funkcje. Kierował oddziałem, był dyrektorem Regionu Wielkopolska Północ, a także – od 2002 r. – Makroregionu Poznań, od 2008 r. zaś Makroregionu Warszawa. Od 2008 r. pełnił funkcję wiceprezesa zarządu BZ WBK SA. Jest absolwentem Politechniki Poznańskiej, studiów podyplomowych na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu, Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu i Swiss Finance Institute. Ukończył wiele specjalistycznych szkoleń i studiów z zakresu bankowości, finansów i zarządzania.

STANISŁAW KOCZOT

Nieoczywisty świat finansów

Sektor bankowy szybko się zmienia, staje przed nowymi wyzwaniami, potrzebuje nowych kompetencji i nowego spojrzenia na dokonujące się w nim procesy. Nie jest łatwo ani go zrozumieć, ani go opisać. Żeby podjąć się takiego zadania, trzeba go bardzo dobrze znać zarówno od strony teoretycznej, jak i praktycznej

Mocną stroną książki „Świat bankowości”, która właśnie ukazała się na rynku, jest umiejętne połączenie praktyki, teorii i dydaktyki. Praca zespołowa, która powstała pod redakcją naukową prof. Małgorzaty Zaleskiej, dyrektor Instytutu Bankowości SGH, przewodniczącej Komitetu Nauk o Finansach PAN, a także byłej prezes BFG i Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, porusza kluczowe dla bankowości tematy, dając pełny obraz tego, co obecnie się w niej dzieje.

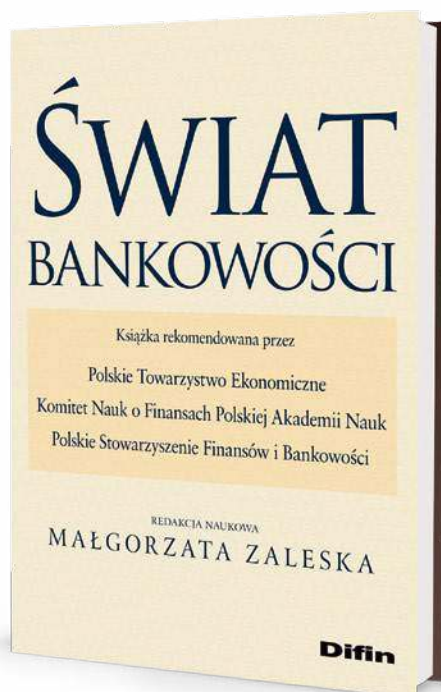
A dzieje się bardzo dużo, m.in. ze względu na rozwój nowych technologii oraz modyfikacje dokonujące się w otoczeniu instytucjonalnym. Jak pisze Małgorzata Zaleska, jeszcze kilka lat temu o blockchain dyskutowano w wąskim gronie specjalistów, a dzisiaj ten temat zaczyna dominować w rozmowach o przyszłości rynków finansowych. Wpływ na nie ma również zmienność prawa i „niespotykane dotychczas skomplikowanie bankowych regulacji prawnych”. Zmienia się teoretyczne ujęcie bankowości, np. upadł mit inwestycji wolnych od ryzyka, straciły na większym znaczeniu negatywne opinie o drukowaniu pieniądza przez banki centralne. „Nie można nauczyć się bankowości raz na zawsze, m.in.

z uwagi na zachodzące zmiany” – pisze Małgorzata Zaleska. Świat finansów tak pędzi do przodu, że niektóre poglądy szybko tracą na aktualności, ale kluczowe – np. ten, że pieniądź rządzi światem – pozostaną ponadczasowe. Z tego chociażby powodu warto rzeczywistość banków poznać dokładnie, zrozumieć jej mechanizmy i relacje, jakie łączą go z resztą świata. W tym sensie książka „Świat bankowości” jest wyjątkowo interesująca nie tylko dla bankowców i finansistów, lecz również dla tych wszystkich, którzy chcą odkryć często nieoczywiste, ale kluczowe związki finansów ze skomplikowaną sferą otaczającą nas rzeczywistości.

Zadania i testy

Książka poza kompetentną prezentacją wiedzy o sferze finansów (jej współautorami są pracownicy Instytutu Bankowości SGH, posiadający również doświadczenie wyniesione z pracy w radach nadzorczych, zarządach i w różnych instytucjach rynku finansowego, np. w NBP, UKNF, BFG, GPW) ma jeszcze jeden niezaprzeczalny walor: każdy rozdział kończy się

„Świat bankowości”, redakcja naukowa prof. Małgorzata Zaleska, Wydawnictwo Difin, Warszawa 2018



”

„Świat bankowości” jest książką interesującą nie tylko dla bankowców i finansistów, lecz również dla tych wszystkich, którzy chcą odkryć związku finansów z otaczającą nas rzeczywistością

zestawem testów kontrolnych (jedno- i wielokrotnego wyboru), a niektóre z nich – zadaniami do samodzielnego rozwiązania. Testy wcale nie są proste i żeby je prawidłowo wypełnić, rozdział trzeba przeczytać bardzo dokładnie, a niekiedy wrócić do niego jeszcze raz, by odszukać właściwą odpowiedź. Interesujący jest pomysł z zadaniami: niektóre są stosunkowo proste, a ich rozwiązanie pozwoli przeciętnemu klientowi banku lepiej zrozumieć zasady obliczania np. rzeczywistej stopy oprocentowania kredytu. Inne wymagają pewnej wiedzy matematycznej, np. przy kalkulacji rentowności trzech segmentów klientów detalicznych. Autorzy książki poprzeczkę ustawiają raz wyżej, raz niżej, ale w większości przypadków są one do rozwiązania. A nawet jeżeli czytelnik uzna, że wyznaczanie jednodniowego VaR (Value at Risk – wartości narażonej na ryzyko) ma dla niego drugorzędne znaczenie, to i tak lektura pozwoli zrozumieć mechanizm jego obliczania. Tak czy inaczej kończenie rozdziałów zbioru testów oraz zadań dotyczących świata finansów jest na polskim rynku przedsięwzięciem wyjątkowym i z pewnością pożytecznym.

Dwa stopnie sektora

Książka ma jasną i zwartą konstrukcję, której sens wynika ze struktury współczesnej bankowości. Sektora bankowy – jak pisze we wstępie Małgorzata Zaleska – ma charakter dwustopniowy i składa się z sieci bezpieczeństwa finansowego i z banków. „Na początku trzeba zatem zrozumieć uwarunkowania instytucjonalne i fundamenty bezpieczeństwa finansowego sektora bankowego, do którego przyczyniają się m.in. działania banków centralnych, nadzorów nad rynkiem finansowym oraz instytucji odpowiedzialnych za restrukturyzację, likwidację bądź upadłość banków”. To ta część książki, w której wyjaśniona zostaje dwustopniowość sektora bankowego, opisane są rodzaje banków (od historycznego podziału na bankowość anglosaską i kontynentalną, po znane od dawna, ale ciągle żywotne, pojęcie banku „zbyt dużego, żeby upaść” – „too big to

fail”), zadania banku centralnego, a także różne rodzaje nadzorów – mikroostrożnościowego i makroostrożnościowego (o potrzebie ich rozróżnienia zaczęto wyrażać nie mówić od 2008 r.). Wiele uwagi poświęcono również zarządzaniu sytuacją kryzysową, zwłaszcza idei europejskiego systemu restrukturyzacji i uporządkowanej likwidacji banku (resolution). Opiera się ona na założeniu, że „upadłość bądź istotne problemy banku nie mogą skutkować negatywnymi konsekwencjami dla stabilności krajowego lub wspólnotowego systemu finansowego (np. poprzez efekt domina) ani też stanowić obciążenia dla finansów publicznych” – pisze Jan Koleśnik, autor tej części „Świata bankowości”.

Kapitał intelektualny

Drugi rozdział monografii porządkuje wiedzę na temat bankowości komercyjnej, omawiając po kolei różne segmenty bankowości – od korporacyjnej, po inwestycyjną, detaliczną, hipoteczną i elektroniczną. Wiele uwagi autorzy poświęcili również private bankingowi oraz technologii blockchain. We wstępnej partii rozdziału znalazło się miejsce na prezentację znaczenia kapitału intelektualnego banku, do którego komponentów – jak pisze Emil Ślęzak – należy kapitał pracowniczy, strukturalny (to organizacja wewnętrznych procesów operacyjnych) oraz kapitał relacyjny (reputacja i wizerunek rynkowy, wartości i trwałość relacji banku z klientami; miarami tego rodzaju kapitału jest udział w rynku, aktywność popytowa klientów, jednostkowa rentowność relacji i koszt pozyskania nowych klientów). Jan Ślęzak twierdzi, że „wobec wysokiej presji konkurencyjnej w sektorze bankowym rozwój kapitału intelektualnego stanowi ważny czynnik utrzymania pozycji rynkowej i zwiększania rentowności działania banku”.

Trzecia i czwarta część książki to wyprawa w świat twardych bankowych realiów: różnego rodzaju ryzyk (np. płynności, kredytowego, rynkowego, operacyjnego, makroekonomicznego, biznesowego, reputacji i braku zgodności, który polega głównie na niestosowaniu się pracowników banku do przepisów prawa, regulacji wewnętrznych lub kodeksów etycznych), a także ocen osiągniętych wyników i kalkulacji finansowych. We współczesnych bankach – jak czytamy w „Świecie bankowości” – proces zarządzania ryzykiem ma charakter scentralizowany. Początkowo dotyczył on ryzyka rynkowego oraz płynności i operacyjnego, później – od początku pierwszej dekady XXI w. – do centrali dołączono zarządzanie ryzykiem kredytowym, wcześniej częściowo leżącym w kompetencji oddziałów.

„Świat bankowości” posiada walory merytoryczne, teoretyczne i empiryczne, a także edukacyjne. Monografia jest rekomendowana przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Komitet Nauk o Finansach PAN oraz Polskie Stowarzyszenie Finansów i Bankowości. ●

W DYSKRETNYM TONIE NA LOTNISKU CHOPINA



STREFA VIP LINE

OSZCZĘDNOŚĆ CZASU – PRZYBYCIE NAWET DO 40 MINUT PRZED ODLOTEM



STRZEŻONE MIEJSCA PARKINGOWE TUŻ PRZY STREFIE VIP LINE



INDYWIDUALNA I DYSKRETNA ODPRAWA



ASYSTA PERSONELU



TRANSPORT LIMUZYNĄ DO I Z SAMOLOTU

Skorzystaj z udogodnień **ekskluzywnej strefy VIP LINE**
na Lotnisku Chopina w Warszawie i zyskaj oszczędność czasu,
dyskrecję oraz wysoki komfort podróży.

szczegóły na: lotnisko-chopina.pl



LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA

ENERGIA CHOPINA w Strefie VIP Line



Podróż samolotem wiąże się z ekscytacją i wielką przygodą. Warszawskie Lotnisko Chopina oferuje wiele usług, które czynią podróż łatwiejszą i bardzo przyjemną. Jedną z nich jest Strefa VIP Line, która zapewnia komfortowe warunki już na samym starcie naszej podróży. Strefa VIP Line to miejsce, w którym można się całkowicie zrelaksować i odprężyć, a wszystkie formalności załatwi za pasażerów profesjonalna obsługa Strefy VIP Line.

Na lotnisko zazwyczaj trzeba przyjechać dwie lub nawet trzy godziny przed planowanym odlotem. Trzeba się odprawić, nadać bagaż, przejść przez bramki kontroli bezpieczeństwa, może jakieś małe zakupy przed podróżą i, jeśli została odrobina czasu, można poczekać w bramce wyłotowej na wejście do samolotu. Jest jednak możliwość, aby cały pobyt na lotnisku spędzić w luksusowych warunkach.

Wszystko dzięki wyjątkowej, uprzywilejowanej Strefie VIP Line, która zapewnia niepowtarzalną wygodę, a także pozwala zaoszczędzić czas, który obecnie stał się dobrem luksusowym.

Goście VIP jadąc na lotnisko mogą skorzystać z wydzielonego tylko dla nich pasa ruchu, który prowadzi bezpośrednio na wyznaczony wyłącznie dla Strefy parking. Pasażerowie przechodzą kontrolę bezpieczeństwa już w Strefie VIP, w miejscu komfortowym i dyskretnym. Odprawa biletowo-bagażowa jest maksymalnie skrócona i odbywa się w recepcji VIP. Do Strefy pasażerowie mogą przybyć nieco później niż normalnie, bo na 50 lub 80 minut przed odlotem, w zależności od tego, czy kraj, do którego podróżują, znajduje się w Strefie Schengen czy Non-Schengen. Po odprawie na gości czekają luksusowe i ciche salony. Pasażerowie mogą liczyć na doskonałe

posiłki, ciepłe i zimne przekąski, dania obiadowe, czy wyselekcjonowane markowe alkohole. W zależności od potrzeb, goście VIP Line mają możliwość zorganizowania w eleganckich wnętrzach salonów spotkania biznesowego z telekonferencją. Mogą obejrzeć ulubiony program telewizyjny, czy oddać się lekturze wybranej książki z dostępnej biblioteki. Do dyspozycji klientów jest także łazienka z prysznicem, który poprawi samopoczucie po lub przed dalszą podróżą.

Wszyscy stawiają tu na wygodę. Pasażerowie mogą zrobić zakupy w sklepach Duty Free osobiście lub na ich życzenie w asyście personelu, który dostarczy zakupy bezpośrednio do Strefy VIP. Na miejscu można też skorzystać z usługi Tax Free, a kiedy zbliży się godzina odlotu, personel przewiezie pasażerów pod wejście na pokład samolotu luksusową limuzyną.

Stefa VIP Line jest czynna siedem dni w tygodniu od 5.00 do 23.00. Chęć rozpoczęcia lub zakończenia podróży w ramach tej usługi można zgłosić za pomocą wniosku nawet cztery godziny przed odlotem.

Stefa VIP Line to połączenie luksusu, prestiżu i oszczędności czasu podczas podróży. Miłego rejsu!





Stoisko fabryki kawy Henryka Francka ze Skawiny na Krakowskich Targach Wzorów, grudzień 1940 r.

MAŁGORZATA DYGAS



Lajkonik pachnący kawą

Fabryka Henryk Franck i Synowie ze Skawiny, założona w 1911 r., pachnąca kawą w niemal całej Europie, po ośmiu dekadach została wchłonięta przez niemiecki kapitał, stając się dźwignią do ekspansji produktów rodzinnej firmy Bahlsen. Nam pozostała produkcja w roli podwykonawcy i... pamięć o bogatej historii polskiej marki

W Skawinie w początkach XX w. osiedlił się przybysz z Austrii, Henryk Franck. W 1910 r. założył Fabrykę Surrogatów Kawowych Henryk Franck i Synowie. Nie był on jedynym przybyszem z tego kraju, który na naszych ziemiach, korzystając z przychylności rodaków i ich pracowitości, rozpoczął swój biznes od suszenia, mielenia i prażenia cykorii – kawowy interes został poprzedzony dokładnym rozeznaniem właściwości gleby okolic Skawiny, warunków klimatycznych itd.

Kilkuletnie wstępne badania dotyczące zdolności warunków klimatycznych i gleby pod uprawę korzeni cykorii przekonały właścicieli, że dla jakości surowca szczególnie odpowiednia była okolica Krakowa. W 1911 r. w zakładach Henryk Franck i Synowie pełną parą ruszyła produkcja kawy zbożowej. Oferowano m.in. kawę słodową ks. Sebastiana Kneippa (prekursora hydroterapii), wcześniej produkowaną przez firmę Kathreinera, oraz inne marki, jak Enrilo, Francka, Kawa Figowa Webera czy Abisynka, które były powszechnie znane w przedwojennej Polsce.

Znana i lubiana...

Po kilku latach wyroby firmy zdobyły sławę międzynarodową, o czym świadczy treść jednej z ulotek reklamowych z tamtych czasów (pisownia oryginalna): „Olbrzymia ta fabryka przez to, że firma FRANCK nie szczędziła kosztów, ani trudów, pogłębi niezawodnie w sferach rolniczych zrozumienie i zainteresowanie się uprawą, korzeni cykorii i stworzy zarazem nowe źródło dochodów dla naszego gospodarstwa wiejskiego, co również i dla kraju wywoła pomyślne skutki, gdyż znaczna ilość robotników miejscowych znajdzie w niej stałe i zadowalające zatrudnienie”.

W inne ulotce reklamowej zakładów ze Skawiny napisano: „Komuż jest obcym, powszechnie utarty zwrot »FRANCK z młynkiem do kawy«. Jak to zwykle bywa, iż znakomite wyroby usiłuje się naśladownictwami podrabiać, tak też i firma FRANCK zmuszoną jest bronić się przed ludzającymi naśladownictwami używanego przez nią opakowania jakoteż usilnymi ostrzeżeniami chronić gospodynie domu od różnych naśladownictw. Życzyć by sobie należało, aby śniadania składające się z kawy, coraz bardziej się rozpowszechniały wśród ludności wiejskiej, jako najlepszy środek przeciw szkodom, wyrządzanym przez alkohol”.



Napełnianie pudełek kawą w fabryce Henryka Francka, listopad 1942 r.

fol. Nac (2x)

Kawa Inka – receptura

Inka produkowana jest z jęczmienia, żyta, cykorii i buraka cukrowego. Dzięki swojej harmonijnej recepturze i zawartości zbóż Inka jest napojem odżywczym, ma łagodny smak, delikatny aromat i charakterystyczną piankę. Na bazie tej sprawdzonej receptury powstały produkty o nowych smakach (Inka smakowa) oraz innowacyjne produkty wzbogacone w błonnik, magnez, wapń i witaminy (Inka prozdrowotna).

...nowoczesna i innowacyjna

Już w niepodległej Polsce, w 1923 r., firma Henryk Franck i Synowie została przekształcona w spółkę akcyjną i znacznie się rozrastała ze względu na coraz większą produkcję. Fabryka, która produkowała kawę zbożową, cykorię i przyprawy polepszające smak kawy, prowadziła także nowoczesną, jak na owe czasy, kampanię marketingową skierowaną do dzieci. W tekstach reklamowych podkreślano bezsprzeczne zalety kawy zbożowej nad kawą z kofeiną i zachęcano, zwłaszcza dzieci, do jej picia. Kilkadziesiąt lat później właśnie kawa zbożowa Inka stała się flagowym produktem spadkobierców marki fabryki.

Lata 30. XX w. to okres prosperity zakładów, które przetrwały światowy kryzys gospodarczy w dobrej kondycji. W 1939 r. firma zatrudniała 658 pracowników, a roczna produkcja kawy i cykorii wynosiła ok. 7,5 tys. ton. Przed wybuchem II wojny światowej fabryka w Skawinie w kategorii firm kawowych była jedną z najbardziej znanych na rynku. Znakiem rozpoznawczym marki był umieszczany na opakowaniach rysunek młynka do kawy.

7,5 tys. ton

tyle wynosiła roczna produkcja kawy i cykorii w 1939 r.
Fabryka w Skawinie zatrudniała do tego 658 pracowników

Pod znakiem nacjonalizacji

Zakłady w Skawinie szybko podniosły się z wojennych zniszczeń, ale równie szybko zostały znacjonalizowane. Fabryka w Skawinie (dzisiaj znajduje się tam zakład Grana sp. z o.o.) w 1948 r. jak inne prywatne przedsiębiorstwa została przejęta przez państwo. I oczywiście zmieniała nazwę na zgodną z duchem

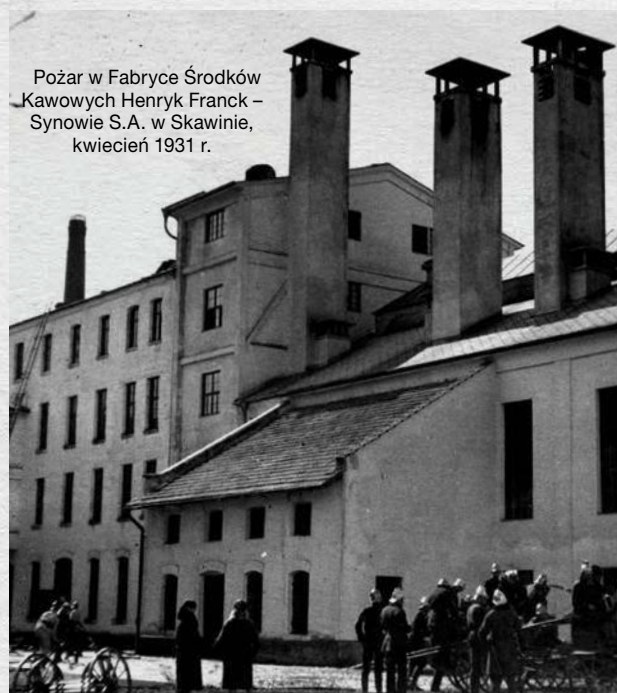
nowego ustroju – przeobraziła się w Fabrykę Środków Kawowych.

Ale obywatel kraju „przodującego ustroju – socjalizmu” nie mógł żyć samą kawą. We wczesnych latach 50. rozpoczęto w Skawinie także produkcję żywności i przypraw: makaronu, ogórków konserwowych, cukru waniliowego, budyniu, zup w proszku. Pakiet nowych produktów fabryki znalazł odzwierciedlenie w nowej nazwie: w 1959 r. przemianowano ją na Skawińskie Zakłady Koncentratów Spożywczych. Niebawem do nazwy Fabryka Środków Kawowych dodano „i Makaronu”. A tak naprawdę powinno się dopisać jeszcze: „i koncentratów zupowych, i gotowych dań, i przypraw, i konserw mięsnych, warzywnych i owocowych, i proszku do pieczenia, i zup w proszku, i kisielu, i składników sosu Worcester...”.

Początek lat 70. XX w. to niemal nowa era w Skawinie – zaprzestano produkcji koncentratów spożywczych i skupiono się na słonych paluszkach, które Polacy pokochali od razu. W tym czasie rozpoczęto produkcję innego, także kultowego dziś produktu, czyli kawy zbożowej Inka. Po czterech latach ruszyła w fabryce produkcja słodkiego pieczywa wraz z kilkoma liniami produkcyjnymi.

Początek nowej ery

W latach 80. przysmaki ze Skawiny trafiały na rynki niemal całego świata, wędrowały do ZSRS, USA, Niemiec, Kanady, Anglii, Australii, Kuwejtu, Malezji, Nowej Zelandii, Arabii Saudyjskiej i Belgii, a nawet na Kubę, Islandię i do Bahrajnu. Nowy etap swój początek



Pożar w Fabryce Środków Kawowych Henryk Franck – Synowie S.A. w Skawinie, kwiecień 1931 r.

Lajkonik w Strefie Ekonomicznej

Firma Lajkonik Snacks zamierza rozbudować zakład produkcyjny w Skawinie na terenie Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Nowa hala ma być integralną częścią obecnego zakładu produkcyjnego, będzie wyposażona w produkcyjną linię technologiczną do przekąsek słonych o nowych teksturach i smakach. Zatrudnienie zwiększy się o minimum 30 osób.

miął w idei globalizacji i intensywnego napływu obcego kapitału do Polski po 1989 r.

„Przekształcenia struktur przemysłu, szczególnie struktury własnościowej przemysłu było wyraźnym impulsem sprzyjającym procesowi przemian. Przykładem tych zmian jest przekształcenie w 1994 r. Skawińskich Zakładów Koncentratów Spożywczych w jednoosobową spółkę Skarbu Państwa, co umożliwiło jej sprzedaż niemieckiej grupie kapitałowej Bahlsen. Grupa ta z siedzibą zarządu w Hanowerze posiada dziesięć fabryk w Europie, w tym dwie w Polsce, w Poznaniu (Bahlsen Snacks) i w Skawinie” – napisał Zbigniew Makiela w pracy „Przekształcenia Skawińskich Zakładów Koncentratów Spożywczych jako przejaw procesu globalizacji”.

Dobrze prosperującą fabrykę, przynoszącą zyski, przekształcono w jednoosobową spółkę skarbu państwa. Był to pierwszy etap przygotowujący do sprzedaży fabryki, na którą ostrzył sobie „smak” niemiecki kapitał. Inwestorowi chodziło przede wszystkim o rynek zbytu, ekspansję na rynki Europy Środkowo-Wschodniej i know-how. W 1994 r. Skawina dostała się pod zarządzanie potentata spożywczego Bahlsen KG Hannover. Niemiecki właściciel rozpoczął od znacznych inwestycji i modernizacji. Zainstalowano nowoczesne maszyny i urządzenia oraz linie produkcyjne do wyrobu pieczywa słodkiego i słonego. Powstała również nowoczesna hala, w której do dzisiaj produkowane są paluszki i krakersy, oraz hala magazynowa.

Kto spija śmietankę

Po trzech latach funkcjonowania zakładów w Skawinie Bahlsen SA, w 1997 r., podzielono firmę na dwa zakłady: Bahlsen Koncentraty Spożywcze i Lajkonik Snacks SA. Oficjalnie uzasadniano podział i utworzenie firmy siostry celami reklamy handlowej oraz koniecznością zwiększenia konkurencyjności firmy. Podział na dwa niezależne podmioty dawał też korzyści w postaci ulg podatkowych dla firm zagranicznych.

Podczas procedury podziału zakładów Bahlsen SA ze Skawiny wykorzystano rozpoznawalne logo krakowskiego Lajkonika na tle średniowiecznej tarczy rycerskiej w kolorze czerwonym lub niebieskim (obecnie

fol. Nac (2x)

Dostawa buraków cukrowych do fabryki kawy Henryka Francka. Robotnicy wysypują buraki do magazynu, listopad 1942 r.



marka Krakuski). Lajkonik Snacks SA od 1997 r. z powodów przyzwyczajenia klientów (rozpoznawalne logo w 98 proc.) nadal specjalizuje się w produkcji i sprzedaży pieczywa cukierniczego, paluszków.

Obecnie Lajkonik Snacks to największa fabryka przekąsek w Europie – rocznie produkuje 33 tys. ton paluszków, krakersów i precelków, które trafiają na rynek polski i 80 innych krajów świata.

Inka przeszła do kawy

W 1999 r. inwestor postanowił zmodyfikować portfel produkcji i ograniczyć się do pieczywa cukierniczego. Bahlsen sprzedał wydział Ekstrakcji Kawy Zbożowej wraz ze znakiem firmowym Inka. W 1999 r. właścicielem zakładu produkującego dochodową Inkę została firma Biogran GmbH Sp. z o.o. należąca do niemieckiej CAFEA-Gruppe, jednego z największych producentów rozpuszczalnych kaw naturalnych na potrzeby marek własnych.

Z powodów, podobno marketingowych, pod koniec 2011 r. doszło ponownie do zmiany nazwy firmy spółki Biogran GmbH sp. z o.o. na Grana sp. z o.o., aby lepiej komunikować najważniejsze wartości oferty: naturalność i zbożowy charakter (grana – ziarno).

Warto pamiętać, że zagraniczni akcjonariusze traktowali i traktują aglomerację krakowską jako potencjalny obszar eksportowej penetracji rodzimego rynku i wrota do rynków zbytu Europy Wschodniej. To perspektywa biznesowa. A perspektywa społeczna? „Przejawem procesu globalizacji dla podmiotów gospodarczych Skawiny i aglomeracji krakowskiej są implikacje o charakterze endogenicznym i egzogenicznym. Zmiany i skutki procesu przekształceń Skawińskich Zakładów Koncentra-

”

Początek lat 70. XX w. to nowa era w Skawinie: to wtedy ruszyła produkcja słonych paluszków, które Polacy pokochali od razu

tów Spożywczych dla ludności miasta i gospodarki Skawiny uwidaczniają się negatywnymi skutkami. Należy do nich restrukturyzacja zatrudnienia, która doprowadziła do wzrostu bezrobocia, konieczności poszukiwania pracy daleko poza miejscem zamieszkania, a także pogarszania się poziomu życia mieszkańców” – napisał w cytowanej powyżej publikacji Zbigniew Makiela. ●

Źródła, m.in.: www.grana.pl/firma/historia/; <http://www.rp.pl/Zycie-Krakowa-i-Malopolski/308079899-Lajkonik-Snack-rozbudowuje-zaklad-w-Skawinie>; <http://krakow.naszemiasto.pl/arttykul/fabryka-lajkonik-skawina-jak-powstaja-krakowskie-przekaski>; Z. Makiela, „Infrastruktura transportu Polski Południowo-Wschodniej na tle systemu transportu Europy Środkowej”. [w:] „Działalność człowieka i jego środowisko”, pod red. Z. Ziolo. Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Kraków 2000; Z. Makiela, „Przekształcenia Skawińskich Zakładów Koncentratów Spożywczych jako przejaw procesu globalizacji”, [w:] „Prace Komisji Geografii Przemysłu PTG”, Warszawa–Kraków 2001

RECENZJA



„Perły, perełki Rzeczypospolitej. Prekursorzy, przedsiębiorcy, patrioci”

Dziennikarka „Gazety Bankowej” zebrała w jeden tom publikowane na łamach miesięcznika 22 niezwykle historie Polaków, a także cudzoziemców, którzy osiedlili się na ziemiach Rzeczypospolitej i przysporzyli naszemu krajowi sławy, dobrobytu oraz nowych technologii.

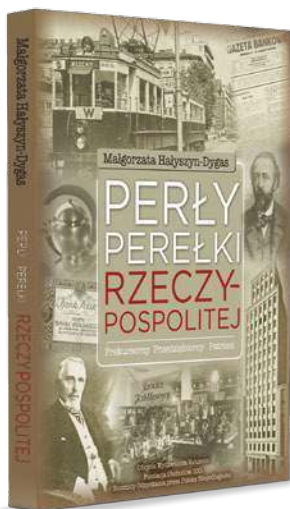


Oficyna Wydawnicza
Volumen



FUNDACJA OBCHODÓW
100 ROCZNICY

ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĄ NIEPODLEGŁOŚCI



Małgorzata Hałyszyn-Dygas
„Perły, perełki Rzeczypospolitej.
Prekursorzy, przedsiębiorcy,
patrioci”, Oficyna Wydawnicza
Volumen i Fundacja Obchodów
100. Rocznic Odzyskania przez
Polskę Niepodległości, 2018

Patronat

wGospodarcę.pl

GAZETA BANKOWA

„Co byliby gdyby? Gdyby dorobek pokoleń Lilpopów, Hennebergów, Norblinów, Fragnetów, Jabłkowskich, Witaczków nie został zniszczony przez zabory, wojny, wykradzony przez komunizm i rozparcelowany przez drapieżny kapitalizm? Czy mielibyśmy wiele przedsiębiorstw na miarę Ratanę Tata, którego przodkowie przybyli do Indii w XVIII wieku, a może Wokulskich?” – takie pytanie zadaje Małgorzata Dygas. Dziennikarka miesięcznika „Gazeta Bankowa” zebrała w jeden tom publikowane na łamach najstarszego miesięcznika ekonomicznego w Polsce 22 niezwykle historie Polaków, a także cudzoziemców, którzy osiedlili się na ziemiach Rzeczypospolitej i przysporzyli naszemu krajowi sławy, dobrobytu oraz nowych technologii.

Wszystkie te postacie cechuje jeden rys – prekursorstwo i przedsiębiorczość. To także patrioci, którzy tworzyli nie tylko polską tożsamość gospodarczą, lecz i tożsamość narodową. Są wśród nich zwycięzcy i przegrani, dumne, zasłużone rody, które przeszły do historii, oraz ci, którzy podnoszą skrzydła, chcąc ponownie się wznieść do lotu.

Ta książka stawia sobie za cel przypomnienie tych, którzy powinni być znani każdemu Polakowi, oraz przywraca pamięć miejsc i instytucji, w dziejach których zapisana jest historia Polski niepodległej.

Polski przemysł to dzieje **Lilpopów, Wedłów, Norblinów**; dzieje polskiego piwowarstwa i logistyki to **Żywiec** oraz **Hartwig**. Słynna kupiecka kreatywność to **Bracia Jabłkowscy** czy ród **Kruków**. Innowacyjność, pomysłowość – rozwiązania wyprzedzające epokę to m.in. Fabryka Jedwabiu Naturalnego w Milanówku, której twórcami w roku 1924 było rodzeństwo Stanisławy i Henryka Witaczków.

To także chlubna historia okresu okupacji: Witczkowie czy Schielowie uhonorowani medalem **Sprawiedliwy wśród Narodów Świata**, wspaniała postawa Wedłów czy Hennebergów – wszyscy oni uchronili przed Zagładą wiele rodzin pochodzenia żydowskiego.

Znane miejsca stolicy to np. bliski starszym warszawiakom Prudential – „drapacz chmur” z placu Napoleona – dzieło polskich inżynierów.

Któż nie pamięta mydeł z Polleny – stołecznej fabryki przy ul. Szwedzkiej, czy „niebieskiego” mleka w proszku, na którym wychowały się pokolenia Polaków? Książka opowiada i o nich.

Wszyscy znamy piękne **sztuce z „Hefry”**, a czy znamy historię tej marki, z którą przedziwnie wiążą się dzieje słynnej szabli rotmistrza Pileckiego? Podobnie, czy znamy dzieje **Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego**, uczelni, która jest równolatką Niepodległej?

Tak banalna z pozoru sprawa jak ubezpieczenia – czy wiemy, że na ziemiach polskich istnieją one już ponad dwieście lat? Czy ktokolwiek wiązałby ich historię z dziejami polskich zrywów narodowościowych? A jednak! Ze wspólnej troski – wzajemności – zrodziły się nie tylko ubezpieczenia, lecz również banki spółdzielcze. Jeden z nich, z ponad 150-letnią tradycją, nadal jest chlubą tego typu instytucji bankowych.

W stulecie odzyskania niepodległości warto przypomnieć sobie i ten wymiar, to oblicze polskiej historii, bo i one składają się na dzieje naszej tożsamości.

Książka Małgorzaty Hałyszyn-Dygas „Perły, perełki Rzeczypospolitej. Prekursorzy, przedsiębiorcy, patrioci” ukaże się wkrótce nakładem Oficyny Wydawniczej Volumen.

O Totalizatorze Sportowym

Totalizator Sportowy jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych i zasłużonych polskich spółek. Działa nieprzerwanie od ponad 63 lat. Spółka powstała by gromadzić środki, z których finansowano remonty i budowy obiektów oraz urządzeń sportowych. Później do zadań Totalizatora Sportowego doszło też przekazywanie funduszy na szeroko rozumianą kulturę narodową. Dziś spółka jest jednym z najważniejszych filarów wspierających te dwie dziedziny życia społecznego. Totalizator Sportowy dysponuje siecią ponad 17 000 punktów sprzedaży, które każdego dnia oferują szeroki wachlarz produktów loteryjnych. Nadrzędnym celem spółki jest stały rozwój, poszukiwanie nowych innowacyjnych rozwiązań, które pozwolą wyprzedzać potrzeby rynku i wpływać na rozwój polskiej gospodarki, wpisując się tym samym w Strategię na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Spółka nie tylko dba o rozwój tradycyjnych produktów spod znaku LOTTO, ale rozpoczyna również działalność w zupełnie nowych obszarach biznesowych, takich jak salony gier na automatach poza kasynami gry czy kasyno internetowe.

Totalizator Sportowy jest członkiem najważniejszych międzynarodowych organizacji loteryjnych – World Lottery Association oraz The European State Lotteries and Toto Association.



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**



Totalizator Sportowy
– właściciel marki



Każda złotówka gracza LOTTO
**to 19 groszy dla polskiego
sportu i kultury**



11,3 MLD ZŁ
przekazane
dla Ministerstwa
Sportu i Turystyki
od 1994 roku

2,1 MLD ZŁ
przekazane
dla Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego
od 2003 roku

www.totalizator.pl

Lata 1918 i 2018 łączy wiele

Uderzające jest to, że 100 lat temu mieliśmy i teraz mamy do czynienia ze światowym załamaniem porządku politycznego oraz gospodarczego. I znowu Polska ma szansę na znalezienie swojego nowego miejsca na mapie gospodarczej świata

Kiedy myślimy o rocznicy odzyskania niepodległości, powinniśmy zdać sobie sprawę, że w rzeczywistości od roku 1918 czasu wytchnienia niezbędnego do spokojnego funkcjonowania naszej gospodarki mieliśmy zaledwie kilkadziesiąt lat. Reszta to niestety dramatyczny okres wojen i niepokoїв.

Lata 1918 i 2018 łączy wiele. Jeśli skupimy się, z braku miejsca, tylko na sprawach finansowo-gospodarczych, to uderzające jest, że wtedy mieliśmy i teraz mamy do czynienia ze światowym załamaniem dotychczasowego porządku politycznego oraz gospodarczego. Byliśmy na progu niepodległości i jesteśmy teraz w momencie „nowego rozdania kart”. Znowu, tak jak w roku 1918, Polska ma szansę na znalezienie swojego nowego miejsca na mapie gospodarczej świata.

Po roku 1918 musiało dojść do przeorientowania naszej polityki gospodarczej, i to nie tylko dlatego, że wreszcie otrzymaliśmy możliwość budowy suwerennej gospodarki narodowej. W 1925 r. Niemcy wywołały wojnę celną, blokując sprzedaż naszych produktów rolnych i surowców, jak również import produktów przemysłowych, co zmusiło nas do poszukiwania nowych, zamorskich rynków zbytu dla naszego eksportu i stworzyło konieczność zwiększenia produkcji przemysłowej.

W roku 2018 stoimy przed porównywalnym wyzwaniem spowodowanym powstaniem Gospodarki 4.0, a z drugiej strony odwrótu od neoliberalnej globalizacji. Teraz rozstrzyga się po raz kolejny to, kto się znajdzie w centrum, a komu przyjdzie wegetować na peryferiach. Powstaje nowa mapa cyrkulacji kapitału i międzynarodowego podziału pracy. Stawka jest więc ogromna i mądre decyzje na lata

ustalą pozycję Polski. Nasza przewaga konkurencyjna w postaci relatywnie niskich kosztów produkcji i usług powoli zaniknie, gdyż pracowników zastępują automaty i roboty, a większość usług się zwirtualizuje.

W tym kontekście program premiera Mateusza Morawieckiego, czyli Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju (SOR), wskazuje na możliwości przejścia do Gospodarki 4.0, jak i – co bardzo ważne – osiągnięcia spójności społecznej, czyli zrównoważonego rozwoju terytorialnego. Chodzi jednak o to, by iść jeszcze dalej i by wykorzystać w pełni „pięć minut”, które daje nam historia. Przy czym warto, odwołując się do doświadczeń II RP, uświadomić sobie skalę wyzwań, jakie niesie manewr przeorientowania gospodarki polskiej.

Mimo jeszcze większych podziałów politycznych niż dzisiaj prowadzono w latach 20. i 30. XX w. rzeczowe dyskusje na temat roli państwa i jego zaangażowania w gospodarkę oraz wsparcia indywidualnych przedsiębiorców krajowych.

Wykryształizowały się dwa stanowiska, mianowicie neoetatystów i liberałów gospodarczych. Przytaczana przez nich argumentacja dotycząca sposobów reorientacji gospodarczej może być równie pomocna dzisiaj, by odnaleźć wskazówki do nakreślenia strategicznych wyzwań dla polskiej gospodarki na najbliższe lata.

Wyodrębnijmy kluczowe zagadnienia sporne. One bowiem stanowią dylematy, przed którymi w 1918 r. stała i staje dzisiaj polityka gospodarcza Polski.

Pierwsze zagadnienie sporne dotyczy roli państwa. Zarówno neoetatysty, jak i liberałowie zgadzali się, że

w Polsce odgrywa ono znaczącą rolę w reorientacji gospodarczej. Polemiki dotyczyły kwestii bardzo istotnej, mianowicie granic ingerencji państwa w gospodarkę. Na ile państwo ma się angażować w gospodarkę? Na ile stosować środki interwencji? W jakim zakresie ma być bankierem i przedsiębiorcą? Czy ma prowadzić politykę protekcjonizmu i jaką politykę celną? – oto pytania aktualne i dzisiaj.

Drugie zagadnienie sporne: dyskutowano kwestię, na ile mamy ufać mechanizmom rynkowym w wytwarzaniu dobrobytu społecznego, a na ile państwo ma

”

**W okresie reorientacji
gospodarczej
największym
wyzwaniem jest
stworzenie racjonalnego
zaangażowania
państwa w gospodarkę
i nieuleganie pokusie
rozszerzania władzy
publicznej nad nią ponad
potrzebę**

**PROF. GRZEGORZ
SZULCZEWSKI**

profesor SGH w Warszawie,
członek Zespołu Etyki Biznesu przy
Towarzystwie Naukowym Prakseologii



tworzyć ramy prawne określające działalność przedsiębiorców. W tym przypadku chodziło o ustawodawstwo podatkowe, w tym spadkowe, jak i określenie minimalnej płacy. A więc spierano się, jaka jest skuteczność stosowania instrumentów polityki gospodarczej, które wspierają osiąganie spójności społecznej.

Trzecie zagadnienie dotyczy stosunku państwa do rodzimych przedsiębiorców. Jakie są dopuszczalne granice pomocy ze strony państwa? Czy państwo powinno przejmować przedsiębiorstwo prywatne i które z państwowych mają ulec reprivatyzacji? Czy zawsze należy stosować do przedsiębiorstw państwowych zasadę rentowności?

Wszystkie te sporne zagadnienia wyznaczały rolę Ministerstwu Skarbu i Finansów, w tym przedstawiano odmienne plany działania Banku Gospodarstwa Krajowego. Chodziło o krytykowany przez liberałów, a broniony przez neoetatyistów udział skarbu państwa bezpośredni lub pośredni we własności przedsiębiorstw. Zastanawiano się, czy oprócz inwestycji centralnych mają się rozwijać przedsiębiorstwa państwowe.

Stefan Starzyński, twórca polskiego neoetatyizmu, pozostawił nam przesłanie na przyszłość: „Punktem wyjścia [polityki gospodarczej] ma być potęga państwa, ale posunięcia narządowe muszą być w zgodzie z rytmem życia gospodarczego, a przejawy etatyizmu mieścić się powinny w granicach dopuszczalnego umiaru, uwarunkowanego potrzebami i sytuacją, w jakiej Polska się znajduje, umiaru w granicach, którego etatyizm jest konieczny”.

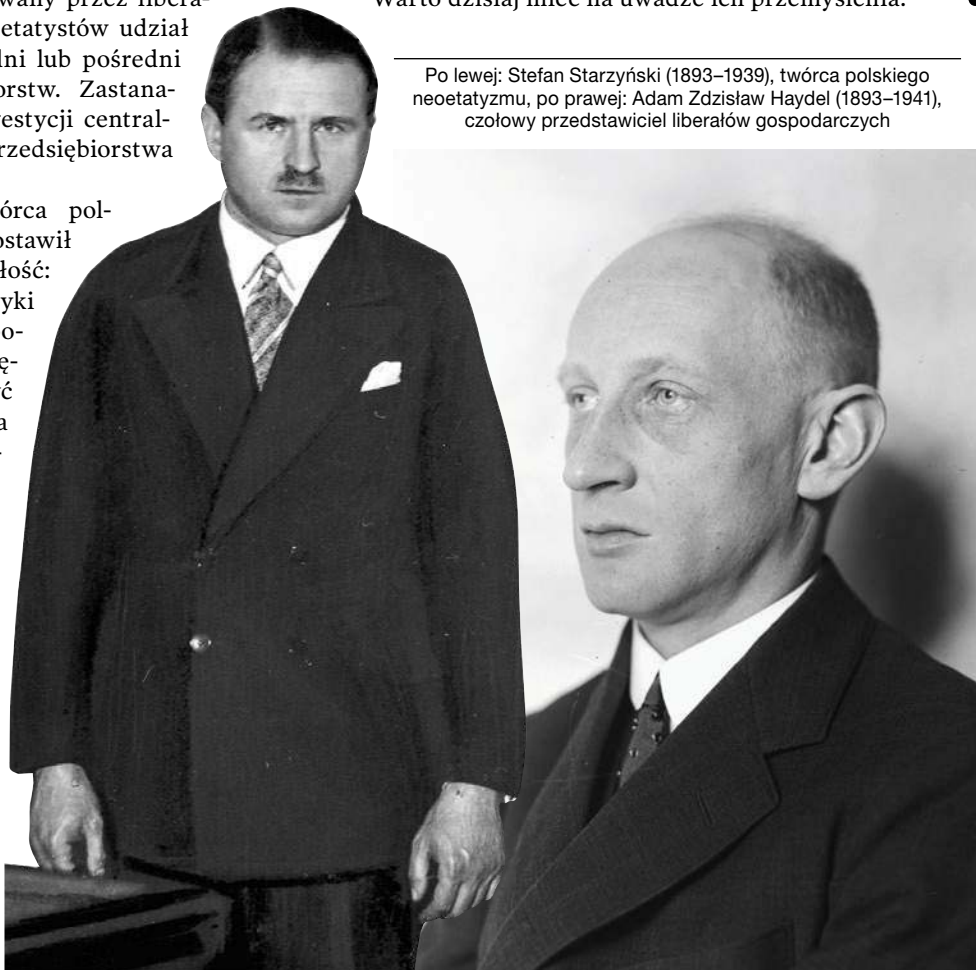
Z kolei czołowy przedstawiciel liberałów gospodarczych Adam Haydel mimo wszelkich różnic poglądowych przyznawał również, że „zadania Państwa są znacznie szersze aniżeli umożli-

wienie obywatelom zdobycia bogactwa... Państwo więc musi wkraczać w zakres przedsiębiorczości prywatnej i nadawać mu kierunek... Żle byłoby jednak, gdyby Państwo zapomniało, że to jest tylko środek do celu, tzn. do utrzymania Niepodległości, do rozwinięcia potęgi politycznej, do zdobycia autorytetu politycznego, który jest obroną najpewniejszą przed wojną”.

W okresie reorientacji gospodarczej największym zatem wyzwaniem jest stworzenie racjonalnego zaangażowania państwa w gospodarkę i nieuleganie pokusie rozszerzania władzy publicznej nad nią ponad potrzebę.

Takie przesłanie przekazało nam dwóch wielkich ekonomistów i zarazem gorących patriotów, tworzących podstawy nowoczesnej teorii i praktyki polityki gospodarczej. Obaj zginęli za Polskę w czasie okupacji. Warto dzisiaj mieć na uwadze ich przemyslenia. ●

Po lewej: Stefan Starzyński (1893–1939), twórca polskiego neoetatyizmu, po prawej: Adam Dzdzisław Haydel (1893–1941), czołowy przedstawiciel liberałów gospodarczych



fol. NAC

„Pewugie”, wnuczka „Pewuki”



fot. Andrzej Wiktor

Rok 1929, w Poznaniu trwa Powszechna Wystawa Krajowa, największe w II Rzeczypospolitej wydarzenie wystawiennicze. Głównym zadaniem było zaprezentowanie dorobku gospodarczego, społecznego i kulturowego 10 lat niepodległej Polski. Po 90 latach historia zatoczyła koło

W przyszłym roku, podobnie jak 90 lat temu, tak i teraz z kilkumiesięcznym poślizgiem, na PGE Stadionie Narodowym w Warszawie ma się odbyć Polska Wystawa Gospodarcza. PWG w roku 2019 ma uświetnić jubileusz osiągnięć polskiej gospodarki. Jednak w październiku na stołecznym placu Piłsudskiego można było obejrzyć przedsmak tego, co wydarzy się w przyszłym roku. Projekt PWG narodził się z inicjatywy prezydenta RP Andrzeja Dudy. Wystawa

ma pokazać ostatnie 100 lat w polskiej gospodarce, m.in. sukcesy rodzimej myśli technicznej i technologicznej.

„Pewuka”

Jak czytamy w przekazanych materiałach, inspiracją dla PWG jest właśnie Powszechna Wystawa Krajowa, w swoim czasie nazywana powszechnie „Pewuka”. Była to pierwsza taka ekspozycja w wolnej Polsce. Zaplanowano zaprezentowanie w Poznaniu gospodarczego, rolniczego, kulturalnego, naukowego i politycz-

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu,
fragment ekspozycji z 1929 r.



Pokaz samochodów na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, 10 lipca 1929 r.



101. NAC (2X)

nego dorobku państwa, a także ułatwienie nawiązywania kontaktów z Polakami mieszkającymi za granicą. Okazją do realizacji postawionych sobie założeń była 10. rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości.

W osobnych pawilonach zaprezentowały się miasta Gdańsk i Lwów, a także Fabryka Czekolady Goplana, firmy E. Wedel i syn oraz Browar Okocimski. Przestrzeń wystawowa zajmowała powierzchnię 65 ha i liczyła aż 112 pawilonów, w których prawie 1,5 tys. wystawców zaprezentowało m.in. polskie dokonania w dziedzinie przemysłu, handlu, rolnictwa, opieki społecznej, wychowania fizycznego, higieny, sportu, kultury, sztuki i nauki.

Zorganizowanie PWK miało jak najbardziej charakter patriotyczny i narodowy. Prezesem Komitetu Honorowego był Józef Piłsudski, a w publikacji wydanej po zakończeniu PWK pt. „Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w 1929 r.” dr Stanisław Wachowiak, prezes zarządu PWK, wyjaśniał (pisownia oryginalna): „Państwo Polskie, wznowione na gruzach powojennych, jest przeznaczone do odegrania wielkiej roli w historii Środkowej Europy. Położone na granicy dwu światów i dwu kultur, ma doprowadzić do zwycięstwa idee Zachodu, idee kultury łacińskiej. Gospodarczo Państwo Polskie ma być łącznikiem między Zachodem a Wschodem. Dostęp do morza daje mu możliwość komunikowania się z szerokim światem. Politycznie wolna Polska jest koniecznością dziejową, jako czynnik równowagi i pokoju w Europie”.

„Pewugie”

W materiałach opisujących historię i ideę zorganizowania Polskiej Wystawy Gospodarczej można przeczytać, że już w 1989 r. pojawił się pomysł zrealizowania podobnego przedsięwzięcia, prezentującego osiągnięcia gospodarcze Polski, ze szczególnym zwróceniem uwagi na kontekst transformacji. Miała się ona odbyć w 1994 r. Zawiązano w tym celu specjalną organizację Poznańska Panorama, jednak pomysł nie doczekał się realizacji. Polska Wystawa Gospodarcza 2018–2019 jest zatem pierwszą w pełni zrealizowaną, nawiązującą do idei z 1929 r., wystawą popularyzującą osiągnięcia rodzimej gospodarki.

Myślą przewodnią pierwszej odsłony Polskiej Wystawy Gospodarczej w 2018 r. jest hasło „Siła Wspólnoty”. Czerpie ono swoją moc z szacunku oraz dumy z dziedzictwa gospodarczego naszego kraju. Wspólnota buduje silne, emocjonalne więzi, gwarantuje bezpieczeństwo i wzajemne wsparcie. Chcemy pokazać, że takie wartości jak współpraca i odpowiedzialność są podstawą silnego, nowoczesnego państwa.

Z materiałów zapowiadających PWG dowiadujemy się, że atrybutem Polskiej Wystawy Gospodarczej jest „Wieża”, która nawiązuje do symbolu Powszechnej Wystawy Krajowej, będącej wielkim sukcesem gospodarczym i wizerunkowym Polski w 1929 r. Wieża jest metaforą udziału w narodowej wspólnotcie, którą tworzy wiele splecionych z sobą ludzkich losów. Każdy, dokładając część siebie – symboliczny kamień – staje się twórcą i uczestnikiem wspólnego dziedzictwa. Każdy obywatel to symboliczne ogniwo pnącej się ku górze wieży – wspólnoty, solidarności, rozwoju i tradycji.

Jak mówił podczas otwarcia pawilonu PWG prezydent Andrzej Duda: „Chcemy, żeby [gospodarka Polski] to była gospodarka innowacyjna i konkurencyjna, dlatego zapraszamy młodych ludzi. Chcemy, żeby ta wystawa przyciągnęła młode pokolenie”.

Prezydent w swoim wystąpieniu nawiązał także do wdrożonej 24 września br. decyzji FTSE Russell o przeniesieniu Polski z grona rynków wschodzących do grupy rynków rozwiniętych. Uznał, że może to być jeden z symboli obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości.

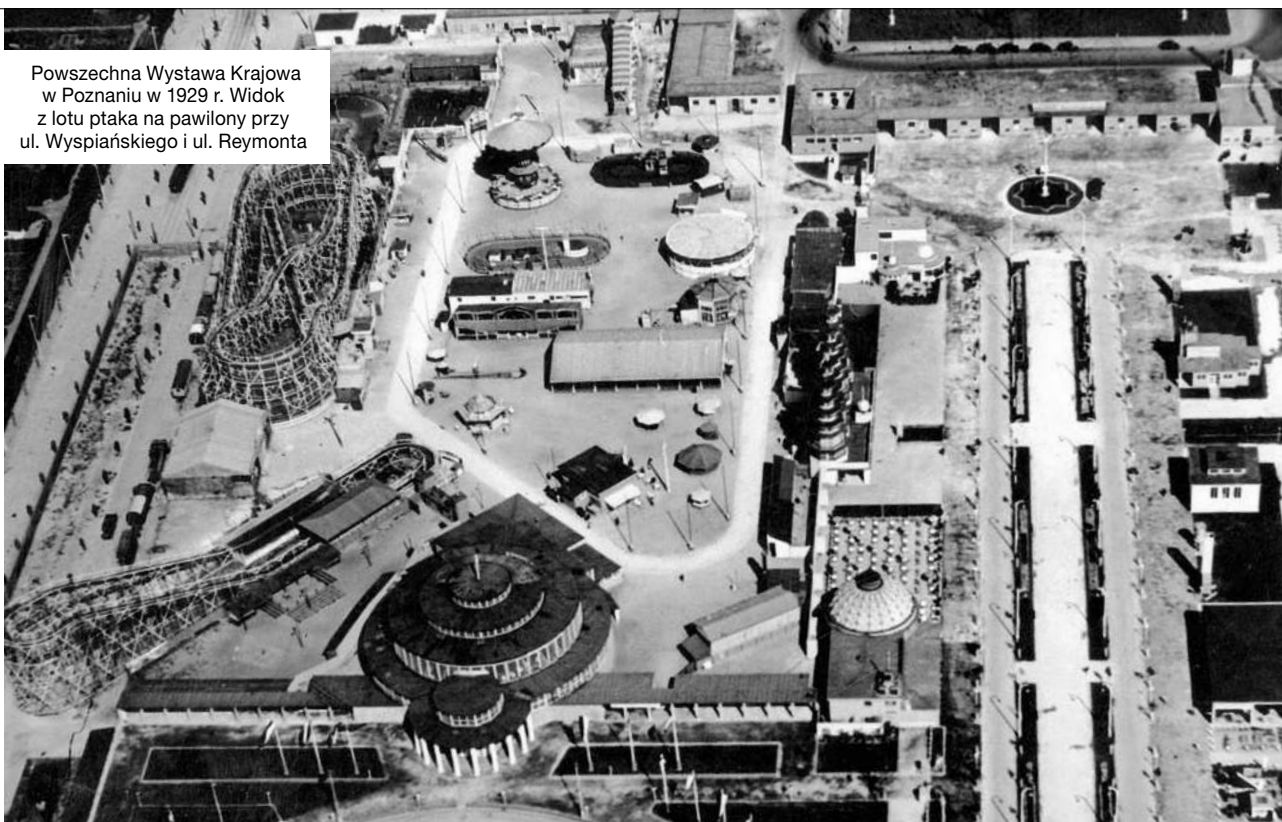


W połowie 2019 r. na błoniach PGE Narodowego w Warszawie, na 11 tys. m² powstanie kompleks sześciu pawilonów sferycznych oraz wystawa plenerowa

fol. Andrzeja Wiktor

Powszechna Wystawa Krajowa
w Poznaniu w 1929 r. Widok
z lotu ptaka na pawilony przy
ul. Wyspiańskiego i ul. Reymonta

fol. NAC (2x)



Jak mówił prezydent: „Pokazuje to wielki postęp, jaki poczyniliśmy w ostatnich 29 latach, a szczególnie w tych ostatnich trzech latach, kiedy prowadzimy silną i zdecydowaną politykę, skierowaną na polską gospodarkę, na jej konkurencyjność, na pilnowanie budżetu i na to, aby polska gospodarka nabierała tempa”.

Inicjatorzy przedsięwzięcia podkreślają, że jego główną odśłonę będzie można zobaczyć na błoniach PGE Narodowego w Warszawie w połowie 2019 r. Na 11 tys. m² powstanie kompleks sześciu pawilonów sferycznych oraz wystawa plenerowa. „Specjalnie zaprojektowana historyczna ścieżka zwiedzania poprowadzi nas od 1918 r. po czasy współczesne. Zaprezentujemy najwybitniejszych polskich wynalazców. Pokażemy najlepsze odkrycia. Przypomnimy o ważnych dla rozwoju państwa wydarzeniach. Opowiemy o 100 latach polskiej gospodarki. Zgodnie z zapowiedziami w Polskiej Wystawie Gospodarczej wezmą także udział te firmy, które gościły 90 lat temu w poznańskiej »Pewuce«, np. Hefra czy Dom Mody Herse” – dodał prezydent.

Organizatorzy informują, że na terenie wystawy znajdzie się przestrzeń z wirtualną mapą polskich przedsiębiorstw i pawilon konferencyjno-eventowy, w którym organizowane będą liczne prelekcje, interaktywne warsztaty i branżowe spotkania. „Do dyspozycji gości oddamy także specjalne miejsca wypoczynku, a dla dzieci strefy rozrywki i edukacji. Nowoczesna aranżacja przestrzeni, z elementami małej architektury i oazami zieleni sprawi, że Polska Wystawa Gospodarcza stanie się miejscem aktywnego spędzania czasu i relaksu dla całych rodzin. Dzięki multimedialnym eksponatom wizyta dostarczy nie tylko wielu cie-

kawych merytorycznych informacji, lecz będzie przede wszystkim wspaniałą zabawą. Ogniwem łączącym zaś obie części Wystawy jest Kamienna Wieża, która stanie w jej centralnym punkcie. Budowla ta obrazuje ideę, że każdy obywatel dokładający czaśtkę siebie – symboliczny kamyczek, staje się twórcą i użytkownikiem wspólnego dziedzictwa. Razem tworzą symboliczną, wielowątkową opowieść o losach całego społeczeństwa” – czytamy w folderze zapowiadającym wydarzenia, które rozegrają się w ciągu najbliższych miesięcy. ●

Otwarcie Powszechnej Wystawy Krajowej
w Poznaniu, 15 maja 1929 r. Na zdjęciu wi-
doczni m.in.: minister Aleksander Prystor (po
lewej stronie z cylindrem na kolanach), wice-
minister Daniel Konarzewski (po lewej stronie
w mundurze) oraz Cyryl Ratajski (przemawia)





fot. Andrzej Wiktor

Energia równa się suwerenność

Branża energetyczna uczciła 100-lecie niepodległości Polski. Podkreślano, że bezpieczeństwo energetyczne jest dziś jednym z filarów naszej suwerenności

Obchody pod hasłem „Polska energia w 100-lecie niepodległości” zainaugurowała uroczysta msza święta pod przewodnictwem arcybiskupa metropolity warszawskiego kard. Kazimierza Nycza w Świątyni Opatrzności Bożej, gdzie zebrał się przedstawiciel pracowników sektora energetyki polskiej.

Podczas homilii kardynał mówił: „W tej świątyni dziś za te 100 lat niepodległości chcemy podziękować, ale równocześnie modlić się za was, którzy reprezentujecie ministerstwo, za którym stoi cała polska energia, całe bogactwo w ogromnej większości będące w rękach waszej odpowiedzialności. Wasza służba niech zawsze będzie służbą – tak jak robili to ci, którzy ustalali Konstytucję 3 maja, jak ci, którzy utworzyli II Rzeczpospolitą w roku 1918. Niech będzie służbą Polsce, niech będzie służbą ludziom, niech będzie dla was radością i satysfakcją”.

Do wydarzeń sprzed wieku nawiązał także minister energii Krzysztof Tchórzewski, podczas dalszego ciągu uroczystości, czyli gali w gmachu głównym Politechniki Warszawskiej. „Energetyka tak naprawdę rozwinęła się wtedy, kiedy Polska odzyskała niepodległość. Pierwsza elektrownia – Powiśle – powstała w 1904 r. I szybko okazało się, że bez energii nie da się żyć w miastach ani nie ma przemysłu” – mówił minister.

Uroczystość zgromadziła również pracowników firm wydobywczych, a także ludzi zatrudnionych w pionach energetycznych firm przemysłowych oraz paliwowych. „Rzadko się tym chwalimy, ale przecież to Polak zmienił świat. Destylacja ropy naftowej Ignacego Łukasiewicza zmieniła świat. Pierwsza ulica na świecie została oświetlona we Lwowie dzięki instalacji stworzonej przez Łukasiewicza” – mówił Tchórzewski.

Minister przypomniał, że dla energetyki ogromne znaczenie ma także to, co się będzie działo w przy-

szłości. „Musimy wybiegać w przyszłość, rozważać, jak się będzie rozwijała gospodarka, ile energii i z jakiego paliwa będzie potrzeba. Jesteśmy ludźmi z cienia. Kiedy idziemy z naszymi potrzebami, patrzy się na nas niechętnie, bo nasze potrzeby są potężne, jedna elektrownia kosztuje 6 mld zł, a przecież potrzeba ich więcej, coraz bardziej nowoczesnych” – mówił Tchórzewski.

„Bezpieczeństwo energetyczne jest jednym z filarów naszej niepodległości. A państwo czuwać nad bezpieczeństwem energetycznym Polski i dużej części naszego regionu” – podkreślał Marek Kuchciński, marszałek Sejmu.

Duży nacisk na bezpieczeństwo energetyczne położył także premier Mateusz Morawiecki w liście, który przysłał do osób zgromadzonych na gali. „Sprawny system energetyczny jest jednym z filarów nowoczesnego państwa. Zapewnianie bezpieczeństwa energetycznego to także repolonizacja aktywów energetycznych oraz budowa nowych elektrowni. Ale także dla bezpieczeństwa energetycznego ogromne znaczenie ma rozwój energetyki obywatelskiej i elektromobilności” – napisał prezes Rady Ministrów.

Również prezydent Andrzej Duda złożył w specjalnym liście życzenia uczestnikom gali. I dodał: „Bazując na już identyfikowanych megatrendach musimy się zastanowić nad tym, jak będzie wyglądała polska energetyka w kolejnym stuleciu. Poszukiwanie innowacji w energetyce stało się koniecznością” – napisał prezydent. Osobom związanym z energetyką oraz górnictwem, a także branżą paliwową, gazową i chemiczną Andrzej Duda przyznał odznaczenia państwowe: cztery złote Krzyże Zasługi oraz kilkanaście srebrnych i brązowych.

Także minister energii uhonorował kilkudziesięciu pracowników energetyki odznaczeniami resortowymi: „Za zasługi dla energetyki”, „Za zasługi dla górnictwa RP” oraz „Zasłużony dla przemysłu naftowego i gazowniczego”.



Rozpędzają się inwestycje realizowane przez PERN

Prawie 400 tys. m³ nowych pojemności magazynowych na ropę – o tyle powiększą się możliwości gdańskiego Terminala Naftowego PERN. Spółka chce wybudować pięć zbiorników, dzięki którym jeszcze sprawniej będzie mogła obsługiwać tankowce wpływające do Naftoportu

Obecnie w TNG Gdańsk funkcjonuje już sześć magazynów o łącznej pojemności 375 tys. m³. To kolejny megaprojekt inwestycyjny realizowany przez jedną z kluczowych spółek strategicznych skarbu państwa. Chodzi o rozbudowę zarówno bazy magazynowej, jak i systemu przesyłu ropy oraz paliw.

W TNG PERN zamierza wybudować trzy zbiorniki o pojemności 100 tys. m³ każdy oraz dwa zbiorniki o pojemności 45 tys. m³ każdy. Planowany termin wykonania inwestycji to 21 miesięcy od dnia podpisania umowy, czyli przełom sierpnia i września 2020 r. To kolejny projekt inwestycyjny w obszarze surowcowym, który realizuje spółka. Obecnie w bazie surowcowej w Gdańsku trwa budowa dwóch zbiorników na ropę o pojemności 100 tys. m³ każdy. Planowany termin zakończenia budowy przypada na kwiecień 2020 r.

Trendy na polskim rynku surowcowym i paliwowym

Polski rynek coraz bardziej otwiera się na dostawy z różnych kierunków. Nasze rafinerie realizują inwestycje, które pozwalają im na pogłębienie przerobu z użyciem innych gatunków niż ropa rosyjska. Dlatego coraz częściej kupują ropę w różnych regionach świata. Dziś surowiec trafia do Polski nie tylko z Rosji, lecz także z Morza Północnego, Arabii Saudyjskiej czy USA. W związku z rosnącym zapotrzebowaniem PERN rozwija infrastrukturę.

W latach 2016–2017, a także w I półroczu 2018 r. odnotowano dynamiczny wzrost rynku paliwowego będący efektem wprowadzonych, nowych regulacji prawnych przyjętych przez polski rząd, w postaci pakietów paliwowego, energetycznego i transportowego. Regulacje te ograniczyły nielegalne dostawy paliw płynnych do Polski. Są rozwiązaniem korzystnym zarówno z punktu wi-

dzenia państwa oraz jego bezpieczeństwa energetycznego, jak i końcowych odbiorców.

– Po wprowadzeniu nowych regulacji nasza spółka odnotowuje znaczący wzrost popytu na świadczone usługi. W związku ze zwiększeniem potrzeb rynku w zakresie pojemności magazynowych niezbędne są inwestycje w tym obszarze. PERN dysponuje odpowiednimi pojemnościami, by móc przyjąć do swoich zbiorników zwiększoną ilość paliwa. Dokonuje także niezbędnych inwestycji, przygotowując się na wyższe zapotrzebowanie – podkreślił Igor Wasilewski, prezes PERN.

Oczekiwania rynku i polityka państwa w sektorze naftowym

Biorąc pod uwagę trendy rynkowe i wyzwania stojące przed sektorem energetycznym, polski rząd konsekwentnie porządkuje ten rynek. Pod koniec ubiegłego roku przedstawił nowy program polityki dla infrastruktury logistycznej w sektorze naftowym. Z tego programu wynika wiele inwestycji, które PERN w najbliższych latach będzie realizował. Poza magazynami surowcowymi możemy jeszcze o:

- rozpoczęciu projektowania drugiego rurociągu surowcowego od portu Morza Bałtyckiego do centrum Polski i dalej do Niemiec. Pozwoli on na pogłębienie dywersyfikacji oraz pełną separację jakościową nowych gatunków ropy dla klientów PERN;
- w segmencie paliwowym PERN buduje nowe zbiorniki o łącznej pojemności przekraczającej 300 tys. m³ do poziomu 2,1 mln m³. Firma finalizuje dwa projekty o łącznej pojemności 120 tys. m³ w bazach paliw w Koluszkach i Nowej Wsi Wielkiej. Planuje także wybudowanie rurociągu paliwowego z Boronowa do Trzebini, dzięki czemu poprawi się dostępność paliw dla Aglomeracji Śląskiej.

PAWEŁ GADACZEK



Cud migawki i obiektywu

Polski tytuł książki Michaela Pritcharda może być nieco mylący, gdyż sugeruje ranking aparatów fotograficznych. Tymczasem zamysłem autora było przedstawienie historii fotografii na przykładzie 50 najważniejszych modeli

Jedno z popularniejszych powiedzeń w świecie fotograficznym mówi, że „najlepszy aparat to ten, który masz przy sobie”. Dziś, kiedy prawie każdy z nas ma smartfona w kieszeni, to właśnie on urasta do miana „najlepszego aparatu”. Inne powiedzenie mówi, że to „człowiek robi zdjęcie, nie aparat”. I też jest w tym wiele prawdy. Ale nie możemy zapomnieć, że choć oko fotografującego decyduje (no i naciśnięcie „spustu”), to parametry techniczne aparatu i jego możliwości są nie do przecenienia.

Michael Pritchard w książce „50 najsłynniejszych aparatów fotograficznych w historii” podjął się próby przedstawienia historii fotografii właśnie od strony technicznej, pokazując, jak przez dekady zmieniał się concept aparatu fotograficznego oraz – co za tym idzie – jego wielkość i materiały wykorzystywane do uzyskiwania zdjęć. Pritchard nie zapomniał jednak, że za aparatem stoi człowiek, i dlatego obok potężnej dawki informacji technicznych mamy historie ludzi stojących za wynalazkami, jak i opowieści o słynnych zdjęciach oraz o osobach, które je zrobiły.

Polski tytuł książki może być nieco mylący, gdyż sugeruje ranking aparatów fotograficznych. Tymczasem zamysłem autora było przedstawienie historii fotografii na przykładzie 50, według niego, najważniejszych modeli w historii.

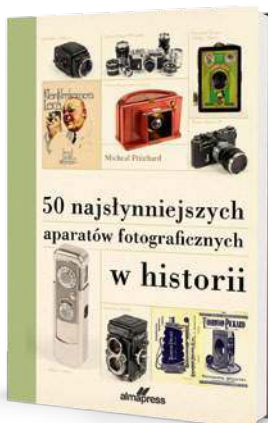
Pritchard zaczyna swą opowieść od aparatu Daguerreotype Giroux z 1839 r., wykorzystującego technikę dagerotypii, przez pierwszy aparat marki Kodak (1888 r.), po klasyczne do dziś modele Leiki, Nikon, Canona, Polaroida, Pentaksa czy Olympusa. Oprócz informacji o klasycznych aparatach znajdziemy w książce wiele informacji o bardziej wyszukanych konstruk-

cjach, np. w kształcie broni, książki czy miniaturowych aparatach szpiegowskich udających paczkę papierosów.

Opis aparatów kończy się na pojawieniu się pierwszych profesjonalnych aparatów cyfrowych (pełnoklatkowych) i boomie na fotografię smartfonami (w tym selfie).

Pritchard nie zapomina – jak już wspomniano – o ludziach, którzy tworzyli aparaty i robili nimi zdjęcia. Dowiemy się więc, kim była Alicja z krainy czarów (Alice Liddell, uwieczniona za zdjęciach przez Charlesa Lutwidge’a Dodgsona, znanego na świecie jako Lewis Carroll), czym była Leica dla Henriego Cartiera-Bressona i kim był Cartier-Bresson dla Leiki, dlaczego Weegee był mistrzem uwieczniania na kliszy mrocznych zakamarków miasta i życia, a także jak niewywołane jeszcze filmy zakupione na aukcji doprowadziły do odkrycia geniuszu Vivian Maier, już po jej śmierci.

Takich opowieści znajdziemy znacznie więcej w książce Michaela Pritcharda, którą można polecić nie tylko entuzjastom robienia zdjęć, lecz każdemu, kto interesuje się historią ludzkiej pomysłowości i wydarzeniami, jakie za nimi stoją. ●



„50 najsłynniejszych aparatów fotograficznych w historii”

Michael Pritchard, przekład Jerzy Jarosław Malinowski, wyd. Alma-Press, 2017

GAZETA BANKOWA

ZAWSZE RZETELNIE O EKONOMII I POLSKIEJ GOSPODARCE



GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

LISTOPAD 2018 / NR 11/1211
CENA 11,50 zł (w tym 8% VAT)

Wywiady

Felietony

Raporty

Analizy

Technologie

Idee

Pasje

Wybierz najwygodniejszą dla siebie opcję prenumeraty!

• wersja papierowa

• wersja mobilna

ZAMÓW:

tel.: 22 616 15 70
prenumerata@fratria.pl
gb.pl/prenumerata

DO POBRANIA NA:



Więcej informacji:





Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl